WILCZY NOTES

MARIUSZ WILK

WILCZY NOTES

NOIR SUR BLANC

Zapiski sołowieckie 1996-1998

Rozumem Rosji nie pojąć I naszą skalą nie zmierzyć. Rosja to inny wymiar — Rosję należy przeżyć.

NAŚLADOWANIE Z TIUTCZEWA

Weź żelazo w formie podłużnych blaszek z dziurkami, żeby je można było, na sznurek nanizawszy, zanurzać i wyciągać wygodnie. Jeśli nie masz blaszek pod ręką, weź stare zamki, klucze, łańcuchy. Możesz użyć czystego żelaza, bez rdzy, choć niektórzy wolą na odwrót, zardzewiały złom, a nawet zgorzelinę spod kuźniczego młota. Żelazo i grubo zmielone orzeszki czernilne połóż w naczynie, gdzie się wykształci tak zwane czernilne gniazdo, którego będziesz mógł używać osiem-dziesięć lat. Orzeszki czernilne to narośla na dębach, zrobione przez owady. Wybieraj pieczołowicie, bo bywają mocne, zielone i dziurawe, blade. Potłucz je, zalej wodą z dodatkiem kwasu chlebowego (może być kapuśniak z kiszonej kapusty) i postaw w ciemnym miejscu lub zaraz opuść w roztwór żelazo. Potem dodaj do gniazda wywaru z kory dębowej, olchowej lub jesionowej. Korę zdejmuj wiosną, gdy tylko sokiem podejdzie, wysusz — sucha więcej czerni daje. Gotuj w naczyniu z miedzi do wyparowania pierwszej wody. Znów zalej i trzymaj na małym ogniu, aż zgęstnieje. Przecedź przez rzeszoto i wyżmij. Zatem przecedź przez sito i wyżmij. Zatem przecedź przez płótno i znów wyżmij. Zlej do gniazda. Dla uzyskania soli żelazistych dodaj miód, piwo jęczmienne lub wino

gronowe, najlepiej czerwone. Naczynie z czerniłem postaw w ciemnym miejscu i mieszaj kilka razy dziennie. Proces postępuje powoli: od dwunastu do czterdziestu dni. Uspokajaj brodzenie wywarem z chmielu, tym samym nie pozwolisz rozwijać się pleśni. Jeśli czerniło będzie przenikało przez papier, dodaj wiśniowego kleju dla utwardzenia, by zaś lżej schodziło z pióra, połóż w nie goździki i imbir...

Przepis na czerniło (inkaust) według sołowieckiego receptariusza z XVI wieku. Monastyrscy skrybowie nie mieli prawa wziąć pióra do ręki, póki sami nie przyrządzili czerniła.

I

Kto studiuje Rosję z książek, ten w ogóle jej nie pojmuje, w niej kryją się osobliwości, które ja bym pojechał na prowincji badać... gdybym tylko znał język.

Joseph de Maistre

1

Czytelnik spyta, dlaczego Sołowki wybrałem? Co sprawiło, że usiadłem na Wyspach, jak na wieży obserwacyjnej, i patrzę stąd na Rosję, na świat? Cóż, spróbuję odpowiedzieć, choć w paru ustępach trudno rzecz wyczerpać, co najwyżej można zrobić jej abrys, jak dawniej pisano. Bo Sołowki przypominają drogocenny kamień: jakkolwiek długo byś nań patrzył, wciąż się mieni... łamie światło... szlifem gra. Starczy, że nieco obrócisz fabułę, akcenty zmienisz, wątki poprzestawiasz, a całość od razu innych znaczeń nabiera — po drugiemu lśni. Nie sposób zatem wyłuszczać racje, nitki wyciągać z osnowy, każdą oddzielnie, analizować, w gębie obracać, a tylko razem, jedną przez drugą, trzeba oglądać.

Słowem, należy odejść od linearnych praw języka i stanąwszy w pewnej odległości, na rzecz spojrzeć. A potem się przesuwać, samemu, krok po kroku, i zmieniać kąty patrzenia.

2

Siedem lat temu zajechałem do Moskwy jako korespondent jednej z polskich gazet. W tym czasie narody,

zamieszkujące obszary sowieckiego Imperium, opowiedziały się w marcowym referendum za Sojuzem. Pół roku później Sojuz przestał istnieć. Nastąpił zmierzch Sowietów. Postanowiłem zostać, chciałem zobaczyć, co z tego wychynie. Sporo nowych rzeczy ujrzałem, czasem niezrozumiałych, czasem irytujących, lecz najbardziej drażnił mnie Tiutczew, którym zbywali moje pytania rosyjscy znajomi:

Urnom Rossiju nie poniat' Arszinom obszczim nie izmierit': U niej osobiennaja stat' — W Rossiju można tolko wierit'.

Czułem w tym czterowierszu butę, znamienną dla większości wierzących, którzy patrzą z pobłażaniem, z wyżyn wspólnoty, na poszukiwania i wątpliwości pojedynczego osobnika. Ów czterowiersz jak koan we mnie zapadł i jątrzył. Aż znalazłem! Ostatniemu słowu Tiutczewa — wierzyć, przeciwstawiłem własne — przeżyć. Rosji należało samemu doświadczyć.

3

Według Rozanowa od wieków istniały dwie Rosje: Rosja widocznych pozorów (w oryginale widimost' — widzialność i pozór zarazem), czyli Imperium, którego kształt został odciśnięty w formach zewnętrznych, historię zaś zapisały wydarzenia, mające określony początek i wyraźne zakończenie; oraz Święta Ruś, czyli Matuszka, o prawach niepojętych,

formach niejasnych, tendencjach nieokreślonych — Ruś żywej krwi i wiary nieskalanej. O pierwszej u Karamzina można czytać — pisze autor Opadłych liści — o drugiej w skitach1 staroobrzędowych usłyszeć. O Imperium mówi się głośno w Moskwie lub w Petersburgu, o Matuszce tylko w głębi kraju poszeptują. Cudzoziemców

1 Rosyjskie słowa, oznaczone kursywą i niewytłumaczone bezpośrednio w tekście, objaśniono w Glosariuszu na końcu książki.

rzadko w głąb Rosji puszczali, samopas brodzić. Stąd w relacjach podróżników, w doniesieniach korespondentów i agentów dominował obraz Imperium, czyli Rosja widocznych pozorów, mówiąc słowami Rozanowa. O Rusi Matuszce mało który miał pojęcie. Ów stan rzeczy, moim zdaniem, przetrwał do dziś.

Bo i dzisiaj obie Rosje istnieją: i Imperium, na drżących nogach, i Matuszka, walająca się w rowie. Pierwszej popróbowałem na konferencjach prasowych i na kaukaskich wojnach, w dyplomatycznych salonach i na moskiewskich puczach, u „nowych Ruskich" na przyjęciach i u starych stalinistów na daczach, na festiwalach, prezentacjach i sekretnych konwentyklach; drugiej — na wiejskich hulankach i na syberyjskich bezdrożach, w archangielskich błotach i w uralskich zonach, u byłych zeka za stołem i u mnichów prawosławnych w refektarzu, na weselach, stypach i tajnych obrzędach pokutnych. Żyłem w czumach u koczowników na Jamale, w rybackich izbach nad Białym Morzem, u pasterzy w górach Ałtaju, u myśliwych nad Jenisejem, u profesora historii w Groznym, u abchaskiego ministra w Suchumi, u ojca mafii w Rostowie nad Donem... Kupiłem dom kołchoźniany nieopodal zon kargopolskich,

gdzie ongi siedział Herling-Grudziński, i wziąłem udział w show na otwarcie strefy wolnocłowej w Kaliningradzie. Paliłem marihuanę z muzykami rockowymi z Leningradu i piłem wódkę z bohaterami kołymskich opowiadań Warłama Szałamowa. Widziałem pijanych ekspertów Rzeczypospolitej na ekshumacji zwłok polskich oficerów w Charkowie i słuchałem ruskich czastuszek w wykonaniu pijanych oficerów radzieckich w konsulacie Rzeczypospolitej w Sankt Petersburgu na bankiecie z okazji rocznicy Konstytucji 3 maja. Spotykałem się z prezydentem Gruzji Zwiadem Gamsahurdią i z generałem Dżoharem Dudajewem, przywódcą wojowniczej Iczkierii; dziś obaj już nie żyją. Rozmawiałem z czeczeńskim watażką Szamilem Basajewem i z jego bojowcami, śród których wielu było worami w zakonie. Biesiadowałem z merem Pitra Anatolijem Sobczakiem, z metropolitą sanktpetersburskim i ładoskim, Jego Świątobliwością Joannem, i z piterskimi bomżami. Przegadałem niejedno życie z pątnikami po

drodze, z biczami w lesie, z żulikami w kabakach, z mużikami na toniach rybackich, a także z wnukami Pasternaka, Flo-renskiego, Szpieta...
Z obu Rosji czerpałem jak z wiadra. Lecz obraz nie chciał się złożyć. Może wątków było zbyt wiele, może obszar penetracji za szeroki? Im więcej poznawałem, tym bardziej wątpiłem, że całość uchwycę; za kolejnym zakrętem nowa perspektywa się otwierała, z następnym rozmówcą — inny punkt spojrzenia. W końcu do mnie dotarło, co znaczy Eurazja, czyli Jedna szósta świata", w praktyce włóczęgi. Tak, tak, włóczęgi, bo rzecz się tyczy doświadczenia Rosji, czyli rekapitulacji drogi, a nie kolekcji turystycznych wrażeń. I tak trafiłem na Wyspy.

4

Na Sołowkach widać Rosję, jak w kropli wody — morze. Bo Wyspy Sołowieckie to esencja i antycypacja Rosji zarazem; to od wieków centrum prawosławia i potężny ośrodek ruskiej państwowości na Północy. Tu, w sołowieckim klasztorze, w jego celach i kazamatach, zapisywano dzieje Rosji całymi stuleciami: na pergaminach latopisów i na kartach historii, zmieniając oblicze kraju i łamiąc charaktery inaczej myślących, przystosowując rośliny do warunków polarnych i ludzi do pracy na uwięzi. Tutaj wypróbowywano nowinki techniczne i wcielano w życie nowe utopie społeczne, tu zbudowano pierwszą elektrownię wodną w Rosji i monumentalną ścianę z kamieni, grubszą od murów moskiewskiego Kremla. Nieprzypadkowo Wasilij Kluczewski, zanim rozpoczął fundamentalną pracę: Kurs ruskiej historii, osnutą na motywie kolonizacji — głównego motoru ruskich dziejów — najpierw obronił dysertację kandydacką Żywoty świętych jako źródło historyczne, gdzie pokazał znaczenie sołowieckiego monastyru w kolonizacji północno-wschodniej Rusi. To tutaj, w skicie na Anzerze, wykluł się raskoł ruskiej Cerkwi prawosławnej, czyli miało początek wydarzenie, o którym Sołżenicyn pisze, że było bardziej brzemienne w skutki dla Rosji niż rewolucja

bolszewicka. Do dziś na Sołowki pielgrzymują staroobrzędowcy, jak muzułmanie do Mekki. Tu wreszcie, w lochach klasztornych, mieściła się najstarsza tiurma polityczna na Rusi, potem zaś, po rewolucji, powstał SŁON, pierwszy łagier w Sowieckim Sojuzie — poligon GUŁAG-u. A i teraz dla wielu Wyspy pozostają więzieniem, bo reformy ekonomiczne ostatnich lat sprawiły, że ludzie nie mogą zarobić na bilet, żeby się stąd

wyrwać.

5

Na Sołowkach obie Rosje nieraz się spotykały, tu Imperium z Matuszką pospołu, bywało, siedziało za jednym stołem lub w tej samej celi. Tutaj carowie gościli, książęta i moskiewscy bojarowie, dekabryści, rzezańcy i kupcy, tu pisarze przyjeżdżali, malarze i uzurpatorzy, podróżnicy, uczeni i franty, tu wreszcie niosło wszelką czerń, szum i wytłoki ludzkie z najdalszych zakątków Jednej szóstej świata". O Sołowkach pisał Łomonosow, Maksimow, Niemirowicz--Danczenko, Priszwin, Gorki, Kazakow i Kubłanowski, malował je Wierieszczagin, Borisow, Niestierow, Bażenow, Kriestowskaja, Pietrow-Spirydonow i Czornyj. Wielcy tego świata przynosili dary sołowieckiemu monastyrowi: Piotr Wielki cerkiew na Zajęczej Wyspie ufundował, Sołżenicyn dał dolary na statek do przewozu pielgrzymów, a Griebienszczikow, lider grupy rockowej „Akwarium", podarował ikonę prawosławną, sam zaś przeszedł na buddyzm. W ubiegłym roku przez Sołowki przewinęli się: Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Gieorgij Michajłowicz — następca głowy rosyjskiego domu cesarskiego, ze swoją matką, Jej Cesarską Wysokością Wielką Księżną Marią Władimirowną, i babką, Jej Cesarską Wysokością Wielką Księżną Wdową Leonidą Gieorgijewną, minister spraw zagranicznych Rosji, czterech ambasadorów, dwóch konsulów, dowództwo Północnej Floty, kilku bonzów wojennego biznesu, jeden metropolita, jeden arcybiskup i tuzin popów prawosławnych, parę ekip telewizyjnych, w tym francuska, parę zespołów filmowych, między innymi polski, paru liderów ruskiej mafii, grupa bluesowa z Odessy,

sekta krysznaitów spod Wołogdy, kilku potomków sołowieckich zeka z „Memoriału", komuna hipisów z Omska, uczestnicy międzynarodowego festiwalu jazzowego w Archangielsku, sataniści z Kujbyszewa, wspólnota Marii Dziewicy z Kijowa, bankier z Tel Awiwu, fotograf z „Polityki", ksiądz profesor z KUL-u oraz tysiące pielgrzymów, oszołomów, neofitów i turystów.

6

Sołowki są niewielkie, całe w promieniu dnia piechotą, jakby je pomyślano dla człowieka, który nie chce używać innych środków lokomocji oprócz własnych nóg. I ludzi tu żyje w sam raz tyle, by wszystkich poznać, za parę zim. To doskonałe miejsce do kontemplacji: przyrody, historii, ludzi, zdarzeń. Tutaj można wzrokiem objąć procesy, które tam, w Rosji, zachodzą na ogromnych obszarach i dlatego są trudno uchwytne. Na Sołowkach widać Rosję w miniaturze, jak na dłoni: jest i władza, i Cerkiew, i kultura w muzeum, maleńki biznes i swojska mafijka, jest i szpital, i szkoła muzyczna, i bycza ferma, i prywatne krowy, i przedsiębiorstwo leśne, i nieduża fabryczka agar-agaru, jest milicja i areszt, jeno sąd bywa rzadko, czasami przylatuje. Sołowki mają własną gazetę, „Sołowieckij wiestnik", którą redaguje prawnuczka Eugeniusza Przegodzkiego, polskiego zesłańca na Ural, i radio lokalne, którym zawiaduje dawny kumpel Władimira Wysockiego, oraz trzy hotele, klub młodzieżowy i bar z dyskoteką co sobota. Tylko służby komunalne są w zaniku, za to nieźle rozwinięto kłusownictwo. Kipią wreszcie na Sołowkach namiętności damsko-męskie, trwają swary polityczne w bani, legendarne ruskie pijaństwo zaś przybrało apokaliptyczne rozmiary. Wystarczy więc usiąść na przyzbie domu, plecami się oprzeć o drewnianą

ścianę, rozgrzaną wiosennym słońcem, myśli puścić, niechaj same się marszczą, i patrzeć, i słuchać, i milczeć.

7

Naprzeciw mojej przyzby — po drugiej stronie Zatoki Pomyślności — stoi monastyr: ściany cyklopowe, głazy sączą się kroplami, w cieniu lodem powleczone... błyszczą. Ledwie na poranne nabożeństwo dzwonią, słońce za monastyrem się podnosi, wyrzyna w niebie czarne sylwety baszt, kopuł, krzyży, jakby jego profil w błękicie wycinało, potem, w porze obiadu, z boku bryłę oświetla, dobywa fakturę kamieni, rozkłada światła i cienie, a wieczorem, kiedy bracia pokłony na dobranoc kładą, zachodzi za Babią Łudą, oblewając fasadę różem, purpurą lub złotem, w zależności od pogody i wiatru.

Ot, dzwony biją, z monastyru wyszła procesja paschalna, sztandary niosą, ikony, śpiewają. Wiatr ładanom pachnie, targa monachów za poły płaszczy, mierzwi im brody, bryzga święconą wodą. Wśród maleńkich figurek na tle kamiennej ściany rozpoznaję postacie, z których każdą można snuć w oddzielnym wątku, każda bowiem zasługuje na swoją opowieść, ale tutaj je wplatam w jedno zdanie, bo w jednej procesji idą: na czele namiestnik Josif, za nim starzec German, spowiednik braci (powiedział mi niegdyś, żebym nie czytał zbyt wielu filozofów, bo wyłysieję, i że prawdziwa filozofia to rozmyślanie o śmierci), dalej idzie ojciec Zosima, parę lat temu taksówkarz, dziś ekonom klasztorny, i młodziutki Sawwatij, pierwszy so-łowiecki postrzyżeniec, za nim inok Filip, Jelisej, Naum i Longin, dawniej moskiewski dziennikarz, obecnie redaktor wydawnictwa monastyrskiego, Andriej i Iow, w życiu świeckim

inżynier agrotechnik, w monaszym odpowiada za brackie krowy, dalej Joann i Brat, były architekt, projektował Dom Sowietów w Kiszyniowie, a teraz rżnie krzyże pokłonne na Sołowkach, wznawiając stary kunszt pomorski, za nim Pietia, Michaił i Dimitrij, do niedawna fanatyczny anarchista, a już mistyk i zajadły asceta, z boku Kuźma człapie, kiedyś mistrz piłkarski, reprezentant kraju, później kaleka i wariat, obok Borys z Glebem, obaj ikony piszą, wreszcie pątnicy, nawiedzeni, miejscowe baby i przyjezdni goście.

Przeszli. Dzwony zamilkły. Słońce coraz mocniej przypieka, a pod ścianą klasztoru Wowa się słania, pijany. Wowa na Sołowkach się urodził, tutaj wyrósł i tutaj się rozpił. I tylko raz go stąd zabrali — do armii, w Legnicy służył. Tam, w dalekiej Polszy, pierwszy i ostatni raz w życiu zobaczył jabłka na drzewie. Sam mi opowiadał, jak je zrywali, jeszcze zielone, i jak je potem żarli, całą rotą, niczym kartofle, i jak ich wyczyściło... Teraz Wowki nie czyści, lecz rwie. Upadł. Warwara go podniosła, dobra kobieta. Córka zeka, parę lat temu po śladach ojca trafiła na Sołowki. Tutaj trop papy się urywał, a Warwara została. Dali jej pokój z kuchnią w dawnym baraku SŁON-a. Wowa chciał pojąć Warwarę za żonę, ale potem rzecz się rozmyła i zostali przyjaciółmi od flaszki. Niepewnym krokiem, podpierając jedno drugie, zeszli z pola mojego widzenia. Można powiedzieć, że chwiejnie opuścili ten ustęp...

II

Unikaj famy, odosobnij się od świata i siedź w swojej celi, jakbyś w cudzych krajach błądził.

Antoni Wielki

Sam mi przyniósł epigraf, gdy usłyszał, że o nim piszę. I prosił, bym go zamknął w jednym ustępie, jak w celi.
— Ustęp, Mar, to w sam raz tyle, by o człowieku opowiedzieć, choć, w rzeczy samej, i tak skłamiesz, bo o człowieku należy milczeć.
Ma chudą twarz, jakby rytą w twardym drzewie, ukrytą w brodzie inkrustowanej siwizną. Włosy sypkie, do pasa, czarno połyskliwe, przewiązane szkarłatną wstążką. Jest Bułgarem z Mołdawii, byłym architektem. Projektował Dom Sowietów w Kiszyniowie. Żonaty, ma dwoje dzieci: trzyletniego Nikitę i siedemnastoletnią pasierbicę Jelenę. Mieszkają na Cyplu Śledzia, obok nas, w sąsiednim domu — dawnej stacji biologicznej. Przyjaźnimy się. Chodzi w czarnym podriasnikie, stąd wielu, zarówno przyjezdnych, jak i miejscowych, przyjmuje go za monacha, co wywołuje rozdrażnienie u ojców, zwłaszcza u Zosimy, który często się zżyma:
— Jaki to monach, co z babą żyje!
W rzeczywistości Brat drugi rok żyje z żoną „jak z siostrą", niczym święty Joann z Kronsztadu. Niedawno przeszedł ciężką operację serca. Pan dał, że wyżył. Ludziom nie dowierza, o miejscowych pijakach mawia, iż to t'ma (czerń) zaprzedana biesowi i skazana na potępienie. Z wyższością też patrzy na brać monaszą, „nastawianą przez ciemnych Mołdawian". Najstarsi sołowieccy mnisi, German i Zosima, pochodzą z Kiszyniowa, co oburza Ruskich,

pielgrzymujących na Wyspy. Brat, choć wyrósł w Mołdawii, ma się za Bułgara i podkreśla, że to od nich, Bułgarów, poszło oświecenie Rusi! Twierdzi, że bracia tylko ciałem mieszkają w monastyrze, a ich serca tkwią

w świecie, podczas gdy on, żyjąc na zewnątrz klasztornych murów, sercem przebywa w środku. Wszystko to podgrzewa konflikt Brata z ojcem Zosimą i Germanem, rządzącymi w monastyrze pod nieobecność namiestnika, który większość czasu bawi w Moskwie. Zimą ojcowie chcieli donos na Brata wysłać, do jego spowiednika, starca Joanna z Ławry Pskowsko-Pieczerskiej, że „rozbojnik i braci w pokuszenie wwodzi", ale namiestnik nie pobłogosławił. Ograniczyli się zatem do publicznego napiętnowania Brata z ambony, co prawda bez imienia, ale palcem pokazując — ot, przychodzi tu taki i poucza braci, a sam łże-monach pyszny... Cóż, prawdziwych pokutników często prześladowano w monastyrach, wystarczy wspomnieć dzieje Niła Sorskiego, z którego Brat bierze przykład. Dlatego marzy o własnym skicie, może w Filipowej Pustelni, może na Zajęczych? A póki co rżnie krzyże. Bo krzyż to cały świat, nawet więcej — to droga do wieczności. Zaczynał od krzyży pokłonnych. Najpierw pod Siekirną Górą postawił, gdzie więźniów ze schodów spuszczali, przywiązanych do bierwion. Później na Anzerze pod Golgotą, która krwią za łagru spłynęła. Wreszcie wyrżnął największy, ten miał stanąć w Przystani Pomyślności, naprzeciw Świętych Wrót, w wodzie. Ale nie stanął! Z początku było trochę sporów dogmatycznych, przepychanek i intryg, potem sprawa zagłuchła, cisza zapadła i do dzisiaj krzyż leży, miast stać. Leży rozłożony, postument się wala, to na deszczu, to pod śniegiem, już drugi rok. Podobnie z ikonostasem do Nikolskiej cerkwi. Ledwie go zaczęli, szum się podniósł: wycieczkami chodzili oglądać: komersanci, turyści, sponsorzy Nawet ruble pokapały, i dolary. Później zagłuchło, jak z krzyżem. Carskie wrota stoją w pracowni, na resztę funduszy zabrakło. Brak też jasności co dalej. Namiestnik coraz

rzadziej bywa na Wyspach. Ojcowie zabronili braciom do Brata chodzić. Produkty wstrzymali, o pieniądzach ni słowa. Dobrze, że choć Nadieżda zapłatę przynosi. Żona Brata pracuje w muzeum. A on sam, z posłusznikom Nikołą,

młodym drzeworytnikiem z Moskwy, zaczął rżnąć krzyże wedle starych wzorów Północy — kargopolskich, szenkurskich, wielskich, jarenskich, solwyczegodzkich. Niezwykłe, jak obsesja, modlitewne labirynty. Myślenie bryłą, geometrią, konstrukcją. Żadnych twarzy, żadnych członków, żadnych wizerunków. Same symbole, znaki, litery. Teksty modlitw jako ornament. Język sprowadzony do ozdoby. Śmierć języka. Ukrzyżowanie Słowa! Ot, bizantynizm XXI wieku. Lub nowoczesny... isichazm. Robią wrażenie. Są i spore, i nieduże, i całkiem maleńkie, do podróży i do celi, na ołtarz i na szyję, otwierane, składane, szkatułkowe, pokutnicze, tekstowe, pielgrzymie, postnicze, cmentarne, żeglarskie (w kształcie kotwicy), medytacyjne, odwrócone i czteroramienne. Wszystkich razem ponad setka. I żaden się nie powtarza! Rżnęli w Wielki Post, w zupełnym odosobnieniu. Nawet do bani nie chodzili — przez siedem tygodni. Modlitwą i postem żyli. W celi.
— Bo cela jest najważniejsza. To pryncypium twórcze. Tylko w celi widać to, co zbyteczne, co należy usunąć. Proces tworzenia jest niczym innym, jeno ograniczaniem się, jak w ascezie, do niezbędnego. Prawdziwa twórczość ze Światła bierze początek. A Światło tylko w ciszy, w samotności można znaleźć — w sobie. Inni cię zawsze na wierzch wytaszczą, z siebie wywloką, w mrok. Dlatego należy się zamknąć, jak w celi, w tym, co robisz, i podróżować, nie ruszając z miejsca. Czasami,

żłobiąc dłutem psalm w cedrze, czuję pod stopami piach egipskiej pustyni, innym razem, idąc śladem modrzewiowego słoja, raptem trafiam na jerozolimski rynek albo pod Golgotę. Podobają ci się? A Zosima mówi, że to staroobrzędowe wzory, no, ale co może wiedzieć półgramotny mużyk z Mołdawii na temat prawdziwej sztuki krzyża? Tak, tak, bo to sztuka wyrżnąć w krzyżu własną celę, resztę świata i całą wieczność, nieprawdaż?

III

Żałuję, że brak mi słów, by w należyty sposób oddać niektóre krajobrazy Północy, zwłaszcza efekty świetlne. Parę pociągnięć pędzlem lepiej niż całe tomy opisów ukazałoby ci niezwykłą oryginalność tej smutnej i osobliwej krainy.

astolphe de custine

1

Najpierw lód podchodzi wodą, niby zsiadłe mleko. Robi się gąbczasty, chlipki i zdradliwy. Gdzieniegdzie żółknie, gdzie indziej szarzeje... brudną smugą. Daleko, na horyzoncie, pojawia się pasmo żywej wody, jakby nitka światła. To morze idzie ku nam. A z nim ptaki. Pierwsze przylatują czajki. Potem lód czernieje i pęka, jak spalona ziemia. Poprzerzynany szczelinami, potrzaskany, tu i ówdzie jeszcze się piętrzy, trzeszczy, a miejscami już zapada w głąb. Pasmo żywej wody na widnokręgu rośnie, skrzy się, migoce. Wiatr przynosi zapachy morza, krzyki ptaków. Lecą żurawie, łabędzie, gęsi... Wreszcie pierwszy wiosenny sztorm z hukiem rozbija lód. Fale drobią kry. Woda miele śryż. Morze tuż. I ptactwa zamieszanie: wrzeszczą, bulgocą, biją skrzydłami, nurkują, plotkują, trachają się. Ostrygojady, nury, alki krzywonose, krochole, edredony,

czubatki, kronsznepy, rżanki, turuchtany, szyłochwosty, gągole, zujki, kazarki... Otwieramy okna. W mgnieniu oka dom jest pełen ptasiego zgiełku, woni bitumu i mata... To mużyki łodzie łatają, smołują. A na ostatniej krze, powoli dryfującej w kierunku otwartego morza, odpływają cztery tłuste foki, brzuchami do góry.

2

Okna naszego domu wychodzą na Zatokę Pomyślności, morze przedłuża stół, na którym piszę. W zimie kartka papieru zlewa się z bielą lodu za szybą, a ślady czerniła przechodzą tak raptownie w tropu nart, że często nie wiem, czy jeszcze za stołem siedzę, czy już po morzu się niosę. W zimie wiatry rzeźbią śnieg, codziennie inaczej, zawiewając tropę. Latem zaś woda pluszcze na skraju zielonego blatu i można godzinami obserwować to odpływ, to przypływ, zmienne rysunki fal na piachu, soli na kamieniach. Latem można się też zatopić (wzrokiem) w morskiej toni, nie wstając z krzesła. I być może właśnie tutaj, na granicy morza i stołu — żywiołu i rzeczy — łatwiej pojąć mój zamysł: próbę uchwycenia rzeczywistości, nadania jej kształtu, odciśnięcia w słowach. Albowiem rzeczywistość rosyjska, zwłaszcza na Północy, jest bezforemna: przestrzenie tu bezkresne, błota bezdenne, osiedla bezkształtne; to coś w rodzaju „grochowego kisielu" (wedle wyrażenia Dostojewskiego), zeń różne przedmioty wystają: tu krzyż prawosławny, obok drut kolczasty, tam kurhan saamski i kawałek ludzkiej czaszki z dziurką od kuli, a w drugim miejscu część rakiety lub podwodnej łodzi. Mówiąc krótko, landszaft na Północy przypomina deskę, na której kolejne pokolenia „bogomazów" pracowicie uwieczniały swojego boga, paćkając grubo farbą, by

zamalować wizerunek poprzedników, a potem jakiś kwaśny deszcz, jadowity i żrący, zmył wszystko, acz niedokładnie, zostawiając szczątki rysunku, resztki koloru. Możnali to odrestaurować?

3

Bodaj Bierdiajew zauważył, że pejzaż, w jakim żyje naród, jest symbolem jego duszy, a płaski bezmiar północnych równin sprawia, iż człowiek ma tu problemy z samookreśleniem. Błotna breja (piąty żywioł Rusi!), którą ruski mużyk codziennie miesi nogami, i odległości do pokonywania pochłaniają całą jego energię i na kulturę (formę) nie

starcza już siły. Z drugiej strony, magmowatość Północy od wieków budziła lęk w przybyszach i wyzywała potrzebę oswojenia przestrzeni, zadomowienia się w niej. Tym bardziej że o pogańskich plemionach, Samojedach, Karelach, Łoparach, siedzących na północnych rubieżach Imperium, krążyło u Ruskich mniemanie, jakoby dysponują siłą nieczystą, zdolną do zniekształcania przestrzeni. Łoparskich szamanów pomawiano o uroki „odwracania wzroku", czyli
o sztukę wywlekania świata na lewą stronę. Zatem w parze z kolonizacją nowych ziem szła sakralizacja geografii — prawosławne uporządkowanie obszaru. Niszczono pogańskie „światyliszcza", karczowano święte gaje, palono idole
i totemy, a na ich miejscu wznoszono skity, kaplice i chramy, jeziorom i górom nadawano biblijne nazwy (Tabor, Golgota, Jordan), kierunki podzielono na święte (wschód) i nieczyste (zachód), a krzyże stawiano tak, by dolnym, ukośnym ramieniem zawsze pokazywały północ. Powoli z topograficznego chaosu Północy wyłonił się sakralny kosmos Świętej

Rusi, a ruski człowiek poczuł się u siebie. Potem nastąpiła rewolucja, ślady prawosławia skrzętnie zacierano, jak kiedyś ślady pogaństwa, zmieniano nazwy, mapy, przeznaczenia. W chramach więziono ludzi, w skitach trzymano konie, Święte Jezioro zwano Roboczym. Jeszcze później orzeczono, że Rewolucja była błędem historycznym, i niektórzy znowu się zabrali do niszczenia śladów, inni wstecz ruszyli dawne czasy ożywiać, a jeszcze inni wszystko od nowa zamierzyli i Amerykę w Rosji próbują zbudować. Świat powrócił do chaosu, tym razem semiotycznego. Pejzaż się rozmazał, wokół marazm, entropia. Kontynuując myśl Bierdiajewa i trop Dostojewskiego, można powiedzieć, że dzisiejszy landszaft ruskiej Północy jest symbolem „kisielu grochowego" w ludzkich głowach.

4

Na Wyspach ludzie żyją pospołu ze zwierzętami, razem około tysiąca stu mieszkańców, nie licząc przejezdnych: włóczęgów, turystów, pątników, sezonowych dobywaczy

morskiej trawy i artystów wszelkiej maści, osołowiewszych na czas jakiś lub z kretesem. Dominującym motywem sołowieckiego posiołka jest drut kolczasty, którym tu grodzą ogrody. Sam posiołek, niczym polip, obrósł kreml i z dala widać, że to chorobliwa narośl. Wśród zawilgoconych domów z pustaków sterczą połagierne baraki, zabytki monastyrskiej architektury dożywają swojego wieku, rozszabrowywane po cegle na piece (stara cegła monasza jest trwalsza i bardziej na ogień odporna), drogi dziurawe, kładki zbutwiałe, gdzie nie spojrzeć, gruz się wala, złom, rozbite szkło. Wokół szopy, drewutnie, obory i chlewy, wykrzywione i przegniłe, ponatykane bezładnie, byle jak. Brak przyzwoitej kanalizacji sprawia, że

ścieki uchodzą w morze i latem, podczas odpływu, Przystań Pomyślności cuchnie szambem, jej brzegi pokrywa gruba warstwa szlamu. Na tym tle szwendają się nietrzeźwi ludzie i wychudłe zwierzęta: psy rozwlekają resztki z pomojek, krowy i kozy pasą się wszędzie, na ulicach i między domami, a świnie ryją, gdzie popadnie, zwłaszcza pod ścianą kremla. I na pierwszy rzut oka, komukolwiek nie z tej ziemi, kto się tu zaplącze, sołowiecki posiołek przypomina monstrualny kicz w stylu informel, gdzie dominuje nonsens i przypadek. Trzeba czasu i skupienia, by przywyknąć do tego obrazu i rozróżniać w nim rękę poszczególnych twórców: monachów (od początku XV wieku do 1920), czekistów (1923-1939), wojskowych (1939-1957), muzealników (1967-1991), oraz dzisiejsze bezhołowie. Spróbujmy się przejść, niespiesznie, ulicami posiołka, zaczynając od kremla.

5

Sołowiecki kreml stoi na wąskim przesmyku, oddzielającym Święte Jezioro od Morza Białego. Kamienne mury (długości jednej wiorsty) z ogromnych głazów, pokrytych rdzawymi porostami, otaczają zespół klasztorny, niezwykłej urody, choć zrujnowany. Kiedyś był to jeden z najbogatszych ruskich monastyrów i najpotężniejsza twierdza Imperium na Północy. Dwa sobory, pięć cerkwi, tyleż wrót,

siedem baszt, dzwonnica, trzy dwory, budynki mieszkalne i gospodarcze, ogromny refektarz (największa jednokolumnowa sala w dawnej Rusi!), krużganki, pasaże, cele i kazamaty. Wystarczy obejrzeć przedrewolucyjne zdjęcia, by pojąć, jak daleko zaszła Rosja w dewastacji swojego kulturowego pejzażu. Nawet drzewa w pień wycięto, a tam gdzie kiedyś

rosły kwiaty, dzisiaj — gliniana polepa. Za czasów łagru była tu zona, w chramach zeka więzili, a na dzwonnicy gwiazdę postawili miast krzyża. W soborze, na miejscu ołtarza, zrobili wychodek, w refektarzu teatr, w jednej z cerkwi wystawę ateizmu. Po łagrze Kreml przejęło wojsko. Na dzwonach zostały ślady od kul. Potem obiekt przekazano administracji i przeobrażono w państwowe muzeum: w monastyrskich budynkach urządzono ekspozycje, magazyny zbiorów i schronisko dla grup wycieczkowych oraz hotel robotniczy, klub młodzieżowy i sklep z wódką. Zaczęto prace restauracyjne: z dzwonnicy poleciała gwiazda, w soborze ekskrementy zeskrobano, a zarazem freski dziewiętnastowieczne, by przywrócić świątyni nieco starszy wygląd. Przy okazji wynoszenia gruzu rozkopano groby klasztorne, z trupów krzyże pościągano, pierścienie i różańce. Nocami na krużgankach turyści hulali i miejscowa szpana, czyli dziwki niedorosłe i żuliki-małolaty. Pięć lat temu na Sołowki przyjechali mnisi. Oddano im część pomieszczeń gospodarczych i dwa chramy. Na więcej na razie nie liczą, bo jest ich paru zaledwie, a zabytkowy kompleks wymaga olbrzymich środków na utrzymanie i remont. Sklep i klub zlikwidowano. Obecnie trwają pertraktacje o wyprowadzenie hotelu z terytorium klasztoru. Dużym problemem jest też piekarnia w cerkwi Uspieńskiej. Natomiast szpana po dawnemu hula latem na galeriach, kusząc posłuszników, to wódką samogonną, to rozwiązłym dziewczęciem. Namiestnik Josif zamierza ściągnąć oddział kozaków do ochrony braci. Na północ od kremla, na placyku obok Konstantinowskiej kaplicy, leży głaz pamiątkowy ku czci poległych jungów — miejsce dorocznych mityngów z okazji świętowania kolejnych rocznic Dnia Pobiedy. Po mityngach krowy zżerają wieńce. Od kamienia, dalej na północ, w

kierunku

przystani parostatków turystycznych, biegnie ulica Siewiernaja. Tam w sezonie ryczy muzyka, dyskoteki na pokładzie, stada pijanych turystów, szansa miejscowych dziewcząt, okazja do drak. Po drodze baraki połagierne, w których żyją ludzie. Za przystanią, nad samym morzem, monstrualne składowisko beczek z paliwem, plaża ropą przepojona, benzyną. Na wysokości Filipowskiej kaplicy, na prawo od Siewiernej, odnoga bez nazwy, tam zarząd służb komunalnych, park maszyn, kamienna bania z 1717 roku, magazyny, składy, tartaki, zabytkowa smolarnia, dyrekcja leschoza i ogromna hala z betonu, bez dachu, bez okien, porzucona w połowie budowy. Planowali tu kombinat piekarniczy, na wiele tysięcy mieszkańców, tylko nie wiadomo po co?
Na wschód od kremla, obok kamiennej kuźni z końca XVII wieku, zmierza do aeroportu ulica Siwki, bohatera Sowieckiego Sojuza i absolwenta sołowieckiej szkoły jungów. Tam, w budynku dawnego internatu dla klasztornych posłuszników, naprzeciw zabytkowych obór i stajni, siedzi Niebożenko, gława administracji, obok redakcja gazety, radio i telefon (można się dodzwonić nawet do Maisons-Laffitte). Za Siwką, w głębi lasu, na miejscu starej cegielni, w 1939 roku zbudowano więzienie specjalne, którego nikt nie zdążył zasiedlić, bo zeka z Wyspy wywieźli. Dzisiaj tam hotel stoi, dla „nowych Ruskich" i cudzoziemców Między Siewierną i Siwki przebiega ulica innego bohatera, Kowalowa, tam milicja, straż pożarna, trzy sklepy, zakład przetwarzania morskiej trawy, hotel Gaławani (ceny umiarkowane: dziesięć dolarów za noc), dalej kotłownia, hałdy węgla, ogrody i Wzgórza Chlebne, gdzie kiedyś, wedle

podań, próbowano wyhodować zboża jare, a teraz na majówkach żłopią wódkę „Pszeniczną" pod niuch chleba.
Na południe od kremla, na wzgórku, gdzie był cmentarz bracki, a potem zbiorowe mogiły, teraz stoi szpital, zbudowany jeszcze za łagru: ściany, oblazłe z tynku, odwalają się całymi kawałami, dach przecieka, stropy zgniłe. Dalej Zaoziernaja, sołowiecka Ulica Krokodyli, tam trzy sklepy, osiem melin, bar Maks i opustoszały barak z czasów SŁON-a, w którym można tanio (w granicach flaszki za trzy dolary) zażyć siermiężnego seksu z panienkami — od tuzina lat do kopy.

W przedłużeniu Zaoziernej, już poza granicami posiołka, cmentarz nad Kwaśną Zatoką, na mogiłach stakany, pod parkanem ślady wypominków: puste butelki, zardzewiałe puszki, połamane ławki. Od Zaoziernej odchodzi zaułek imienia Florenskiego, sołowieckiego zeka, popa, filozofa i racjonalizatora, wynalazcy metody otrzymywania agar-agaru z wodorostów. Tam leży kamień na pamiątkę po ofiarach SŁON-a, jak na Łubiance. Po drugiej stronie, nad brzegiem Świętego Jeziora, grochocze stara dieslowska elektrownia. Wycieki mazutu wypaliły las wokoło. Do szczętu.
Na zachód od kremla stoi Hotel Petersburski z monastyrskich czasów, obecnie siedziba dyrekcji muzeum i biblioteki naukowej, w której przez trzydzieści lat nie zdołano zrobić katalogu. Poniżej, u samej Przystani Pomyślności, sterczą ruiny Hotelu Prieobrażeńskiego, tam do rewolucji przyjmowano bogatych pątników i gości klasztoru, potem był zarząd SŁON-a i sklep (opowiadał mi o nim R., ostatni nadzorca zeka), a jeszcze później kwaterowali żołnierze z jednostki wojskowej, rozlokowanej na

Sołowkach. Żołnierze, opuszczając Wyspy, urządzili hulankę z fajerwerkiem i podpalili budynek... Dzisiaj tam kotłownia się mieści, melina sołowieckich bomżów i dziwek, nikomu już niepotrzebnych. A dookoła dymią kupy szlaki. Dalej wiedzie ulica Primorskaja, tam cztery kaplice (w jednej do dziś trzymają świnie), resztki zabytkowej elektrowni wodnej, unikalny dok klasztorny, rozsypujący się na naszych oczach, dom zwany „Szanghajem", dno biedoty, pijaństwa i rozpaczy, potem Primorskaja się rozwidla: na lewo Szkolna Zatoka, gdzie porzucono w połowie budowy gigantyczną oczyszczalnię ścieków, a na prawo Cypel Śledzia, rozdzielający Przystań i Zatokę Pomyślności. Na końcu Cypla, pośród starych, dziewiętnastowiecznych budowli — kamiennych spichrzów do wytapiania i przechowywania tłuszczu z fok, składów lin i beczek, drewnianych szop na wodzie, służących do rozładunku i remontu łodzi, ziemianek, lodowni i piwnic z wielkich głazów, przykrytych darnią — tam stoi nasz dom, skąd piszę ów Widok Sołowek, niczym jakiś nowy van der Meer.

6

Jest koniec maja. Właśnie wróciłem z rybałki. Jeszcze mam w uszach szum wody, wrzaski ptaków. Byliśmy nad Sosnową Zatoką, na północnym skraju Wyspy, opodal Sawwatijewskiej Pustelni, gdzie w 1429 osiedli pierwsi mnisi na Sołowkach, święty German i święty Sawwatij, a w 1923 rozstrzelano pierwszych zeka, anarchistów i eserów. Potem urządzono tam fermę mleczną, zatem szkołę jungów, a w latach osiemdziesiątych planowano łagier dla pionierów i bazę wczasową związków zawodowych. Obecnie Sawwatijewo zwrócono monachom, którzy tam krnąbrnych braci

zsyłają lub posłuszników na próbę.
Na Zalewnym jeszcze lód stał przy brzegu. Podjechaliśmy na traktorze jak najbliżej, by łodzi nie wlec w rozmiękłym śniegu przez las. Dalej Maksimka w pojedynkę ją potaszczył: najpierw pchał po lodzie, jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów, potem, gdy krucho się zrobiło, wlazł do środka i brzozową żerdzią się odpychał, aż trzasnęło, jakby pękła tafla szkła, i łódka chlupnęła w wodę. My tymczasem obeszliśmy jezioro po bagnach, przykrytych brudnym, namokłym śniegiem, brodząc miejscami po pas. Jarząbki pryskały nam spod nóg. Maksimka czekał koło ruczaju, łączącego jezioro z morzem, gdzie można łowić, daleko nie odchodząc, i słodką rybę, i morską. Okazało się, że mnisi nas uprzedzili. Ich sieci już stały. Obok swoje rzuciliśmy. Z lasu wyszedł ojciec Naum, z Mołdawii. Nie wyglądał na inoka, raczej... zbója przypominał. Zwalisty, pleczysty, włosy krucze, zaplecione w warkoczyk, w półszubku wyszywanym srebrną nitką, zielone wojskowe spodnie, wielki nóż za pasem, błotne buty do bioder. Był z nim posłusznik z Sawwatijewa, na oko niezbyt normalny. Przywitaliśmy się. Słońce siadało między wyspami Sosnowej Zatoki. Przybrzeżny lód, tak zwany pripaj, o głębokim odcieniu ultramaryny, pobłyskiwał tajemniczo na tle lasu. Na oświetlonych skarpach ryżo jarzyły się suche trawy. Wyżej bezlistne brzozy, gąszcz ciemnobordowy, z białymi maźnięciami pni. A nad nimi cierpka zieleń jodeł i rozświetlony błękit wiosennego nieba, stębnowany po krajach dukatowym złotem. Wrzaski

ptaków, szum wody. Zostaję sam. Maksimka ze Smirnym stawiają sieci w morzu, ojciec Naum z posłusznikiem poszli swoje sprawdzać. Przygotowuję ognisko. Las wilgotny, mało suszu. Pachnie mokrym

mchem. Gdzieś daleko tokuje głuszec. Przez ostre, przenikliwe świergoty drozdów dudni z wody mużycki mat. Drozdy nie dają za wygraną, drąc się wniebogłosy. Jakbym słyszał: won stąd, wandale, cudzy tu jesteście, niszczyciele, połamaliście traktorem młodziutkie brzózki, ledwie pędy puszczały, matem płoszycie ptaki, w tarło ryby łowicie, a po sobie zostawiacie wypaloną ziemię, puste butelki, puszki i żółte ślady moczu na śniegu... Sieci postawione. Ogień strzela. Przykucamy na mokrej ziemi. Chłodem ciągnie, od lodu oddaje. Słońce siadło, blado się zrobiło. Ani jasno, ani ciemno. Poszarzała biała noc. Na pniu wódka, słonina, razowy chleb, cebula. Czekamy na brzask. Z lasu znowu Naum wyszedł. Widać „Ruską" zwietrzył, ponoć lubi wypić. Nalewamy ojcu solidnego stakana. Po posiołku krążą ploty o Naumie, że za pijaństwo został w pustelnię zesłany przez namiestnika... Raptem mużyki się zrywają, przypływ niesie kry na sieci. Pobiegli do łodzi. Próbuję wykorzystać chwilę i wypytuję Nauma o przeszłość. Powtarzamy po stakanie, potem jeszcze raz, i jeszcze. Ojciec łamie język, kaleczy zdania, czasami mówi od rzeczy. Półgramotny, infantylny, dobry. Wyrósł w mołdawskim kołchozie, bez rodziców i bez szkoły, potem armia, gdzie go wyuczyli na szofera, połamali żebra i szczękę, i kręgosłup zwichnęli, dzięki czemu został przedterminowo zwolniony ze służby. Kiedy opowiadał
o tym w pociągu, wracając do rodzinnego kołchozu, jeden z pasażerów szepnął, że to był palec boży. I że powinien Panu podziękować. Zatem poszedł po monastyrach: od Kijowa, przez Ławrę Troicką, na Sołowki. Na Wyspach postanowił zostać, dobrze mu tutaj: las dookoła, woda, mało ludzi.

— A najważniejsze, że myślą tu za ciebie, że karmią

i robotę dają. W posiołku, jak wszędzie, głód i bezrobocie, a u nas pracy w bród i jesz trzy razy dziennie, do syta...
Maksimka ze Smirnym wrócili. Flądry przynieśli. Stawiamy uchę. Mat nie ścicha, mużyki monacha się nie

krępują. Czasem brzmi to groteskowo, na przykład: na ch..., ojcze, sieci stawiać, wystarczy dynamit, by same na ch... wylazły. Ucha pycha. Świta. Słońce wstaje nad Nową Sosnowką, obrysowując kamienną groblę, wybudowaną w latach trzydziestych przez zeka, nasyp kolejowy donikąd oraz resztki monastyrskich izb rybackich z XIX wieku. Latem bicze tam koczują i sezonowi dobywacze morskiej trawy. Ojciec Naum znika w blasku. Wyciągamy oblodzone sieci. Ręce grabieją. W morskich tkwią wielkie, tłuste śledzie, dorsze i stunki, dziwne ryby, pachnące świeżymi ogórkami, natomiast w jeziornych sporo płoci, okoni, kilka szczupaków, miętusów i jedna srebrzysta sieja. Pakujemy zdobycz na traktor. Słońce już nieźle przypieka, choć zaledwie czwarta. Wtem — co to? Długi, przeciągły dźwięk od morza. Ni to syrena, ni płacz. Narasta. Wypełnia las. Rozwibrowuje powietrze, goni ciarki po skórze. Światło drga, w gardle szorstka grudka. Wreszcie są, od morza lecą. To żurawie, ich klangor. Przenikający na wskroś. Do cna. I tam milknący. Przeleciały. Cisza... jakby bębenki w uszach popękały.
W milczeniu zbieramy się do drogi. Chwilę buksujemy w błocie zmieszanym ze śniegiem, silnik ryczy, olej kapie, smród spalin. Ruszamy. Przez zeszklone błota do Sawwatijewa, potem w prawo, na Siekirną, gdzie pod samym niebem lśni chram Pańskiego Wniebowstąpienia — tam zeka na żerdkach sadzali jak kury — i dalej prosto do posiołka. Po obu stronach

drogi las po kolana w wodzie, ciemnej i nieruchomej.

IV

Nie mogę ochłonąć z zachwytu, jakim napawa mnie zjawisko nocy polarnej, jasnej niemal jak dzień. Zdaje się, że jestem gdzieś poza światem, w którym dotąd przebywałem.

astolphe de custine

1

Białe noce na Sołowkach cicho tleją w lilaróż: od wyblakłych fioletów na pierwszym planie, przy samym brzegu, po amarant krzepnący w dali, na widnokręgu, tam gdzie słońce tonie w morzu, na mgnienie. Woda, niebo, obłoki i kamienie to różne tony różowego, nawet mgły i piana morska wyglądają jak żurawinowy mus. W białe noce Białe Morze jest spokojne: ni fałdy, ni zmarszczenia. Niczym wielkie, przyciemnione lustro, w którym można i wyspy zobaczyć, i ludzi. I siebie. Ludzie siedzą w łodziach, są czarni pod światło, jakby ich nie było — mroczne dziury w lila tle. Są głodni i nieruchomi. Czekają na śledzia, jedyne tu źródło białka dla wielu. A śledzie, też wygłodzone przez zimę, biorą na puste haczyki. Starczy kawałek kija, żyłka, dwie blachy po konserwach, imitujące ryby, a między nimi sześć, siedem haczyków. Jeśli idą ławicą, to nie nadążasz ich z wędki zdejmować, zrazu po kilka chwyta. Wtedy obraz ożywa, ludzie się poruszają, wędziskami kołyszą, co rusz śledź błyska, to tu, to tam. Czasami nawet śmiech dolatuje po wodzie, częściej jednak mat. Dni w tym okresie bywają niebieskie, od jasnego indygo do emaliowej lapis-lazuli, lub przezroczyste, jak... szyło. Na

drzewach pojawia się młoda zieleń, puszysta i delikatna, jak jeleni scypuł;

z ziemi, tłustej i nasiąkniętej, trawy wyłażą, robaki, czasem też ludzka kość, jeśli głębiej kopnąć. Początek czerwca to na Sołowkach pora ogrodów: czas sadzenia kartofli, reperowania inspektów, motania na paliki drutu kolczastego i wybierania z ziemi kamieni, które zmarzlina tu co wiosny wyciska, jak wągry. Kiedyś, w epoce późnego neolitu, Saamy budowali labirynty z kamieni, a dzisiaj ludzie klną na czym świat stoi, bo ich ręce od kamieni bolą: — Bliad'.

2

Na fotografii Sołowek, zrobionej ze sputnika (z wysokości dwustu sześćdziesięciu wiorst), widać niezwykłą gmatwaninę jezior, przesmyków, mierzei, zalewów, kanałów, cyplów i grobli, tworzących razem ogromny labirynt wodnych luster, który przypomina kamienne konstrukcje starożytnych Saamów. Między jeziorami biegną tropy: od starych traktów monastyrskich, kiedyś zapewne wygodnych, bo przeznaczonych dla bryczek i tarantasów, a dzisiaj wyboistych, dziurawych, porozbijanych ciężarówkami i traktorami, do kładek zbutwiałych, przełożonych przez mszary, i nikłych śladów ludzi, odciśniętych we wrzosach. Jedne wiodą w głąb wyspy, drugie w głąb czasu; niektóre plotą się brzegiem morza, wydzierganym przez fale, niczym ruskie koronki, inne tną na przełaj błota, lub czyjąś pamięć. Czasami droga wznosi się i opada, powtarzając rytm wzgórz morenowych, innym razem kluczy, jak wątek opowieści, omijając miejsca zdradliwe. Tropy sołowieckie można czytać bez końca, można nimi błądzić, szukać prawdy (gdzież ona?), spacerować, mędrkować, zbierać zioła, kamienie lub witki brzozowe do bani. Można też modlić się, chodząc nimi, jak ojciec Iłarion, zeka, który przebierał wiorsty nogami, niczym paciorki różańca przed śmiercią, albo zgubić się w poplątaniu

ścieżek i jezior, w zamotaniu czasu teraźniejszego przeszłego i obecnego,

w odbiciach, w echach i w echolaliach. Dlatego spróbuję, choć nie ręczę za dokładność, naszkicować plan (rodzaj bedekera), by ułatwić czytelnikowi orientację w tym świecie, przeze mnie pisanym.

3

Archipelag Sołowiecki leży w południowej części Morza Białego, na skraju zatoki Onega, sto sześćdziesiąt wiorst od kręgu polarnego. Składa się z sześciu dużych wysp oraz z dziesiątków małych. Największa z nich, Wielka Sołowiecka, ma dwadzieścia pięć wiorst wzdłuż i szesnaście wszerz, czyli jest większa niż Malta. Anzer, dziesięciokroć mniejszy, wysuwa się najdalej na północ. Na wschód wystają dwie Muksałmy, na zachód dwie Zajęcze. A wokoło sterczą korgi, bakłańce, poliwuchy, bakłysze, pachty i czury — różne formy kamiennych występów: od gołych głazów w liszajach jagielu po niewielkie łudy w kłębach karłowatej iwy i brzeziny, jak Babia, Psia, Wronia, Popia, Filipowa... Słowem, Sołowiecki Archipelag to kupa kamieni, przyniesiona przez lodowiec, przykryta warstwą ziemi, błota i piachu i porośnięta bujnym lasem, różnego rodzaju: i suchym borem sosnowym, i tajgą podmokłą, i tundrą. Las na Wyspach jest baśniowy, nieprzypadkowo Iwan Bilibin ilustrował ruskie bajki landszaftami sołowieckich ostępów. Rosną tu sosny i świerki, brzozy, osiny i olchy, jarzębiny i wierzby, a także cedry, ludzką ręką posadzone, jodły, klony, topole, modrzewie, czeremcha i bez. Powietrze pachnie jodem i żywicą. Klimat panuje morski, łagodny, jest znacznie cieplej niż na lądzie. Ćma jezior i ruczajów zapewnia słodką wodę, obfitość ryb, jagód i grzybów — pożywienie. Może dlatego w opisach Sołowek,

zarówno monaszych, jak i świeckich, bardzo często występuje metafora „oazy na pustyni Północy".
Główną wyspą Archipelagu jest Wielka Sołowiecka, o powierzchni niespełna dwustu pięćdziesięciu wiorst kwadratowych. Tu stoi kreml, posiołek i nasz dom, tutaj znajduje się większość skitów monastyrskich, śladów SŁON-a

i krocie innych osobliwości, stąd się zaczyna historia klasztoru, latopis Rusi na Północy, i moja opowieść. Na rzeczonej fotografii z kosmosu Wielka Sołowiecka Wyspa przypomina ludzki czerep, zwrócony pustym oczodołem na wschód. Zawiły profil brzegów, kręty jak bizantyjski ornament, liczy dwieście wiorst, choć obwód wyspy wynosi zaledwie sto. Różnica ginie w bezliku zatok, przylądków i cypli, zalewanych wodami przypływu. Od zachodu w Wielką Sołowiecka wrzyna się Zatoka Pomyślności, ze wszystkich stron ukryta od wiatrów, idealna na przystań. Tu cumują parostatki z turystami, barki towarowe, kutry. Tutaj zeka wysadzali... Na północ otwiera się Zatoka Sosnowa, tam najtłuściejszy śledź chadza, dlatego monastyr miał tam swoje tonie, potem SŁON na nich łowił, a dzisiaj mużyki rybaczą. Natomiast od wschodu podchodzi do samego posiołka Zatoka Długa, usiana masą wysepek, gdzie za łagru były fermy zwierząt futerkowych, karmionych lepiej niż sołowieccy zeka, bo ludziom dawali chudą bałandę, a lisom mięso i świeżą rybę, sobolom nawet orzechy i miód. Nic dziwnego, wszak ich futra w Paryżu noszono. Na południu Wielka Sołowiecka się zwęża i kończy Cyplem Pieczaka, z wieżą triangulacyjną na czubku sopki, widoczną z daleka z morza. Relief wyspy, powtarzający drogę lodowca, tworzą pasma wzgórz morenowych,

ciągnących się z północnego zachodu na południowy wschód: Chlebne, Wałdajskie, Grzmiące, Wilcze. Najwyższe wzniesienie, Siekirnaja Góra, ma dziewięćdziesiąt pięć i pół metra. Znaczną część Wielkiej Sołowieckiej zajmują torfowiska, to jest błota niezwykłej urody. Na jednym z nich, Filimonowskim, w 1925 roku zaczęto dobywanie torfu. Ci, którzy przeżyli, wspominają piekło: rycie rowów w mokradłach, karczowanie martwych pni, komary, meszki, omamy. W 1929 roku przeciągnięto tam linię kolei wąskotorowej, łączącą Filimonowskie Błoto z portem w Zatoce Pomyślności. Nasyp do dzisiaj się ostał, to piękna droga spacerowa wśród jezior. A jezior na wyspie mnóstwo, ponad pół tysiąca. Za igumena Filipa (czasy Iwana IV) wiele z nich połączono kanałami, podnosząc tym samym poziom wody w Świętym Jeziorze, co pozwoliło zrobić wodociąg w monastyrze i młyn. W okresie SŁON-a wykorzystywano

kanały do spławiania drzewa, wycinanego bez żalu w pień. Dzisiaj turystów kanałami wożą, na łódkach jak na gondolach, a śmiechu przy tym co niemiara, czasem też słychać pijacki wrzask. W czerwcu sezon turystyczny się zaczyna.

Anzer to druga co do wielkości wyspa Archipelagu, o podłużnym kształcie końskiej dolnej szczęki, wyciągniętej z zachodu na wschód, na szesnaście wiorst. Od Wielkiej Sołowieckiej oddziela go salma, czyli pięciowiorstowa cieśnina, gdzie morze kipi z taką siłą, że nawet zimą rzadko zamarza, odcinając Anzer od ludzi na wiele miesięcy. Może dlatego można tu jeszcze spotkać renifery, dziko żyjące. Anzer jest wyspą szczególną w Sołowieckim Archipelagu, wyspą specjalnego przeznaczenia. W jego skitach panował reżym sroższy niż w innych, mięsa i ryb tam nie jadano,

pątniczek nie wpuszczano i nawet rytuał nabożeństw był osobny: tylko panichidy odprawiano — msze za zmarłych. Za czasów SŁON-a na Anzer zawożono „mamki", czyli kobiety z dziećmi urodzonymi w łagrze, syfilityczki i duchownych różnych obrządków, w tym także grupę polskich księży katolickich (akta ich sprawy, tak zwane dieło, leżą w archiwach KGB w Archangielsku). Nikt stamtąd nie wrócił. Obecnie Anzer jest także pod szczególną ochroną: bez zezwolenia na piśmie wstęp nań surowo wzbroniony. Nawet mieszkańcy Wysp bywają tam półgębkiem, mimochodem. Natomiast turyści, podróżujący po Morzu Białym, mogą jedynie z daleka na Anzer popatrzyć. I od razu zauważą Golgotę, najwyższe wzniesienie Sołowek (dwieście metrów nad poziom morza). To kulminacja wyspy, zarówno w sensie geograficznym, jak i mistycznym. Na szczycie świecą resztki chramu Ukrzyżowania Pańskiego: ściany białe, jakby solą wyjedzone, puste jamy okien, w których mieszka wiatr. Obok kikuty skitu, szczątki cel zarośnięte iwanczajem, zapadnięte stropy... Niczym pozostałości po przybyszach z innego świata. Bynajmniej nie z tego, który rozpościera się w dole, u stóp Golgoty. Tam rośnie las wysokopienny, wiecznie zielony, w nim okna jezior (ponad osiemdziesięciu), w których widać niebo, gdzieniegdzie stada dzikich renów się pasą, dalej szumi morze. A na horyzoncie, w sinej mgiełce, majaczy góra Tabor na Muksałmie.

Muksałma jest owalna, trawiasta i zabłocona. Liczy prawie siedemnaście kwadratowych wiorst, z czego ponad połowa przypada na soczyste łąki, służące od najdawniejszych czasów do wypasu brackich krów. Już w pierwszym Opisie monastyru, z 1514 roku, można znaleźć wzmianki o

rogaciźnie i koniach na Muksałmie. W XIX wieku Muksałmę połączono z Wielką Sołowiecką za pomocą słynnej damby — kamiennej grobli długości trzystu sążni. Jednocześnie osuszono znaczną część muksałmskich błot, rozszerzając powierzchnię pastwisk. Na zachodnim brzegu wyspy bracia zbudowali wzorcową fermę krów, stajnię i kurnik oraz korpus mieszkalny dla pastuchów, cele monasze, zajazd dla pątników i chram Sergiusza Radonieżskiego. Za czasów SŁON-a zorganizowano tam sielchoz, w którym pracowały Ukrainki, przywiezione na Sołowki za ludożerstwo, sama zona zaś przypominała „niewielką, przytulną wioseczkę na głuchej prowincji", jak o niej pisano w łagiernym periodyku „Sołowieckije ostrowa" w 1929 roku. W latach trzydziestych Muksałma była modelowym ośrodkiem hodowli zwierząt i bazą dla całej sowieckiej Północy — stąd brano młode. Obecnie pastwiska zarastają pokrzywą i ostem, domy murszeją i gniją, a kraty w oknach żre rdza. Natomiast wschodnią część wyspy zalegają rozległe błota, tarasami się wznoszące na grzbiet Tabora. To mój ulubiony zakątek Sołowek: wiosną pachnie tam bagiennymi ziołami, latem moroszka dojrzewa, niczym łany bursztynu, a jesienią błota robią się ryżobordowe i goreją jak próchno. Grunt pod stopami to się zapada, to wzdyma, i masz wrażenie, jakbyś kroczył po pęcherzu ziemi, wypełnionym gęstą surowicą. Dalej Tabor się urywa, gwałtownie, ku morzu. U podnóża fale, wodny pył i Mała Muksałma w warkoczach piany, a na niej niewielka osada sezonowych dobywaczy morskiej trawy.

Po przeciwnej stronie Wielkiej Sołowieckiej, dwie i pół wiorsty na zachód, leżą Zajęcze Wyspy. Ani błot tam nie ma, ani jezior, ani lasu. Tylko piargi na zboczach niewysokich sopek, zwały szarych głazów poprzerastane

jagodnikiem i „tańczącą" brzozą. W tym bezładnym na pozór usypisku, jeśli uważniej się przyjrzeć, można odnaleźć ślady ludzi neolitu: czternaście labiryntów, ponad

sześćset kurhanów, dwa dolmeny i szereg innych budowli z kamieni. Zajęcze były kiedyś świątynią Saamów. Potem brać prawosławna postawiła swoje znamiona: krzyże, kaplice i cele. W 1702 roku imperator Rosji Piotr I własnoręcznie położył pierwszy wieniec chramu Świętego Andrzeja, na pamiątkę swojej wizyty na Sołowkach. Chram stoi do dziś. W latach 1854-1855, podczas oblężenia sołowieckiego monastyru przez Anglików, najeźdźcy lądowali na Zajęczych, by zagarnąć brackie kozy. Za czasów SŁON-a na wyspach urządzono izolator karny dla „rozwiązłych" kobiet, a także, wedle niektórych świadectw, wykańczano tam sekciarzy głodem. „Wychowawczego znaczenia Zajęczego Karceru nie sposób przecenić — pisała gazeta «Nowyje Sołowki» w 1925 roku — kto raz się w nim znalazł, ponownie tam nie trafi". I trudno cośkolwiek więcej powiedzieć, bo relacji stamtąd nie ma, tylko pogłoski doszły do nas, domniemania. Obecnie Zajęcze są celem turystycznych wycieczek, terenem letnich obozów archeologicznych dla studentów, a dla Sołowczan miejscem dla wypitek. Po posiołku chodzą słuchy, że tam gołe dziewki pląsają przy pełni miesiąca.

4

A teraz chciałbym cię zaprosić na wycieczkę. Dróg na Sołowkach jest wiele i wszystkich przejść niepodobna (tym bardziej wszystkie opisać), dlatego jedną choćby przejdźmy razem. Proponuję stary trakt monastyrski, obchodzący główne skity Wielkiej Sołowieckiej, zwany śród miejscowych

przewodników „wielkim kręgiem".
Z posiołka wychodzimy ulicą Siewierną, uważając na pijanych motocyklistów, mijamy przystań, skład paliw i wchodzimy w las. Woń mazutu po chwili znika. Z lewej strony otwiera się widok na zatokę morską, odciętą groblą z kamieni, którą zbudowano w XVI wieku, z inicjatywy igumena Filipa (Kołyczewa), tworząc tym samym zamknięty zbiornik słonej wody, by bracia mieli zawsze świeżego dorsza na stole, niezależnie od pogody na morzu. Dzisiaj Filipowe sadzawki zarastają zielskiem.

Dwie wiorsty dalej odnoga na prawo: do Makariewskiej Pustelni. Tam, w głębokiej dolinie, ze wszystkich stron osłonięta od wiatrów, stoi „dacza archimandryty" — rezydencja przeorów sołowieckiego klasztoru, zbudowana na początku XIX wieku. Osobliwy mikroklimat pozwalał tu monachom hodować dynie, arbuzy i róże. Za czasów SŁON-a na daczy żył Eichmans, naczelnik łagru. Niemiecki komunista, Karl Albrecht, goszczący u Eichmansa w 1928, długo potem wspominał drogocenne gobeliny, perskie dywany i stylowe meble. Naczelnik bawił się pysznie: codziennie świeże baby z kobiecej zony, kokaina, alkohol. A wokoło raby, zgięte nad grządkami, jarzyny, kwiaty. Za Eichmansa pustelnię zwano „chutorem Gorki" i tak pozostało do dziś. Obecnie to ogród botaniczny, oddział muzeum. Mieszka tu stróż, pomylony Grisza, syn kagiebisty z Murmańska. Kilka lat temu przeczytał Sołżenicyna i przyjechał na Sołowki, by na własne oczy zobaczyć, jak to przylega do ojcowskich opowieści. A kiedy poczuł, że mu się ziemia spod nóg osuwa, uwierzył w Boga i zaczął pić. Po pijanemu, bywa, z Eichmansem gada, a niekiedy sam

się Eichmansem mieni.
Idziemy dalej. Droga opada i wznosi się, powtarzając oddech lodowca, miejscami czasy minione lub czyjeś opowieści. Po obu stronach las, jeziora między drzewami drżą. Na piątej wiorście Korzino: świetlana woda, przystań dla łódek, altana. W krzakach ślady biwaków, puste butelki, pogniecione puszki, wypalona trawa. Kiedyś stała tu kaplica, ale ją rozebrali w czasach SŁON-a, na cegłę. W latach trzydziestych zeka stąd drewno spławiali, do pędzenia smoły. Dwie wiorsty za Korzinem rozstaj: na prawo droga do Isakowa, my zaś idziemy w lewo, na Siekirną Górę. Z daleka widać białą plamę chramu Wniebowstąpienia na szczycie, jakby ujętą w kadr tropy. W bębnie chramu, zbudowanego w 1860 roku, mieści się latarnia morska, za łagru obsługiwana przez monacha Flawiana. Opodal duży drewniany dom z oszklonym balkonem. Mieszka tu stróż Feliks z żoną. Po posiołku szumią ploty, że Feliksowie zeszli ludziom z oczu, by mętną przeszłość skryć. Naprzeciw domu stajnia, niżej kamienna bania i spichrz. Od początku istnienia SŁON-a na górze był karcer srogiego

reżymu. Dłuższych kar na Siekirnej nie przeżywano. Trupy grzebano na zboczach, w jagodnikach. Jagody do dzisiaj tu rosną dorodne. Na szczycie punkt widokowy, ławki, kosze na odpadki. W dole landszaft: tafle jezior okolone lasami, rozległe łęgi, ruczaje, pasmo Wilczych Wzgórz, wokół morze, to żarzy się w słońcu, to ćmi się we mgle. Za każdym razem, kiedy tu bywam, myślę, czy z takim widokiem przed oczyma lżej było umierać, czy trudniej? Schodzimy po schodach, którymi spuszczano zeka, przywiązanych do oblodzonej belki. U podnóża góry stoi krzyż. Co roku

na wiosnę, w prawosławną Radonicę, kiedy jeszcze śnieg leży kopny, a ptaki zaczynają krzyczeć, sołowieccy mnisi odprawiają tu panichidę za ofiary SŁON-a, kadząc dymem świerkowej żywicy, świeżo z drzew wyciekłej. Dym jest gorzkawy, kręci w głowie.
Parę wiorst dalej Sawwatijewo, były skit. Dziś niewiele zeń zostało: kamienny korpus cel bez dachu, wrak cerkwi, resztki drewnianego domu, fundamenty, gruz. Do niedawna myślano, by tu pensjonat urządzić, dom wczasowy lub łagier dla pionierów. Ale czasy się zmieniły i „nowi Ruscy" wolą na Majorce inwestować. Zatem Sawwatijewo oddano monachom. Bracia chłam uprzątnęli i pod południową ścianą chramu, tam gdzie słońce najbardziej praży, rozkopali spłacheć ziemi pod grządki kapusty, brukwi i rzepy. Postawili parniki dla ogórków, inspekty na pomidory. Dogląda tego Kostek, niedawno student prawa międzynarodowego i filologii arabskiej Uniwersytetu Moskiewskiego, a obecnie ogrodnik klasztorny. Tutaj, w ustroniu pustelni, wraca powoli do siebie po tym, jak mu głowa pękła od nadmiaru wiedzy. Kostek odwykł od ludzi i nie zaprasza do siebie, a już czas, by czaj wypić, wszak za nami piętnaście wiorst. Niedaleko Sawwatijewa, przy drodze na Isakowo, leży małe jeziorko Kupalne. Nad nim chata drewniana stoi, ławki, ognisko. Można przysiąść, odpocząć, przekąsić, wykapać się. A przy jasnej pogodzie można jeszcze zobaczyć resztki zatopionego baraku na dnie jeziora: drzwi z głazkom i z kormuszkoj, cienie nar. Ów ślad SŁON-a bywa niekiedy tak wyraźny, że mimowolnie się obejrzysz, czy to nie odbicie.

Po krótkim odpoczynku ruszamy dalej. Droga wiedzie przez wysoki, gęsty las, gdzie słońce sączy się, jak wybroczyna, cienkimi smużkami. Wtem, z

lewej strony, tafla Krasnego Jeziora łamie las i otwiera niebo, pod nogami. To tutaj Niestierow malował słynne Milczenie: dwie łódki na pierwszym planie, w każdej monach z wędką, obaj w toń zapatrzeni, jakby powtarzali za wodą litanię obłoków, w dali Siekirnaja Góra, chram Wniebowstąpienia... Dawniej, przed rewolucją, jezioro Krasne nazywano Białym. Na jednej z jego wysp jest maleńkie jeziorko, a na nim maciupeńka wysepka. Dochodzimy do Isakowa. Szeroka łąka zbiega ku jezioru, nad brzegiem wielki kamienny dom, obok drugi, osunięty w łopuchy, dalej pawilon z faniery, ni to kemping, ni stołówka zakładowa, powyżej, w kępie drzew, na wpół rozwalona drewniana obora, pozarastana malinami. Na początku XIX wieku zbudowano tu niewielki skit dla braci, zajmujących się rybactwem i sianokosami. Za SŁON-a skit rozrósł się w spory posiołek, z telefonem, klubem i szkołą likbieza (czyli: likwidacji analfabetyzmu). Była też ferma mleczna, ośrodek przemysłu leśnego, łagierne ogrody i szklarnie, o których opowiadała mi Jewdokia Jakowlewna, żona ostatniego sołowieckiego nadzorcy zeka. Potem Isakowo opustoszało, bezpańskie. Część budynków rozgrabiono, część spalono, a resztę wykupił Awtokombinat z Archangielska i urządził w byłym skicie ośrodek wypoczynkowy. Czynownicy wszystkich rang tu bywali, od aparatczyków najniższego szczebla do pierwszych sekretarzy, generałów i ministrów. Dzisiaj Isakowo znowu jest bezpańskie, okazało się bowiem, że archangielski Awtokombinat nie miał prawa kupować zabytku, a sołowieckie muzeum nie ma pieniędzy, by go utrzymać. I tak resztki isakowskiego skitu służą obecnie miejscowym naczelnikom do najróżniejszych popojek a la russe.

Dalej drogi się łączą i wracamy do posiołka tym samym szerokim traktem,

którym zeń wyszliśmy. Zatem zatoczyliśmy krąg, jak czerwcowe słońce na nieboskłonie lub jak opowieść o rozwidlających się ścieżkach. Bo Sołowki nie mają ani początku, ani zakończenia...

5

I jeszcze jedno: należy uważać! Na Sołowkach setki jezior odbijają świat, nad wodą pochylony, a złudzenia optyczne, częste na Północy, sprawiają, że te odzwierciedlenia zdają się czasem bardziej realne niż rzeczywistość, natomiast granica między nimi ulega zatarciu. Słyszałem o pijanym pątniku, który wpadł do wody i utonął, bo wziął odbicie monastyru w Zatoce Pomyślności za Święte Wrota w rzeczy samej... Opowiadano mi też o Julce M., tutejszej poetce, która się pomieszała od tych zwielokrotnień i powiesiła się, by wrócić do jedności. Na korze brzozy zostawiła dwuwiersz, ołówkiem:

By do Was przyjść, odchodzę — Tak będzie mi po drodze.

Większość z tego, co pisano o Rosji za granicą, niewiele ma wspólnego z rzeczywistością.

Joseph de Maistre

1

Pierwsi cudzoziemcy, angielscy żeglarze Thomas Southem i John Spark, przybyli na Wyspy Sołowieckie w 1566 roku. W ich zapiskach czytamy: „29 czerwca przy wschodnim wietrze wyszliśmy z Żyżgina o piątej po południu. Idąc kursem na południowy zachód, w odległości 30 mil od Żyżgina minęliśmy wyspę Anzer. 15 mil dalej, wedle tego kursu, osiągnęliśmy cypel wyspy Awdon (Sołowiecki)". Nie wiemy, skąd Anglicy wzięli nazwę Awdon. W innych źródłach jej nie ma. Natomiast w

Słowniku cerkiewnosłowiańskim Diaczenki: awdon — to rabskij, czyli niewolniczy.

2

Pierwsze zapiski cudzoziemców o Moscovii (początki genre'u) przypadają na okres narodzin ruskiego Imperium. Granice Europy na wschodzie przebiegały wtedy wzdłuż Donu, czyli Moskwa leżała w Azji — wedle pojęć i map tamtych czasów. W XVI wieku Europejczycy odkryli nowy świat — moskiewską Ruś. Polak Maciej z Miechowa pisał w przedmowie do Traktatu o dwóch Sarmacjach: „Południowe kraje i narody aż do Indii zostały odkryte przez

króla Portugalii. Niechaj północne kraje oraz narody żyjące nad Oceanem Północnym, odkryte przez wojska króla polskiego, staną się znane światu". Traktat Miechowity — według E. Kluge — jest przykładem tendencyjności Polaków piszących o Rosji: „pod koniec XVI wieku, w znacznym stopniu pod polskim wpływem, powstaje obraz Rosji barbarzyńskiej, azjatyckiej i wrogiej, a stosunek Zachodu do Rosji przybiera charakter izolacjonizmu i ksenofobii". Prócz Miechowity do roli „odkrywców" nowego świata pretendowali i inni: Albertus Campensis, Ioannes Fabri, Paulus Iovus. Znamienne, że żaden z nich nigdy nie był na Rusi i detale swoich relacji przepisywali—jeden od drugiego. Głównymi informatorami europejskich pisarzy o Moscovii byli tłumacze ruskich posłów.

Ów nowy świat, odkrywany za pomocą tłumaczy, niby był podobny do krajów Europy (nie ma nic bardziej zawodnego niż to pozorne podobieństwo), lecz niezupełnie: i skala nie ta, i obrządek religijny nieco

inny, i porządek państwowy dziwaczny... Autorzy pierwszych relacji o Moscovii nie zawsze dokładnie pojmowali, co im mówiono, często przykrawali informacje do realiów znanych sobie i swoim czytelnikom, wyrywali fakty z kontekstu i oceniali je wedle własnych norm, obce pojęcia wkładali w swój system odniesień — co przydawało im inny odcień lub sens. Słowem, od początku pisania o Rosji, obok problemu językowego, pojawiła się kwestia przekładu z jednego kodu kulturowego na drugi. Poza tym europejscy pisarze, uwikłani w religijne i polityczne spory epoki, często naciągali opis moskiewskiej Rusi pod swoje tezy w kłótniach z przeciwnikami, dając w efekcie obraz pożądany miast prawdziwego. Dla przykładu: rzekoma skłonność ruskiego cara do przejścia na katolicyzm służyła jako argument przeciw reformacji. Można też znaleźć w szesnastowiecznych traktatach o Moscovii ślady fantazjowania ruskich informatorów, bądź dla zmylenia przeciwnika (na przykład w zawyżaniu liczby wojsk cara), bądź dla żartu czy z niewiedzy, zwłaszcza kiedy rzecz dotyczyła rubieży Imperium, choćby Dalekiej Północy, zamieszkiwanej — w europejskim mniemaniu — przez szczebioczących pigmejów, Samojedów do pępka kosmatych

i ludzi pokrytych rybią łuską. Sądzę, że i dziś wielu Europejczyków wie o Samojedach niewiele więcej...

Zresztą Europejczycy dzisiaj piszący o Rosji rzadko wychodzą poza banały sformułowane wtedy — w pierwszej połowie XVI wieku. Dlatego warto poczytać stare traktaty, by zobaczyć, jak się kształtowały ruskie stereotypy w Europie. Na przykład: Rosja jako więzienie. Już w 1522 roku Campensis pisał: „cały ten kraj, niezależnie od jego obszerności, jest tak

szczelnie zamknięty i strzeżony, że nie tylko raby, lecz i wolni ludzie nie mogą stamtąd wyjść, ani tam wejść, bez carskiej hramoty". Już wtedy mówiono
o przesiedlaniu całych narodów z kaprysu cara, o niezwykłym pijaństwie wśród Ruskich, o ich lenistwie, chytrości
i podejrzliwości, a także o lekkich obyczajach ich żon (jakoby każdą można było posiąść za niewielką opłatą), i o brudzie, i o błocie... I już wtedy zauważano, „że żaden inny naród nie cieszy się tak złą sławą jak Ruscy". Dlaczego? Bo żaden inny naród nie był tak podobny do Europejczyków, nie będąc nimi. Ani wtedy, ani później ludzie z Zachodu nie zadawali sobie trudu, by pojąć rosyjską rzeczywistość od środka, to jest spojrzeć na Rosję oczami ruskiego człowieka i tylko potem to przełożyć na swój język, zachowując proporcje. Niestety, ludzie z Zachodu oglądają Rosję od zewnątrz — z punktu widzenia Europy — i przykrawają to, co obejrzeli, na swój ład. Najlepszą ilustracją tej europocentrycznej wizji świata jest mapa Moscovii z 1544 roku Anthoniusa Wieda z Gdańska, na której strony naszego globu są przesunięte o dziewięćdziesiąt stopni, tak że patrzymy na Ruś od zachodu, mając północ po lewej ręce, wschód zaś rozciąga się w górę, a w miejscu bieguna jest... Tartaria.
3
Z rozwojem ruskiego Imperium rozwijał się sam genre: zapiski cudzoziemców o nim, obejmujące zarówno relacje naoczne, jak i oparte na słuchach z ust trzecich. Wspomniany już Miechowita, prekursor polskich zainteresowań

Rusią, wiadomości o wschodnich sąsiadach czerpał najprawdopodobniej z

opowiadań ruskich jeńców, wziętych do niewoli w bitwie pod Orszą. Stąd moc niejasności i fantazjowania w jego dziele. Inny klasyk gatunku, Siegmund von Herberstein, autor Rerum moscoviticarum commentarii, bywał co prawda w Moskwie dwukrotnie, w latach 1517 i 1526, jako poseł Habsburgów, lecz jego opis państwa Wasyla III, choć szczegółowy i z mapami, też nie jest wolny od fantazji, zwłaszcza tam, gdzie Herberstein sam nie chadzał, tylko się opierał na relacjach innych (na przykład w opisaniu Sołowek). I dopiero angielscy żeglarze XVI wieku, jak Thomas Southem i John Spark, pisali rzeczywiście o tym, co sami widzieli. Później bywało różnie. Pisywali o Rosji dyplomaci, najemnicy, uczeni i szpiedzy, podróżnicy, pisarze, więźniowie i zsylni. Między innymi: jezuita Antonio Possevino, legat papieski Grzegorza XIII, niemiecki awanturnik Heinrich Staden, oprycznik Iwana Groźnego, francuski kondotier Jacques Margeret, kapitan straży przybocznej Borysa Godunowa, ostatni król Rzeczypospolitej Stanisław August, nieszczęsny faworyt Katarzyny II, i książę Adam Jerzy Czartoryski, zausznik Aleksandra I, poseł króla Sardynii Joseph de Maistre — ten żył w Petersburgu aż czternaście lat, pani Anne Louise Germaine de Staël, która tu uciekła przed Napoleonem, Astolphe de Custine, Aleksander Dumas ojciec, Théophile Gautier, potem rewolucjoniści wszelkich maści i odcieni, dalej goście generalissimusa Stalina, André Gide i Lion Feuchtwanger, i stalinowscy zeka: Weissberg-Cybulski, Herling-Grudziński, Aleksander Wat, wreszcie całkiem niedawno laureat literackiej Nagrody Nobla Claude Simon, zaproszony przez Michaiła Gorbaczowa, i Ryszard Kapuściński, autor Imperium. Rzecz jasna, nie wszyscy pisali
o tym, co sami widzieli, niektórzy woleli powtarzać, co im pokazywano,

inni nie mogli zobaczyć tego, co naprawdę by chcieli, a jeszcze inni oglądali to, czego w ogóle tam nie było, nie dojrzeli zaś tego, co wszyscy widzieli. „Dlatego zapiski cudzoziemców o Rosji czytać należy wybrednie i ostrożnie — podkreśla Kluczewski — najczęściej bowiem, poza nielicznymi wyjątkami, cudzoziemcy pisali na

wyczucie, wedle pogłosek, i zazwyczaj wyciągali ogólne wnioski z przypadkowych zdarzeń, natomiast publika, czytająca owe relacje, nie mogła ani potwierdzić, ani zakwestionować ich wiarygodności; nie darmo jeden z zagranicznych pisarzy jeszcze na początku XVIII wieku powiedział, że naród rosyjski na przestrzeni wielu stuleci miał to nieszczęście, iż każdy mógł o nim rozpuszczać po świecie najróżniejsze brednie, nie ryzykując ośmieszenia".

4

Imperium Ryszarda Kapuścińskiego jest ostatnią cudzoziemską relacją o eurazjatyckim mocarstwie, dokładniej — relacją o jego rozpadzie. Tym samym mamy do czynienia nie tylko z dezintegracją Imperium, ale i z kryzysem genre'u, albowiem: „...całość nie kończy się wyższą i ostateczną syntezą, lecz przeciwnie — dezintegruje się i rozpada dlatego, że w trakcie pisania książki rozpadowi uległ jej główny przedmiot i temat — wielkie mocarstwo sowieckie".

Kapuściński penetruje temat i wszerz, i w głąb. Podróżuje i w czasie, i w przestrzeni. To wraca do swojego pierwszego spotkania z Imperium „przy moście łączącym miasteczko Pińsk z Południem świata" w 1939, to się zapuszcza na teraźniejszą Kołymę, to w przyszłość patrzy, powtarzając za Tołstojem: „Jedziemy Bóg wie dokąd i Bóg wie, co się z nami dzieje!"

Przy tym podkreśla, że te podróże odbywał sam, omijając oficjalne instytucje i trasy, a ich szlak prowadził od Brześcia nad Bugiem do Magadanu nad Pacyfikiem i od Workuty za kołem polarnym do Termezu na granicy z Afganistanem. Dodajmy jeszcze: Tbilisi i Baku, Erewan i Górny Karabach, Jakuck, Irkuck i Ufę, i Donieck, i Kijów, i Drohobycz, i Nowogród, i Mińsk, i Pińsk... i tu mi się nasunęła pierwsza wątpliwość: czym był uzasadniony wybór? Dlaczego akurat te (a nie inne?) punkty na mapie Imperium przyciągnęły uwagę Kapuścińskiego?
„Gdyby udało mi się — planował autor Imperium — chciałbym przejechać przez cały Związek Radziecki, przez

jego 15 republik związkowych..." — niby sprawa się wyjaśnia, ale nie całkiem. Bo planując dalej, śród najbardziej wysuniętych punktów tej podróży, na Północy Kapuściński wymienia Workutę albo Nową Ziemię. Lecz przecież Workuta i Nowa Ziemia to dwie różne rzeczy. Tu deficytowe kopalnie, resztki łagrów i górnicy bez pracy, tam poligony atomowe, odchody jądrowe i ekologiczna katastrofa. Zaufać przypadkowi przy wyborze drogi to jakby pisać książkę, rzucając kości, gdzie tematy podsuwa los i wola urzędników (dających pozwolenie na pobyt na Nowej Ziemi) — a nie logika rzeczy. Zamiar ogarnięcia całych Sowietów, od krańca do krańca, kryje w sobie ryzyko niezobaczenia tak naprawdę niczego, zwłaszcza tego, co pośrodku (w głubinkie). Choćby postsowieckiej wsi, której w ogóle brak w Imperium. Metoda Kapuścińskiego jest prosta jak turystyczny wojaż: po kilka dni to tu, to tam, i z każdej dziury rozdział-obrazek, niczym slajd na pamiątkę. Rzecz jasna, świetny pisarz nawet obrazki robi wyśmienite, tylko... po co? By

zrobić komiks o Imperium?
Próba objechania całego Związku Radzieckiego i zobaczenia, co się dzieje i w Tomsku, i w Omsku, efektowna, acz powierzchowna, siłą rzeczy sprowadza się do uproszczonych diagnoz — skrótów i symboli — w które autor upycha wrażenia, często niewyklarowane do końca. W Lapidarium III Kapuściński notuje: „Żyć tak długo w jakimś kraju, żeby móc powiedzieć: zupełnie go nie znam". No właśnie! Czym więc, jeśli nie pośpiechem, tłumaczyć tę skłonność do konkludowania w Imperium? Ot, ludzie w barze szybko jedzą — zauważa pisarz — to pewnie widmo głodu, zakodowane w pamięci zbiorowej, doszło do głosu... Albo: dlaczego w sklepie brak łyżek i noży? Bo cały surowiec, potrzebny do ich wytworzenia, zużyto na produkcję drutu kolczastego... Wziąłem przykłady pierwsze z brzegu, ich moc. Kapuściński zdaje sobie sprawę z tych uproszczeń, ponieważ: „...nie da się uniknąć abstrakcyjnego podejścia. Ogromną skalę dziejących się wydarzeń można przedstawić, tylko używając języka i pojęć ogólnych, syntetyzujących, właśnie — abstrakcyjnych, mając świadomość, że raz po raz będzie się wpadać w pułapkę uproszczeń i

łatwo podważalnych twierdzeń". Lecz mimo to skala tematu przerosła możliwości genre'u i zamiast syntezy rzecz się rozpadła... na detale. Detale? Siłą dokumentalnej prozy jest szczegół, pod warunkiem, że starannie dobrany, jak soczewka skupia w sobie problem bądź zjawisko. W przeciwnym razie szczegóły nużą, miast kondensować, rozmazują obraz. Starczy porównać Pierwsze spotkania z Imperium (lata 1939-1967), które już osiadły w pamięci autora, niczym osy w bursztynie, z rozdziałem Z

lotu ptaka (lata 1989-1991), świeżo wyciekłym, doń wszystko się lepi, byle kurz. Tam pył z landrynek miał swoją wymowę, tu pot autora bywa zbędny (na przykład na lotnisku w Stepanakercie). Albowiem uwaga pisarza rejestruje każdy szczegół, w danej chwili wszystko zdaje się ważne i dopiero po czasie, z dystansu, można odsiać to, co istotne, od chłamu. Dobór detali pokazuje, czy autor panuje nad rzeczywistością, którą się wziął opisywać, czy też owa rzeczywistość narzuca mu swój bezład, w którym rządzi traf... i wtedy nie pozostaje nic innego, jak się tłumaczyć rozpadem tematu. (Ba, nawet dobór książek, cytowanych w Imperium, sprawia wrażenie przypadkowości, jakby autor przytaczał wszystko, co czytał podczas pisania: Ingardena i Bruno Schulza, Leonarda i Simone Weil... Czasem źródła świadczą o książce i czerpanie wiedzy historycznej o Rosji u marksisty Ejdelmana, przy pominięciu Karamzina czy Kluczewskiego, mówi samo za siebie).

I, na koniec, język: „...staram się pisać krótkimi zdaniami — czytamy w Lapidarium III — one stwarzają tempo i ruch. Są szybkie i dają prozie jasność. Ale gdy pisałem Imperium, nagle zdałem sobie sprawę, że w tym wypadku opis wymaga dłuższych zdań. Wynikało to z rozlewności tematu, którego nie można ująć krótkimi zdaniami. Styl musi być odpowiedni do przedmiotu. Opis bezmiernie szerokiego, rozległego rosyjskiego krajobrazu wymagał długich zdań". Zatem porównujemy: „...język rosyjski o frazie szerokiej, rozległej i nieskończonej, jak ziemia rosyjska — to już z Imperium — żadnej tu kartezjańskiej dyscypliny, żadnej aforystycznej ascezy". Ejże, a lakonizm Gogola, Achmatowej, Szałamowa? Warłam Tichonowicz pisał, że w

ruszczyźnie istnieją dwie tradycje: fraza Tołstoja, zwolniona i ciężka, jak odwracanie łopatą skiby, i fraza Puszkina, krótka i dźwięczna, jak policzek. Zapominanie o jednej z nich sprawia, że i Rosję tylko na poły można pojąć, zgodnie z formułą Miłosza, według którego w rosyjskim języku jest już wszystko, czego się można o Rosji dowiedzieć.

5

Z rozwojem mass mediów pojawił się w Rosji nowy typ cudzoziemców piszących o niej — zagraniczni korespondenci. Niestety, ich relacjom, w większości wypadków, można zarzucić to, co Kluczewski miał za złe ichnim poprzednikom. Na początku lat dziewięćdziesiątych pracowałem w Moskwie dla jednej z polskich gazet i miałem okazję z bliska się przyjrzeć robocie kolegów korespondentów. Zwłaszcza jednego zapamiętałem, mniejsza o nazwisko, ten pisał do trzech gazet naraz, a ze wszystkich zdarzeń bieżącego dnia najważniejsze dlań było popołudniowe wydanie „Izwiestii", z których preparował parę grepsów i wieczorem je nadawał — jako własne. Inni, nie tak wygodni, biegali na wszelkie możliwe konferencje prasowe, konwentykle i bankiety, gdzie pilnie łykali czepuchu (bzdurę) tam serwowaną. Trzeba przyznać, że Rosjanie są mistrzami w podawaniu tejże, o czym niejeden cudzoziemiec mógł się przekonać, choćby de Custine. Niektórzy jeszcze oglądali rosyjską TV i stamtąd czerpali natchnienie. Należy też dodać specjalny sklepik na Biegowej, gdzie każdy korespondent mógł się zaopatrzyć w produkty spożywcze, których w Moskwie wtedy brakowało, i wiele innych przywilejów, oddzielających nas, niczym matowa szyba, od rzeczywistości, by zrozumieć, że obraz Rosji w zagranicznych mass mediach i Rosja w rzeczy samej — to dwie różne rzeczy. Oprócz ludzkiego czynnika, jak

lenistwo, ignorancja, brak wiedzy (wspomniany kolega Gogola nie czytał, a Powieść minionych lat przypisywał Puszkinowi!), równie istotne są ogólne braki mediów: pośpiech (należy zdążyć do kolejnego wydania), uniemożliwiający skupienie, niezbędne

do zobaczenia zjawisk głębszych, często ważniejszych dla prawidłowej diagnozy niż efektowny, choć powierzchowny greps; stadny instynkt żurnalistyki, który sprawia, że korespondenci walą kupą na miejsce zdarzeń, czy to wojna, czy pucz, czy konferencja prasowa, i piszą, komentują, wszyscy to samo; pogoń za sensacją, skandalem i krwią, przy lekceważeniu powszedniości, nieatrakcyjnej z punktu widzenia masowego czytelnika; skupienie uwagi na wielkiej polityce, z pominięciem peryferii i prowincji; wszystko to sprawia, iż znakomita część dziennikarskich doniesień o dzisiejszej Rosji nie wychodzi poza banał, stereotyp lub podanie.

6

Ot, choćby wijuszka — zasłonka w ruskim piecu. U Rozanowa w Opadłych liściach można znaleźć taki ustęp: „W nowych piecach przekręcasz rączkę w jedną stronę — komin otwarty, przekręcasz w drugą stronę — zamknięty. To nie po bożemu (w oryginale: niebłagoczestiwo). Bo brakuje w tym pomyślunku i pieczołowitości. Aliści dawniej kładłeś maleńką zasłonkę, nie nachylając jej w prawo ani w lewo, i ona przylegała od razu i szczelnie. Potem dużą zasłonką przykrywałeś tamtą małą, jak czapką..." Jakiż cudzoziemiec pojmie „pobożność" Wasilija Wasiliewicza w tym ustępie? Wszak w europejskich domach ani pieców ruskich, ni zasłonek. Kiedy pierwszy raz czytałem Opadłe liście, mieszkając w

moskiewskim wieżowcu opodal Izmajłowskiego parku, nie zwróciłem uwagi na subtelność rozważań autora o zasłonkach i bogobojności. Doświadczenia zabrakło, wyobraźnia spała. Powtórnie rzecz czytałem na Sołowkach, w domu dawnej biostancji na Cyplu Śledzia, wysiadując długimi zimowymi wieczorami u otwartych drzwiczek naszego pieca. Trzaskał ogień, płomień rzucał cienie na ściany, w oknach pełgały odblaski, jak w magicznej latarni, a na noc zamykałem komin, kładąc najpierw maleńką zasłonkę, uważnie, by nie przekrzywić jej ani w lewo, ani w prawo, a potem dużą przykrywałem

tamtą małą, jak czapką. Od razu też, i szczelnie, poczułem precyzję myśli Rozanowa. Można rzec, że sam jej popróbowałem.

VI

Ten kraj to zupełnie inny świat i sądzić o nim nie sposób, nie pożywszy tu czas jakiś.

Joseph de Maistre

1

Lato na Wyspach jest krótkie i gwałtowne, jak ejakulacja. Ledwie śniegi wsiąkną w ziemię, zieleń strzela w okamgnieniu: zrazu delikatnie, niby szmaragdową pianą, powleka drzewa, potem wytryska z każdej szpary, spod głazów monastyrskich ścian się wyściubia, wyściela drogi, zarasta pomojki, zaciąga rzęsą jeziora i stawy, i nawet kamienie... zielenieją. Łąki są pełne kwiatów, soczystych traw i ziół o mocnym, cierpkim aromacie: miodunki, wyki, iwan-czaja, złocienia, rumianków, jaskrów, dzwoneczków, kostrzewy, różowych nieśmiertelników, zwanych kocimi łapkami, tawuły, dmuchawców, weroniki, fiołków, groszków

gwiaździstych, wierzbownicy, niezapominajek, lwich paszcz, koniczyny, wiechliny, wyczyńca. Na łęgach rośnie rosiczka, moroszka, bagno i wrzos, paproć, mech torfowy, wełnianka, łochynia, skrzyp i żurawina. Wszystko to kłębi się, pyli, mnoży i dzieli, i pnie się do słońca, które tu latem świeci dwadzieścia godzin na dobę, niczym monstrualna lampa. Ludzie na Wyspach, jak te rośliny, też cieszą się światłem, też sycą się ciepłem i gżą się, bez umiaru. Każdy z każdym, jak leci, przypadkiem złączeni lub wódą, wspólnie pitą. A potem rodzą się dzieci, jak obrzynki, każdemu czegoś brakuje: to uma, to mamy, to domu. I rosną, jak te rośliny...

2

Po miesięcznym pobycie w Polsce i Francji wróciłem do siebie — na Cypel Śledzia. Ogród tymczasem zarósł pokrzywą, mokrzycą i dzikim szczawiem, pajęczyny dom zasnuły, a koty się skołtuniły i trzeba je będzie wystrzygać. I tylko morze za oknem jest Białe, jak było, i w moim komputerze nic się nie zmieniło — wystarczy włączyć ekran, by stare ślady znaleźć, ślady swoich myśli, sprzed miesiąca. I teraz, kiedy znowu siedzę za piśmiennym stołem, z oczami utkwionymi w rozjarzoną wodę (właśnie przypływ się zaczął), to mam wrażenie, iż Paryż i Normandia, Wrocław i Kotlina Kłodzka były sennym przywidzeniem, a ludzi, których tam spotkałem, wymyśliłem. Nawet dom w Maisons-Laffitte, chociaż tak realny, bo przecież wysyłam doń swoje teksty (ba, dzięki niemu jestem), stąd raz się jawi lądem stałym, dokąd można by przybić, a innym razem — świetlnym mirażem na rozedrganym widnokręgu...

Polskę stąd widać małą i ciasną, i podrażnioną. I jeszcze mam w uszach tę osobliwą, pełną pretensji, intonację dzisiejszej polszczyzny — po siedmiu

latach nieobecności w kraju moją uwagę (filologiczną) zwrócił rytm potocznej mowy rodaków — ów podwyższony ton, w którym jedni mi dowodzili, że i Papież, i król popu wybierają Polskę, a inni, że wszyscy tam kradną. Miłosz zauważa, że Polacy przyjeżdżający z Rosji nie potrafili się znaleźć w Rzeczypospolitej. Na przykład ojciec poety: „Rosja była przestrzenią, człowiek nie musiał na każdym kroku zderzać się z człowiekiem i ktokolwiek w niej zasmakował, źle się czuł w krajach bardziej cywilizowanych, ale gęsto zaludnionych i ciasnych. To właśnie przydarzyło się memu ojcu. Mieszkając później w Polsce, stale narzekał na brak rozmachu, na małość wszystkiego i marazm".
Natomiast Paryż nawet stąd pachnie wanilią i jadłem. I jeszcze czuję ból w nogach, „bo przecież Paryż do chodzenia jakby specjalnie został stworzony i nie znam innego miasta na świecie, po którym chodziłoby się równie ekstatycznie" (Krzysztof Rutkowski). Ale powoli nikną i wonie, i tony, i bóle... Zaciera się smak deszczu w winie, które piliśmy

z Wiktorem pod Hotel Lambert, i zapach morza w mulach, które jedliśmy z Agatą i Wojtkiem w Yport. I blednie noc świętojańska w Port de Montobello, i zacichają bębny Malicka Laye w Cafe Calife, i bas Matty Ma z wolna milknie. Blakną kolory Damy z jednorożcem w Musée de Cluny, witraże z Notre Dame się ćmią. Tylko rysy przyjaciół, spotkanych po latach, nabierają ostrości, z biegiem czasu...
Tutaj, na Cyplu Śledzia, parę tysięcy wiorst od Paryża, przeglądam album Czapskiego, słucham płyty Paola Contiego, a na moim piśmiennym stole leży ostatnia „Kultura", kilka zdjęć, nieco sztychów Ducolleta i plik notatek o dekadencji zachodniego świata — jako dowód, że on jeszcze

istnieje.

3

Gombrowicz twierdził, że nie należy pisać „zupa pomidorowa jest dobrą zupą", bo to uzurpacja, natomiast mamy pełne prawo mówić „mnie smakuje zupa pomidorowa". Oto styl, wedle Gombrowicza. Być może to kwestia stylu, lecz ja bym poszedł dalej — w konkret. Bo przecież bywają zupy pomidorowe niedobre, czasem przypalone, czasem przesolone, więc tylko powiedzenie „mnie smakuje ta zupa pomidorowa" ma realny sens. Na przykład: ta, którą jadłem na obiad w Laficie, była naprawdę pyszna! Ów obiad wspominam nieprzypadkowo, bo z pytań, które mi za stołem zadawano, pojąłem, że choć już trzeci rok piszę do „Kultury" o Sołowkach, nikt nie wie, jak tu żyjemy na co dzień: co jadamy, jak się odziewamy, czym czas wypełniamy? I tam, w Laficie, za stołem, bodaj przy kaczce nadziewanej, a może przy deserze (fantastyczna napoleonka!), przyszedł mi do głowy pomysł na ten ustęp. Ustęp o naszym życiu-byciu powszednim, sołowieckim. Zaznaczę od razu, że nasz byt w niczym się nie różni od sposobu życia innych Sołowczan (rzecz jasna, pomijając bomżów), warunki Dalekiej Północy narzucają bowiem określone formy postępowania: zarówno w domu, jak i na morzu. I tak: karmią nas tutaj i woda,
i ziemia, i las...

— Morze to nasze pole — mawiają Pomorcy. Na tych szerokościach geograficznych zboże nie rośnie i ryba tu nierzadko zastępuje chleb. W Białym Morzu żyją różne ryby, często niespotykane w polskim języku, dlatego nazywam je po tutejszemu. Najprzód idzie sieliodka, czyli tłusty

śledź, z którego Sołowki jeszcze za cara słynęły, oraz treska (dorsz), dzięki niej Pomorców dawniej „treskojedami" zwali. Obie na zimę solimy, w solidnych beczkach. Dalej nawaga, maleńka, acz znakomita, koriuch, pachnący świeżymi ogórkami, i wielka kambała (flądra), tę łowimy na oścień. Rzadziej zachodzi w sołowieckie zatoki krasna ryba, z rodziny łososiowatych: siomga, gorbusza, kumża. Czasem też sig (sieja) w sieci trafia lub pinagor. (Prócz ryb morskich jadamy też słodkowodne, bo jezior tu bez liku i ryb w nich w bród: jest i okoń, i sielawa, i płoć, i jazgarz, i miętus, i karaś, nieraz szczupak się łapie, niekiedy pstrąg lub karp). Ryby łowimy na wędkę, w sieci, na oścień i więcierzem — jak kto umie i lubi. Zimą zaś sieci się stawia pod lodem albo się siada z wędą nad przeręblą, obserwując grę słońca w torosach. Morze nie tylko rybę nam daje, ono drwa na opał wyrzuca i morską kapustę, bogatą w witaminy i jod. Zaprawdę, karmiciel.

Ziemia na Północy jest trudna do uprawy. Żyznej gleby tu mało, przeważa piach, glina i kamienie. Czasem grunt na grządki trzeba przywieźć z dala, potem grządki się szaluje, by deszcz gruntu nie wymył, nawozi gnojem lub niaszej (zgniłymi wodorostami) i tylko wtedy można sadzić. Klimat tu także nie sprzyja ogrodom: śnieg leży długo, ziemia wolno taje, a częste przymrozki warzą rośliny. Za to słońca mamy pod dostatkiem, bywa nawet, że za dużo, ot, rzodkiewka, dla przykładu, rośnie w pędy, zamiast w korzeń, od nadmiaru światła. Na Sołowkach dominuje kartoszka — główny produkt spożywczy na Wyspach. Ba, kartoszka tu to więcej niż jadło, to święta roślina postsowieckich czasów. Jej sadzenie ma charakter obrzędu: na początku czerwca (obowiązkowo przed Trójcą), w jednym czasie wszyscy razem wychodzą na grządki, całymi rodzinami: zady w

niebo wypięte, jak przy pokłonach, najpierw dwa, trzy dni kopią, potem zagrzebują bulwy, troskliwie przez zimę

przechowywane, zatem piją tydzień lub dłużej, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Podobnie wygląda okopywanie i zbiór urodzaju. Swoja kartoszka na Wyspach to gwarancja, że z głodu nie umrzesz. Sołowczanie, naród leniwy, lubią kartoszkę i za to, że trudu wielkiego nie trzeba — wystarczy zakopać, okopać i wykopać. Ani pielenia, ani podlewania, żadnych rozsad. Inne kultury, wymagające większej pieczołowitości, rzadko się tutaj spotyka. Trochę pomidorów w parnikach, gdzieniegdzie truskawki, rzepa i szczaw, a hodujących kwiaty można na palcach jednej ręki zliczyć. Nie dziw, że nasz ogród najpierw Sołowczan osłupił, a potem machnęli nań ręką: inostrancy. Bo u nas, oprócz ziemniaków, truskawek, rzepy i szczawiu, rośnie sześć gatunków sałat, kalafiory, groch i bób, szczypior, koper i pietruszka, marchew, kapusta, buraki i rzewień, melisa i mięta, chrzan i złoty korzeń, i kwiatów zatrzęsienie, i nawet Cannabis indica mi tu wyrosła, całkiem niezła. Ilekroć czytam Rok myśliwego Miłosza, mimo woli porównuję nasze ogrody. Tam, na Niedźwiedzim Szczycie, Miłosz sadzi bugenwillę, przesadza fedżoje, a jelenie mu pojadają kwiaty heliotropu. My tutaj, na Cyplu Śledzia, sadzimy kartoszkę, przesadzamy rzewień i różową rodiolę, a sąsiedzkie kozy podszczypują nam szczypior.
Lasy na Sołowkach są grzybne, jagodne i grząskie. Trzeba buty gumowe nakładać, idąc do lasu. Do lasu chodzimy od połowy lipca, wcześniej tam pusto, jeno komary, maszkara i gnus. Pierwsza pojawia się moroszka, jagoda o kształcie maliny i barwie bursztynu, rośnie na niskich

krzaczkach, na błotach. Puszkin przed śmiercią poprosił o nią... Potem dojrzewa czernica, łochynia (inaczej „pija-nica", bo odurza), i zaczynają się grzyby, grzybowy obłęd, tylu grzybów w życiu nie widziałem. Zbieramy nie wszystko, bo po co komu maślaki, kiedy z prawdziwkami trudno się uporać. Najcenniejsze są mleczaje i chruszcze, te solimy na zimę, by w lutym z ziemniakami... palce lizać. Suszymy koźlarze czerwone i zwykle, i, oczywista, borowiki, zwane tutaj biełymi. Inne — kurki, gąski, rydze, smardze — czasami do zupy bierzemy, jako przyprawę, nie więcej. Niektórzy muchomory marynują, na nalewkę, na

lekarstwo. Ponoć szamani Samojedów wieszczyli po nich. Jesień to pora borówki, jarzębiny i żurawiny. Dwie ostatnie zbieramy po pierwszych przymrozkach. Z jagód konfitury smażymy lub nad parą je dusimy w wielkich słojach. A Wasilicz z nich goni taki samogon, że łzy po kieliszku ciekną.

Resztę kupujemy. U sąsiadów mleko, i krowie, i kozie, z którego sami robimy twaróg i masło, a w sklepie chleb, sól, olej, zapałki, herbatę i wódkę. Czasem jaja. I mąkę na bliny. Natomiast mięso Wasia nam przywozi, raz w roku, późną jesienią. To oleni comber, to łosi udziec, to niedźwiedzie łapy...

4

Jerzy Pomianowski utyskuje w „Kulturze" (1-2/1997), iż obraz Rosji, wyłaniający się z relacji polskich korespondentów, „przypomina film z migawkowych ujęć, sklejkę przed montażem". Ponieważ: „Mało kto i z rzadka pozwala sobie na spojrzenie ogólne, tym mniej — na prognozę". I tak: „W rezultacie oglądamy drzewa, nie widząc lasu". Co do filmu się

zgadzam: obraz Rosji w polskich (i nie tylko polskich) relacjach w istocie przypomina sklejkę przed montażem, natomiast przyczyny takiego stanu rzeczy widzę inaczej. Las tylko z dala można zobaczyć lub z wysoka. Na przykład: z lotu ptaka. Nie przeczę, taka perspektywa ma swoje zalety (ba, prerogatywy, bo zwalnia z konkretów), ale często bywa omylna i dym pożaru można wziąć za mgłę. By pojąć, co zagraża lasowi, należy drzewa obejrzeć, ich korę, choroby, pasożyty, system korzeniowy i liszaje na liściach. Tak i z Rosją. Piszący o niej patrzą (na ogół) bądź z daleka — przez lornetę TV i gazet — bądź z wysoka — ze szczytów kremlowskich intryg. Zatem lepią kolaż z cudzych mniemań lub łamigłówkę układają, w rodzaju szachowych końcówek: kto komu da mata i w ilu posunięciach. Bywają i tacy, co las przelatują, samolotem lub ekspresem, i fundują nam potem klaser z przezroczami bądź turystyczny bedeker. Rosja jest tak ogromna,

że nie tylko umysłem jej pojąć nie sposób (Tiutczew), ale i życia mało, by ją przeżyć — całą. Stąd każda próba uogólnienia wypada blado, a prognozy trafiają jak kulą w płot. Najtęższi sowietolodzy wróżyli z fusów politycznych, ale puczu i rozpadu Sojuza żaden nie przewidział. Zatem nie prognoz bym oczekiwał (w rodzaju: „Czy Rosja przetrwa do roku 2000?") i nie uogólnień, a faktów i zbliżeń. Rzecz jasna, faktów nie przypadkowych i zbliżeń nie byle jakich, ale to inny temat — to rzemiosło. Gogol potrafił całą Rosję w jednym powiecie pokazać.

5

Weźmy ruską banię, dla przykładu — to detal, a jakże symboliczny i bogaty w znaczenia. Już pierwszy ślad bani w ruskim piśmiennictwie jest

charakterystyczny, bo związany z... relacją cudzoziemca! W Powieści minionych lat znaleźć można opis podróży apostoła Andrzeja po Dnieprze do Kijowa i dalej na północ, do Nowgorodu, a raczej do miejsca, gdzie Nowgorod potem zbudowano. (Nie zapominajmy, rzecz tyczy początków naszej ery). Tam, na Północy, święty Andrzej spotkał plemiona słowiańskie, poznał ich obyczaje i był wielce poruszony sposobem, w jaki się myją i chlaszczą brzozowymi witkami. O rozmiarach jego zdziwienia niech świadczy fakt, iż po powrocie do Rzymu o niczym innym nie mówił, tylko o bani w północnych krajach: „Zadziwiające rzeczy oglądałem u Słowian po drodze tutaj. Widziałem drewniane banie, rozpalone do czerwoności, i ludzi w nich, rozebranych do naga, którzy się oblewali kwasem garbarskim i unosili nad sobą witki młode, i bili sami siebie dotąd, aż z trudem wyłazili, ledwie zipiąc, i oblewali się zimną wodą, i tylko tak ożywali. I czynili to codziennie, przez nikogo nieprzymuszani, i sami siebie dręczyli, mówiąc, że to nie męka, jeno ich ablucje". Jeżeli przyjmiemy, że święty Andrzej był pierwszym cudzoziemcem na Rusi, to jego opowieść o ruskiej bani możemy uznać za zwiastun genre'u. (Niechaj nas nie kłopocze fakt, iż włóczęga apostoła na Północ należy do mitów — z mitologii literatura się

zaczęła). Innymi słowy, ustęp o bani z Powieści minionych lat mógłby być prototypem wszelkich cudzoziemskich relacji o Rusi. A sama bania — metaforą... tejże?

6

W ruskiej bani bywa tyle pary, że czasem trudno cośkolwiek tam dojrzeć — rzeczy wyłaniają się znienacka, z kłębów wilgoci: to twarz, to zad, to

miednica czyjaś... Kiedyś był na Wyspach mój przyjaciel z Polski. Reporter-fotograf. Był krótko, zaledwie tydzień (za to pstrykał wiele!), raz zatem zdążył bani popróbować, bo bania sołowiecka jest raz w tygodniu: w piątki dla kobiet, w soboty dla mężczyzn. Mój przyjaciel wrócił z bani pod wielkim wrażeniem i od progu jął opowiadać, co mu się tam przywidziało, a przywidzieć mogło się sporo, bo pamiętam swój „pierwszy raz", kiedy para i mat zagęszczały pole widzenia, a brzęk stakanów w tumanie parni urastał do znamion uczty Mój przyjaciel długo nie mógł przyjść do siebie, że nie wziął tam aparatu, bo raptem, zdaje się, pojął, dlaczego Swidrygajłow mówił o wieczności jako wiejskiej bani z pająkami po kątach. Niestety, polski reporter w bani na Wyspach tylko rzeczy dojrzał — typy śmieszne, kawałki jakiegoś świata, szczegóły, których w żaden sposób nie potrafił złożyć w całość, by rzeczywistość zobaczyć, a przy okazji siebie w niej.

Na Sołowkach żyje ponad tysiąc ludzi, z różnymi biografiami — jakby z różnych światów wychynęli lub z różnych opowieści. Ale w bani myją się pospołu, tu ich losy się krzyżują — w jednej parni. Tu mużyki z toni przyjeżdżają, by wypić pod świeżą rybę, i młodzi posłusznicy tutaj czas mitrężą, wymknąwszy się spod oka czujnego mona-cha. Tu przychodzą zwolennicy reform i stronnicy silnej ręki, i prawosławni, i lewoskrętni, i niewierzący doszczętnie, a na jednej półce polegują i wory, i wolnonajemni, i byli zeka, i ich nadzorcy, i stróże porządku, i gwałciciele tegoż, i wszyscy goli. Jedni się chlaszczą witkami z brzozy, inni gałązkami jałowca, a stary Doncow pękami pokrzyw, to na reumatyzm pomaga. Tu świeże plotki można pleść

i na Jelcyna ponarzekać, i o rybach pogawędzić, i o babach, i o chorobach, i o nierobach. Bo bania na Wyspach i za klub służy, i za kafejkę, i za ambonę, i za trybunę. Tutaj agitują, prawią i knują, i popijają, i zagryzają. Sasza Pinagorski, dla przykładu, judzi tu naród przeciw Niebożence, a łżemonach Dionizy pozaprzeszłym latem jątrzył ludzi na temat monastyrskich zberezeństw, aż się okazało, że to raskolnik i wariat. W bani wieści się rozchodzą, jak para, i jak para zasnuwają oczy. Tutaj wystarczy uszy otworzyć, by Rosję usłyszeć: jej szum i mat, i ból.

— Bania to druga mać — mówi ruskie przysłowie.

Sołowiecką banię zbudowano w 1717 roku. Z dala poznać rękę monastyrskich mistrzów: kamienna budowla ogromnych rozmiarów, bardziej przypomina spichrz niż łaźnię. Wewnątrz dwie przestronne sale, rzędy ław, stosy cebrzyków, pod ścianami krany, na podłodze deski. Dalej parnia: zapach brzozowych witek, półki w trzy piętra, na górnej trudno wytrzymać, kamienny strop, kapie skroplona para, w kącie głazy, bucha żar. Obok przybudówka z późniejszych czasów, w niej rozbieralnia, wieszaki, zaduch. Banię zbudowano dla pątników i trudników, mnisi mieli swoją, w monastyrze. Potem, za SŁON-a, zeka służyła, raz w tygodniu. Dzisiaj to zabytek architektury pod ochroną państwową, o czym głosi tabliczka nad drzwiami, i myjemy się tu wszyscy: od gławy do ostatniego zawszawionego bomża, i monachy z nami. Każdy ma swój czas i swoje miejsce na półce: jedni lubią o drugiej, zaraz po otwarciu (zwłaszcza mnisi i starcy), inni nieco później, kiedy para uszy zwija (młodzież, czynownicy, muzealnicy), a jeszcze inni przychodzą pod wieczór, po powrocie z rybałki (mużyki, bicze). Trzeba więc nieco pożyć na Wyspach i o różnych porach do bani zaglądać, by się rozeznać jako tako. Mycie w bani to obrzęd — z

całym rytuałem, akcesoriami, porzekadłami. I od razu tutaj widać cudzych, nieobytych. Na przykład: moich znajomych z Polski, którzy czasami, z ciekawości, próbują bani, lecz odwagi im starcza do wejścia, dalej, już rozebrani i wyraźnie skrępowani, myją się pospiesznie, z rzadka korzystają z parni, jeszcze rzadziej z witek, i nie ochłonąwszy, chyłkiem się

wymykają. Za to opowiadają potem niestworzone rzeczy. Jak ów reporter-fotograf.

7

18 lipca

„Rosja i Sołowki" — to temat konferencji zorganizowanej na Wyspach przez niemiecki fundusz Friedrich-Naumann-Stiftung i rosyjski „Memoriał". Głównym uczestnikiem dyskusji mieli być studenci moskiewskich uczelni z sołowieckiego strojotriada, czyli ochotniczego hufca pracy, i pracownicy miejscowego muzeum. Ci ostatni się nie stawili. W spotkaniu wzięli udział goście: profesor Karl Schlegel z Niemiec, Andriej Blinuszow i Julia Sereda z riazańskiej „Karty", radca niemieckiej ambasady Dietrich Studemann, publicystka Sonia Margolina i Jurij Brodski, fotograf. Dyskutowano w sali hufca, w monastyrze. Atmosfera panowała wakacyjna, pachniało młodym potem i dymem ogniska. Na stołach soki owocowe z importu, czekolada, banany i jabłka. Sołowieckim dzieciom ślinka by ciekła, pomyślałem, bo takich rzeczy nie jadają. Niemcy, nienagannie punktualni, siedzieli z boku, pobłyskując złotymi oprawkami okularów i rozsiewając wokół siebie zapach drogich wód kolońskich, jakich się tu nie pija. Młodzież schodziła się leniwie, w drzwiach szumiało, tłoczno. Żartowali, śmiali się. Smukli, ładne twarze,

niepodobni do swoich sołowieckich rówieśników, prymitywnych, zidiociałych od wódki. Uczestnikom spotkania rozdano program, pytania do dyskusji:
„Kto winien? Co robić? Czy przeszłość może być lekcją dla przyszłości?" Niemcy powoli się irytowali, nieprzywykli do lekceważenia czasu. W końcu Blinuszow zaczął spotkanie. Na wstępie omówił reguły dyskusji, przedstawił gości spotkania i oddał głos profesorowi Schleglowi, by ten zagaił. Profesor rzekł, że nie daje mu spokoju cisza — zmowa milczenia — która towarzyszyła wyczynom nazistów w Niemczech, i przyjechał na Wyspy, żeby się dowiedzieć, co młodzi Rosjanie myślą tutaj,

na szczątkach SŁON-a, o swoich dziadkach i ojcach. Jako historyk interesuje się wpływem niedawnej przeszłości na rzeczywistość dnia dzisiejszego. Następnie puścił dyktafon po sali, by każdy się przedstawił i wyjaśnił motywy swojego przybycia na Sołowki. Zrobiło się zamieszanie, studenci udawali wesołków, popisywali się jeden przed drugim, niektórzy jawnie kpili. Było widać, iż nie zamierzają się odkrywać i na patos organizatorów spotkania odpowiedzą żartem. „No i pticy letiat na siewier, jeśli im nadojest tiepło" — zanuciła piosenkę Wysockiego dziewczyna z filologii, śliczna i płowa. A potem jeszcze dorzuciła, że jako humanistka nie lubi alkoholu w kolektywie i woli pić sama, tutaj zaś, na Wyspach, łatwo się odosobnić. Gruchnął śmiech i oklaski. Oni przyjechali na wakacje, nie roztrząsać grzechy ojców. Redaktor Blinuszow, nieco zażenowany niefrasobliwością rosyjskiej młodzieży, postanowił dać przykład i opowiedział o swojej drodze do „Memoriału". O dziadku, komendancie sowieckiego łagru, i jak przed małym Andriuszą w domu

skrywano prawdę, a kiedy pytał o wychudłych ludzi za drutem kolczastym na zdjęciach z rodzinnego albumu, to mu mówiono, że to żołnierze. Sam Andriej pracował parę lat w riazańskiej milicji, póki nie doszło do pałowania ludzi, którzy mieli rację. Wtedy wymówił służbę.
— A gdyby nie mieli racji, tobyś ich pałował? — zapytał pryszczaty chłopak z tyłu, z pozoru chłopek-roztropek. Znów oklaski, tym razem i goście bili brawo. Andriej się zmieszał.
W miarę rozwoju dyskusji zagrały emocje i z młodzieży opadła maska. Przez śmiech przezierały przekonania, czasami nawet wiara. Coraz wyraźniej zaznaczał się rozziew między organizatorami spotkania a studentami. Kością niezgody stało się pytanie: „Czy może być mowa o duchowym odrodzeniu się Rosji bez szczerej pokuty całego narodu?" Zadęciu moralnemu członków „Memoriału", ich kategorycznemu imperatywowi wspólnej pokuty za grzechy ojców i dziadków, młodzi Rosjanie przeciwstawiali życie na własny rachunek.
— Jeśli chcesz pokutować, to idź do klasztoru, módl się lub się powieś — powiedział ów pryszczaty, który przed chwilą zebrał oklaski — innym zaś pozwól żyć, jak oni chcą.

Nie wolno rozliczać ludzi za grzechy przodków, bo to prowadzi do zbiorowej odpowiedzialności, a zarazem rozmywa osobistą winę. Historię piszą raz ci, raz tamci. Z różnych obozów, z przeciwstawnych pozycji. Zasługi wedle jednych bywają błędami wedle drugich i nikt nie może dać gwarancji, że za dzisiejsze medale jutro nie będziesz siedział. Dlatego nie szukaj usprawiedliwienia w podręcznikach, układanych przez innych, ale sam pisz własne życie i czytelnie się pod nim podpisuj.

— A czy takie lekceważenie historii, relatywizowanie jej, nie zagraża powrotem SŁON-a? — spytał Blinuszow...
...wyszedłem z sali, nieciekawy ani odpowiedzi, ani konkluzji. O jakim powrocie SŁON-a może być mowa, jeśli duch owego zwierzęcia jest wciąż obecny na Sołowkach? Ba, nie tylko tu. Niedawno w Moskwie, gdy powiedziałem, że jadę z Sołowek, zapytano, za co siedziałem. Dla wielu Rosjan łagier na Wyspach wciąż istnieje. I rzeczywiście, wystarczy spojrzeć nieco uważniej, choćby na chwilę oderwać wzrok od fantów i grantów zachodnich, by zobaczyć wokół siebie drut kolczasty. Realny, konkretny drut, którym dorośli tu grodzą ogrody, a dzieci plotą się weń nawzajem, bawiąc się w tiurmę. W minioną zimę zjedzono na Sołowkach kilka psów. Z głodu! Marzeniem mojej znajomej jest prywatyzacja pokoju z kuchnią w połagiernym baraku, gdzie żyje od dwudziestu lat. Niestety, wedle ostatniej inwentaryzacji pomieszczeń mieszkalnych w posiołku ów barak nie istnieje. Sasza Ch. się powiesił, bo przegrał konkubinę w sztos, a przykazanie „nie pojman, nie wor", określające moralność SŁON-a, słyszałem tutaj nieraz. Na Wyspach ślady SŁON-a widać co krok, zarówno w landszafcie, jak i w ludzkich głowach. Rzecz jasna, komuś, kto żyje w najdroższym sołowieckim hotelu i organizuje spotkania z młodzieżą, która tu przyjeżdża tylko na wakacje, trudno pojąć, o czym myślałem, wracając do domu.
19 lipca
28 marca 1959 roku Miłosz pisał do Mertona: „Geoffrey Gorer utrzymuje, iż było tylko jedno społeczeństwo oparte

na zasadzie grzechu — w przeciwieństwie do społeczeństwa zachodniego,

opartego na zasadzie winy — a mianowicie carska Rosja. Czuję, że tu utrafił w sedno. Wina jest indywidualna, to jest moja wina. Grzech jest uniwersalny — nie ja jestem winien, lecz społeczeństwo, a ja mogę zostać zbawiony nie przez mój wysiłek (łaskę daną mnie), lecz przez zbiorowość. Dlatego właśnie oni zawsze poszukują Królestwa Bożego, ale umiejscowionego w czasie, podstawiając pod nie komunizm, a w przyszłości być może inny rodzaj eschatologii. Natomiast osobista odpowiedzialność zostaje rozmyta i w 1945 byłem świadkiem morderstw, popełnianych przez rosyjskich żołnierzy z głębokim poczuciem grzechu, ale bez poczucia osobistej winy". Po tej cytacie wróćmy na chwilę do wczorajszej dyskusji w sołowieckim monastyrze. „Memorialcy" pytają, czy jest możliwe duchowe odrodzenie społeczeństwa bez szczerej pokuty całego narodu? Ale przecież pokuta to zadośćuczynienie za grzechy, zatem pytanie, umieszczone w programie wczorajszej dyskusji, potwierdza intuicję Gorera — rzecz dotyczy społeczeństwa rosyjskiego. No tak, powie ktoś, ale z drugiej strony są studenci z ochotniczego hufca pracy, którzy tak się zacietrzewili. Oni chcą żyć normalnie, jak żyją ich rówieśnicy na Zachodzie, i nie zamierzają bynajmniej kajać się kolektywnie za grzechy przodków. Może młodzi Rosjanie zerwą wreszcie z wielowiekową tradycją „społeczeństwa opartego na zasadzie grzechu" i przestaną szukać Królestwa Bożego na ziemi, a zaczną żyć wedle indywidualnej odpowiedzialności za własne czyny? Niestety, obawiam się, że to pytanie jest równie akademickie jak cała dyskusja w Praczecznym Korpusie, bo realność za oknem wykrzywiła mordę i do tych, którzy chcą się kajać, i do tych, którzy myślą żyć na własny rachunek.

Schyłek lata na Sołowkach przypomina sen: z mgieł widnokrąg się wysnuwa, niby wątek opowieści przerwanej w pół słowa, niebo jest popielate, morze — perłowe,

a w powietrzu babie lato lata. Tu i ówdzie zapalają się już brzozy, trawy płowieją, pachnie mchem. Szary opar ziemię kryje, śpią w nim łąki i łęgi, i jeziora jakby drzemią, śniąc
o drzewach i o ludziach, pochylonych nad nimi. A ludzie smętnieją, że lato się kończy, i piją, by ów sen przedłużyć.
I tylko śród ptaków rejwach przed rajzą: kaczki uczą młode pływać, czajki do odlotu skwirzą i edredony się denerwują, i nury coś knują. Wtem nadchodzi jesień. Dni to słońcem rażą, to deszczem chlaszczą. Morze sztormi i biesi się, pobielałe od piany. W lesie orgia barw: brzozy, jak świece, żółto płoną w ciemnej zieleni świerków, osiny bordowieją, jagodniki kraśnieją, a błota w oranżach się żarzą. Ziemia wolno stygnie. Ranny szron warzy kwiaty w ogrodzie. W domu zapach suszonych grzybów, bulgot duszonych jagód, wszędy wiszą pęki ziół, pietruszki i kopru. Kopcujemy kartofle, buraki, marchew i brukiew. Solimy śledzie i chruszcze. Noce na Wyspach się wydłużają, niczym cienie dni, i czarne się robią, choć oko wykol. Czasem tylko, znienacka, ujrzysz bryzgi światła na niebie, jakby się sączyło z tamtego świata. To siewiernoje sijanije...
VII
...i żywię nadzieję, że moje pisanie może nie tylko zabawić, ale i do namysłu skłonić.
Joseph de Maistre
1

4 września

Nina Michajłowna przysłała mi z Moskwy pierwsze trzy tomy „Biblioteki Literatury Dawnej Rusi", przygotowanej w pracowni Oddziału Staroruskiej Literatury RAN, pod przewodnictwem Lichaczowa (byłego zeka SŁON-a). I śmiało można powiedzieć, że to wydarzenie w historii ruskiej kultury — wydarzenie, którego nie sposób przecenić. Pierwszy raz w dziejach jej piśmiennictwa zostaje udostępniony cały dorobek staroruskiej literatury (z równoległym przekładem na dzisiejszą ruszczyznę), zebrany w dwudziestu tomach: od jedenastowiecznego Słowa o zakonie i łasce Iłariona aż do dwudziestowiecznej korespondencji staroobrzędowców (zaliczonej do „Biblioteki" ze względu na jej konserwatyzm językowy i rodzajowy). Obok dzieł znanych, jak Słowo o pułku Igora czy Żywot Awwakuma, do serii włączono rzeczy dostępne dotąd tylko specjalistom, na przykład wspaniałe zabytki raskolniczej szkoły literackiej Wyga, zapiski na brzozowej korze z XII wieku, odnalezione niedawno pod Nowgorodem, apokryficzne dzieła chłystów... zresztą wszystkich wymienić niepodobna. Literatura Dawnej Rusi doszła do nas zaledwie w okruchach, lecz dzięki „Bibliotece", w której zebrano te okruchy do kupy, możemy dojrzeć zarys

ogromnej całości i oblicze w niej odbite. Akademik Lichaczow pisze we Wspomnieniach, że wybrał fakultet literatury staroruskiej, bo „ona utrwaliła rysy naszego charakteru narodowego w okresie jego dojrzewania".

„Biblioteka" przywraca Rosji siedem wieków literatury — to jakby pamięć wrócić choremu na amnezję. Pytanie: czy ten zechce z niej korzystać,

przywykłszy do czytadeł wszelkiej maści lub nie czytawszy nic zgoła? Wielu moich tutejszych znajomych, ludzi bynajmniej niegłupich, ze zdziwieniem się dowiaduje, że słowo pisane na Rusi ma bogatą tradycję, sięgającą XI wieku, a ruskiej średniowiecznej prozie dokumentalnej brak analogicznych na świecie. (Nawiasem przypomnę niektórym rodakom, lubiącym mówić o zapóźnieniu kulturowym Ruskich, iż „daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj" — najstarsze polskie zdanie — pochodzi z XIII stulecia, kronika Galla Anonima zaś, nasz pierwszy zabytek po łacinie, jest o wiek późniejsza niźli Słowo Iłariona). Być może więc praobraz życia duchowego narodu, przechowany w „Bibliotece", pomoże Rosjanom w samoidentyfikacji kulturowej po dziesiątkach lat samotrzebienia. Pierwsze tomy „Biblioteki" obejmują dzieła XI-XII wieku, między innymi: Słowo o zakonie i łasce, Powieść minionych lat, Opowiadanie o Borysie i Glebie, Żywot Fieodosija, Pouczenia i słowa Cyryla Turowskiego, opowieści O zabiciu Andrzeja Bogolubskiego i O cudach Władimirskiej ikony Bogurodzicy, Kijewsko-Pieczerski pateryk... wszystkie pisane przez monachów — w ich kieliach.

2

Otwórzmy, dla przykładu, Żywot Fieodosija Pieczerskiego i zajrzyjmy do celi starca: „...tam siedzi wielki Nikon i pisze księgi, a ojciec Fieodosij, przycupnąwszy z kraju, przędzie nici dla ich zszycia". Albo: „...opowiadał czcigodny Iłarion, mistrz śród skrybów, jak dniami i nocami przepisywał manuskrypty w celi u ojca Fieodosija, a ten nucił psalmy i prządł". Działo się to w zaraniu państwa ruskiego, za rządów Jarosława Mądrego, który „...wielce mnichów miłował

i księgi ich czytał bez końca. I zebrał skrybów, by przekładali z języka greckiego na słowiański, i na pismo. Oni zaś przepisali i zgromadzili ksiąg mnóstwo, ku nauce wiernym i chwale słowa Bożego. Podobnie z ziemią — jeden ją orze, drugi sieje, inni żną i jedzą, tak i tu — Władimir grunt wzruszył, chrztem oświecił, Jarosław posiał w serca słowa ksiąg, a my się posilamy". Porównując pisanie ksiąg do uprawy ziemi, latopis ukazuje główne zadanie, stojące przed monastyrami w początkach kształtowania się ruskiej państwowości — zagospodarowywanie nowych obszarów. Porządkowanie chaosu. Albowiem rozległa równina między Europą i Azją, pokryta błotami, lasem i stepem, była bezładna — brakło na niej punktów orientacyjnych: gór, miast, twierdz; ani granic, ani stanic, jeno śnieg i leśna dzicz, i kurhany, i hordy nomadów. Ta przestrzeń nie miała ni historii („przeszłości utrwalonej w zapisach o niej"), ni prawdziwej wiary (idole się tam pieniły w kłębach z plemionami) i nikt jej dotąd nie osmyslił, to znaczy nie uświadomił sobie. Przed klasztorami stanęło podwójne zadanie: obok pól uprawnych należało uprawiać pole semantyczne tej ziemi. Słowem, tworzyć świat z chaosu za pomocą języka...

...który powstał ze zlewania się starobułgarskiego (zwanego starosłowiańskim) z różnymi odmianami ruszczyzny tamtych czasów: od mów na wiecach i ucztach do gramot prawnych i bylin. Różnorodność narzeczy Słowian, wchodzących w skład Rusi, dawała ruskiemu bogatą synonimikę (ćma słów na oznaczenie jednej i tej samej rzeczy, w zależności od regionu), styl szlifował na wzorach frazy biblijnej, liryzmu się uczył od bab w polu, a dosadności u mużyka na targu, lecz jego najważniejszym elementem był rytm — miara prozy. Rytm bowiem porządkował rzeczywistość, jak kroki wojów każdą piędź ziemi, a tętno

krwi — upływ czasu. Rytm języka nadawał światu ład.

3

Wróćmy do celi ojca Fieodosija, aby się bliżej przyjrzeć postaciom, które tam siedzą. I tak Iłarion — „muż blag,

i kniżen i postnik", jak go latopis określa; autor Słowa o zakonie i łasce — pierwszego zabytku ruskiej literatury — oraz budowniczy pierwszej celi na Rusi — pieczary nad Dnieprem, którą wyrył na dwa sążnie w głąb ziemi, aby się tam modlić w odosobnieniu. Kniaź Jarosław widać cenił Iłariona, bo w 1051 roku zrobił go metropolitą kijowskim (pierwszy Rusin na tym tronie), wbrew Konstantynopolowi. Może o decyzji kniazia przesądziło Słowo o zakonie i łasce, napisane dwa lata wcześniej.

Traktat Iłariona był pierwszą próbą sformułowania tak zwanej ruskiej idei — historiozoficznej koncepcji, wedle której Ruś (później Rosja) zajmuje szczególne miejsce w dziejach świata, innymi słowy: ma w nim swą misję do spełnienia. Iłarion sięgnął do biblijnej opowieści o Abrahamie i zbudował szereg opozycji: od nałożnicy Agar i żony Sary — rabyni i wolnej — Stary i Nowy Testament — judaizm i chrześcijaństwo... do tytułowego zakonu, to jest prawa, i łaski. Nie zagłębiając się w zabytek (zadanie na osobny szkic), zwróćmy uwagę na elementy, które mu zapewniły długowieczność w ruskiej myśli — swojego rodzaju archetypowość. Po pierwsze — zakładał kamień węgielny prawosławnej wiary w moc łaski Pana, przeciwstawionej ludzkim prawom, jako światło — cieniom, przygotowując tym samym grunt pod lekceważenie prawa w imię łaski Pańskich pomazańców. Stąd późniejsza niechęć do Zachodu,

spadkobiercy prawa rzymskiego. Po drugie — budował fundament pod antysemityzm, dzieląc ludzi na plemię Izaaka
i Izmaela — synów prawdy i łży. Niektórzy tłumaczą Iłariona, że nie o Żydów mu chodziło, lecz o Chazarów, wrogów Rusi. Po trzecie — wznosił konstrukcję ruskiego mesjanizmu, jakoby przyszłość chrześcijaństwa do Ruskich należała, a historię świata dzielił na czasy do przyjęcia przez nich chrztu i po nim. Są i tacy, którzy czytają w tym miejscu Słowo jako zapowiedź końca historii i początku teraźniejszości. Po czwarte — wiązał słowa w nowe pojęcia: ruskaja ziemlia, jedinodierżec..., które określały tożsamość narodową ludów zamieszkujących owe obszary i system władzy nad nimi. I po piąte — stolec świętego Konstantyna przeznaczał dla Rusi, co potem podchwycił Filofiej w

koncepcji Moskwy — „trzeciego Rzymu". Wszystkie te elementy, tak czy inaczej, weszły w najróżniejsze warianty „ruskiej idei": od wspomnianego Filofieja do Dostojewskiego czy Sołżenicyna. Nieprzypadkowo dziś, gdy znów się dużo mówi o „ruskiej idei", traktat Iłariona wychodzi w nowych przekładach. I jeszcze jedno: artyzm Słowa. Iłarion i tu dał wzór — filozofowanie poprzez sztukę — zamykając treści,
o których była mowa, w formie kunsztownej, choć językiem prostym, wszak ten na Rusi dopiero się kluł i nie było jeszcze tego nadmiaru słów, tworzonych z jednego rdzenia za pomocą rozmaitych przyrostków. Dzięki czemu i świat jeszcze się nie rozsypywał na detale i odcienie, w różnego rodzaju zdrobnienia, zgrubienia, złożenia... Świat w Słowie widać jasno i wyraźnie, choć niejednoznacznie.
Po śmierci kniazia Jarosława Iłarion zostawił tron metropolity kijowskiego

(być może do tego zmuszony)
i wrócił do swej celi, wokół której — tymczasem — wyrósł Pieczerskij monastyr. Tam właśnie zastaliśmy byłego metropolitę przy pisaniu ksiąg.
4
Obok wielki Nikon... jego sylweta, niewyraźna dla uczonych, ledwie majaczy w kącie celi, jakby ją ogieniek lampady dobywał z półmroku i rzucał na karty latopisów — to go widzimy u boku świątobliwego Antonija w pieczarze Iłariona, gdy ten piastował urząd metropolitalny w Kijowie, to w Tmutarakanii, dokąd odszedł po kłótni z kniaziem Izasławem, synem Jarosława Mądrego, to znowu w Pieczerskim monastyrze... I zawsze w cieniu innych — to Antonija, to Fieodosija — jak autor za plecami swoich bohaterów lub malarz ikon w głębi ich oczu. Nikona możemy nazwać ojcem ruskiego latopisania, chociaż nie on był pierwszy.
Latopisanie na Rusi było zajęciem monachów, cela bowiem dawała możliwość skupienia, pozwalającego się wznieść ponad ruską ziemią i zobaczyć ją z lotu ptaka — całą. Malarze ikon nazywają to „podniesionym

horyzontem", bo wystarczy nieco w górę widnokrąg przesunąć, by się nad widokiem znaleźć, nie ruszając z miejsca. Cóż mógł dojrzeć latopis z wysokości swej celi: równinę płaską, lasy bezkresne, stepy rozległe i rzeki jak drogi, na nich łodzie płynące z Północy ku Bizancjum, z rabami na sprzedaż... Widok zaiste nieokreślony — i bezczasowy. Aby go utrwalić, należało rzeki ponazywać, tam szczepy, ich narzecza, i każdy kadr datować. Wzór podsunęła Kronika świata Hamartolosa, skąd zaczerpnięto prolog od stworzenia świata do narodzin Ruskiej Ziemi w 852 roku, kiedy

to Rus' na Car'grad najechała, natomiast lokalne dzieje kompilowano z bylin, słuchów i starych gramot — od legendarnego Ruryka do kolejnego skryby, bo każdy zwykł kończyć na sobie. Nikon stworzył sam genre latopisu: siatkę dat, w którą można dzieje łapać. Osnową był czas, nań wydarzenia nanizywano: najazdy, rzezie, pożogi... Przy tym — uwaga! — czas na Rusi postrzegano inaczej niż dzisiaj — na odwrót. Piszący miał przeszłość przed oczyma, przyszłość za plecami; stojąc za pulpitem, widział karki swych poprzedników, zwróconych — jak i on — twarzą ku przodkom. Skrzyp ich piór przypominał szelest piachu... jeden od drugiego wątek przejmował, nieraz się to rwało, zwłaszcza kiedy obcy najeżdżali, by po jakimś czasie, w innej celi, na drugim krańcu Ruskiej Ziemi, zostało podjęte... — tak powstawała kolektywna literatura Dawnej Rusi. Rodził się ruski styl „monumentalnego historyzmu" — wedle określenia Lichaczowa — obejmujący też architekturę, ikonę i muzykę, i wizję świata, i byt, i etykietę polityczną: styl, w jakim formowano historię Rusi, nieraz ją podporządkowując prawidłom genre'u. Na przykład pod datą 1065 latopis odnotowuje pojawienie się komety: „...i gwiazda ogromna, świecąc krwawo, co wieczór po zachodzie słońca na niebie się jawiła, przez siedem dni. Znak ten źle zwiastował. Zaczęły się wojny i najazd pogan na Ruską Ziemię, gwiazda ta bowiem, jakby krwawa, przelew krwi wieściła". W rzeczy samej kometa pojawiła się rok później, w kwietniu 1066, lecz dla latopisa ważniejsze było, by data zdarzenia odpowiadała zdradzie kniazia Wsiesława, który z poganami na Ruś napadł... Latopis nie odtwarzał

rzeczywistości, on ją tworzył, dobywając z rzeczy sens. I, niekiedy, sam w

niej zastygał, jak Nikon pod piórem swojego ucznia Nestora — w celi ojca Fieodosija.

5

Zatem Fieodosij, gospodarz celi. Tę postać widać najwyraźniej — od otroka do grobu — dzięki Żywotowi, pióra Nestora. Od dziecka skupiony w sobie, często jurodiwyj, czyli nawiedzony po naszemu, skłócony z matką, niezrozumiały dla otoczenia, w końcu trafił do pieczary Iłariona — tam go Nikon w monachy był postrzygł. Z czasem bogobojny Fieodosij stanął na czele braci, zorganizował Pieczerskij monastyr i wprowadził doń regułę studyjską. Kładąc podwaliny pod wspólnotę monaszą na Rusi, nauczał: „Ogródź się, brat, zewsząd, jak przed zbójami, bojaźnią Bożą i modlitwą, na straży postaw uwagę, by w mieście, śród ludzi, myśli nie rozpraszać, lecz pozostając skupionym w sobie — niby w celi — rozmyślać o rychłej śmierci, jakbyś na pustyni się znajdował". Po śmierci kanonizowany i czczony tu jako ojciec duchowy życia zakonnego.

Dzieje pierwszej monaszej wspólnoty na Rusi opowiada Kijewsko-Pieczerski pateryk, który jest zarazem przykładem narodzin kolejnego genre'u — żywotów świętych; rodzaju osobliwego — człek według jego reguł tworzy własne życie, a potem ktoś inny je zapisuje, upraszczając nieco. W odróżnieniu od słów i latopisów, żywoty świętych dają nam wgląd w życie prywatne ludzi Dawnej Rusi, pokazują ich grzechy, detale intymne... Nierzadko nie wiadomo, gdzie kończy się życie i zaczyna żywot, i kto jest autorem danego epizodu: święty bohater czy jego skryba? Na przykład: możnali wyżyć zakopanym w ziemię po szyję, jak Joann Zatwornik? Zbiory żywotów nazywano paterykami, w nich widać realia epoki i rysy obyczajów, ideały świętości i grymasy dewiacji — jak w

lustrze. Znaczenie Kijewsko-Pieczerskiego pateryka jest szczególne — w nim się Ruś przegląda, ledwie przebudzona, i wedle niego się formuje: od bytu smerdów do

etykiety na dworze. Monastyr Pieczerskij był w tym czasie nie tylko szkołą modlitwy, postu, rzemiosła i posłuszeństwa, ale także ważnym ośrodkiem słowa pisanego oraz myśli politycznej; tu się kształtował ceremoniał prawosławny i stosunek do wiary łacińskiej, tutaj się rodziła koncepcja jedności Ziemi Ruskiej i obraz Polaków, jej wrogów. Nieprzypadkowo bratu Matwiejowi bies się jawił w postaci... liacha. Tu wreszcie się roiły różne zabobony (jak na przykład wiara w mordy rytualne Żydów), z których większość przetrwała do dziś... (Niedawno Patriarch Moskowskij i Wsieja Rusi zadał Prokuraturze Generalnej pytanie, czy zabójstwo carskiej rodziny nie miało charakteru takiego mordu?) Krótko mówiąc, Pieczerskij monastyr był rozsadnikiem i prawej wiary na Ruskiej Ziemi, i przesądów, ikon i ksiąg, i świętych. I stąd to poszło na Północ...
Z rozdrobnieniem Rusi rosła liczba klasztorów — w Twerze, Kostromie, Jarosławiu, Niżnym Nowgorodzie czy Moskwie — bo każdy udzielny książę chciał mieć pod bokiem monachów, którzy by się zań modlili i radą mu służyli, i latopisem sławili. Potem, w jarzmie tatarskim, w tych klasztorach Ruś przetrwała, jak jej dzieje w manuskryptach. W XIV wieku, z dala od ludzi, śród głuchych lasów i błot nieprzebytych, powstaje nowy typ ruskich monastyrów, tak zwana pustyń' — tam żyli bracia, którym marność świata się sprzykrzyła. Jednym z nich był Siergiej Radonieżskij, założyciel Ławry Troickiej, nieopodal Moskwy, skąd się

zaczęło „zbieranie" Ruskiej Ziemi: najprzód świątobliwy ojciec pobłogosławił kniazia Dimitrija na zwycięską bitwę z Tatarami, a później jego uczniowie podjęli kolonizację północnych połaci Moscovii — od Biełooziera, przez Wałaam na Ładodze, do Sołowek na Białym Morzu — ażeby w następnych wiekach zbudować tam państwo w państwie, w którym „...brać monasza — swojego rodzaju jaśniepaństwo w riasach — zarządzała tysiącami kornych rabów..." — jak pisał Kluczewski, ale to już inny rozdział naszej opowieści.

6

Święty Fieodosij zostawił Posłanie do księcia o wierze łacińskiej — swojego rodzaju testament duchowy. Pisał w nim: „Ja, Fiedos, monach marny, rab Przenajświętszej Trójcy, Ojca i Syna, i Świętego Ducha, urodzony i nauczony przez rodziców prawosławnych, by od wiary łacińskiej trzymać się z daleka, ich obrzędów nie naśladować, ich komunii nie przyjmować, ich nauk nie słuchać, ich obyczajów się brzydzić; córek swych za mąż za nich nie wydawać ani ich córek nie brać; nie bratać się z nimi, nie kłaniać się im, nie całować; ze wspólnych naczyń nie jadać i nie pić z nimi, i jadła ich nie brać. Im zaś, gdy proszą u nas pożywienia, dawać jeść i pić jeno w ich własnych naczyniach. A jeśli swoich naczyń nie mają, dać im w naszych, lecz potem je dokładnie wymyć i modlitwę nad nimi zmówić. Albowiem oni krzywo wierzą i nieczysto żyją: jadają z psami i kotami, piją własny mocz i jedzą jaszczurki, i dzikie konie, i osły, i wężowinę, i padlinę, i niedźwiedzinę, i bobrowy ogon. A ich mnisi jadają słoninę i poszczą w soboty, a popościwszy, wieczorem spożywają mleko i jajka. Odpuszczenia grzechów nie u Boga proszą, tylko u księży — za

pieniądze. A księża ich żon nie mają, tylko ze służącymi dzieci płodzą. Ich biskupi śpią z nałożnicami i na wojny chodzą. Ikon nie całują ni relikwii świętych. Martwych kładą na zachód nogami. Chrzczą, raz zanurzając, my — trzy razy. My, chrzcząc, mażemy mirrą i olejem, oni zaś sól sypią w usta chrzczonemu. Ducha Świętego nazywają pochodzącym od Ojca i Syna. My nie mówimy: i od Syna. I tym podobnych rzeczy u nich wiele, nieprawych i wykolejonych; ich wiara do zguby wiedzie, ich dzieła są gorsze niż u żydów. Zatem strzeż się, synu, krzywowierców i wszelkich biesiad z nimi, bo i nasza ziemia ich pełna. Ten tylko uratuje duszę, kto w Prawosławnej Wierze żyje, bo nie ma innej, lepszej niż nasza, czysta i święta Wiara Prawosławna. Pozostając w Niej, od grzechów się zbawisz i od mąk piekielnych, i życia wiecznego dostąpisz, i będziesz ze Świętymi się radował. A żyjący w innych wiarach: w katolickiej, w muzułmańskiej lub w ormiańskiej — nigdy nie ujrzą życia wiecznego".

7

Posłanie świętego Fieodosija jest żywe w ruskim prawosławiu do dziś, zwłaszcza w klasztorach. Jego tezy nieraz były powtarzane przez świątobliwych ojców, wspomnijmy Amwrosija, starca, Optińskiego, przestrzegającego w listach do wiernych przed łacińską herezją, czy świętego Joanna z Kronsztadu, który zwalczał ekumenizm, twierdząc, że to sam Satana podsuwa światu myśl o zjednoczeniu chrześcijańskich wyznań, wiodąc tym samym ku zobojętnieniu wobec jedynej, prawosławnej wiary, jej obrzędów i dogmatów. W przededniu rewolucji zaś wyszła w Rosji książka archimandryty Iłariona (Troickiego) pod tytułem Bez Cerkwi chrześcijaństwa nie ma, w której wybitny

prawosławny teolog XX wieku pisze: „Prawda Cerkwi została na Zachodzie wypaczona po odpadnięciu Rzymu od Cerkwi, a Królestwo Boże przypomina tam królestwo z tego świata. Katolicyzm ze swoim najemniczym stosunkiem do Boga, z rachunkami dobrych uczynków i imitacją zbawienia, zafałszował chrześcijańską ideę Cerkwi w świadomości wiernych". W roku 1925 archimandrytę Iłariona zesłano na Wyspy, gdzie zdobył ogromny autorytet wśród zeka i był współautorem słynnego Posłania starców sołowieckich — testamentu duchowego na lata prześladowań.

8

W pierwszych latach SŁON-a na Wyspach była czynna cerkiew Onufrijewskaja (jedyna zachowana), gdzie prawosławni mogli się modlić. Jesienią 1925 roku unicki duchowny, ojciec Aleksandrow, otrzymał pozwolenie od Eichmansa, naczelnika łagru, na odprawienie tam mszy w obrządku katolickim. Niestety, do mszy nie doszło, bo monach Agapita, zarządca cerkwi, oraz reszta braci... sprzeciwili się. Latem 1993 na Sołowki przyjechał ksiądz profesor Cekiera z Warszawy, by odprawić mszę za katolików, poległych na Wyspach w czasach SŁON-a. Lecz i tym

razem sołowieccy bracia nie zgodzili się na mszę katolicką w swojej cerkwi. Ksiądz profesor Cekiera mszę odprawił u nas w domu. Na moim stole do pisania.

VIII

Pytasz mnie, czym się tu zajmuję w wolnych chwilach? Czytam dużo, z ołówkiem w ręce, notując na boku myśli, które zamierzam kiedyś rozwinąć.

Joseph de Maistre

1

Zima co roku przychodzi inaczej. To znienacka, w październiku, jeszcze resztki liści wiszą na drzewach, a tu śniegiem wali, jak jęczmienną krupą, ciężkim i lepkim, okrywa ziemię i rodzi nadzieję, że wodociągi nie zamarzną. Lub slota do grudnia, zimno i ciemno, i dookoła błoto. Kiedy indziej mrozem łapie gołą grudę, ta tężeje i szkli się, i dźwięczy. To znów białym puchem siądzie, każdą gałązkę przystroi, jak wołogodzką koronką. Czasem drobnym lodem miecie, wiatrem siecze i rysuje na szybach kwiaty, podobne do ostów Dürera. Innym razem jednym machem zakopuje po uszy, potem taje w połowie stycznia i zewsząd kapie, i gołoledź jak lukier. Lecz najczęściej śnieży bez przerwy i toniemy w zaspach na amen. Morze także różnie zamarza, zależy od wiatru. Przy silnych sztormach szuga się zbiera przy brzegu, czyli śryż po naszemu — lodowa kasza — i chrzęści z każdą falą. Gdy cicho, to Białe cienką szybką chwyta i może śniegiem przywalić, nie dając lodowi stężeć. Potem idziesz na nartach, a za tobą mokry ślad... podchodzi wodą, i grzęźniesz. Najlepiej, kiedy długo mróz trzyma, wiatru nie ma i nie pada. Morze wtedy zamarza na kamień i może tak dzierżyć do maja. Podróżnik ubiegłego wieku Siergiej Maksimow w Roku na Północy pisze:

„Najpierw sztormy jesienne, potem lód zamykają dostęp na Wyspy na całą jesień i na całą zimę, i na całą wiosnę, i żadnych kontaktów ze światem nie ma. Wtedy wypuszczają kajdaniarzy z kazamat, jedni spacerują po dworze, inni do cerkwi zachodzą..."

2

Na Sołowki zsyłano od wieków — dysydentów, politycznych, niewygodnych. Siedzieli tutaj, między innymi: były igumen Troickiego monastyru Artemij, obwiniony o racjonalizm, i jego obwiniciel, protopop Sylwester, były poplecznik Iwana Groźnego, autor Domostroja, i Awraamij Palicyn, za zdradę na rzecz Polaków, i „car wsieja Rusi" Symeon Bekbułatowicz, książę tatarski, ten to miał nieszczęście, że się zaplątał w ruską politykę, i hrabia Tołstoj, naczelnik organu karnego, który zesłał moc ludzi na Wyspy, i hrabia Musin-Puszkin, który zesłał tu hrabiego Tołstoja, a później sam został tutaj zesłany, i samozwańczy car Iwaszka Sałtykow, i podły skryba Wołk, za „pismo złodziejskie", w którym twierdził, że imperator Piotr to Antychryst, i ostatni ataman Siczy Zaporoskiej Piotr Kalniszewski, ten odsiedziawszy tu ćwierć wieku, po wyjściu, mając sto dziesięć lat, prosił, by mu pozwolili na Wyspach pozostać, i rab boży Dmitriew, za chłystowską herezję spędził w kazamatach pięćdziesiąt osiem lat, z tego czterdzieści osiem w pojedynce, i skopiec Sozonowicz, który tu otrzebił dwa dziesiątki więźniów i kilku strażników na dodatek i założył komunę trzebieńców w swej celi, i Polak Jeleński, jemu dalej ustęp poświęcę, i dekabrysta Gorożanski, i Gannibal Puszkin, wuj poety, i... wszystkich wymienić nie sposób.
Sołowieckie kazamaty — wedle Gerneta, autora fundamentalnej Historii carskiej tiurmy w pięciu tomach — były najstarszym i najcięższym więzieniem w Imperium. Skazańców trzymano w głębi ścian i baszt, w kamiennych niszach, które brat Trifon, budowniczy klasztornego muru, zamyślił dla składów prochu i kul na wypadek oblężenia. Ot, niewielkie pomieszczenia (na trzy arszyny wzdłuż

i dwa arszyny wszerz) z kamienną ławą do spania i szczeliną w ścianie, z trzema kratami i dwiema siatkami zamiast okna. Wewnątrz panował wieczny półmrok, wilgoć i ziąb. Wyobraź sobie, czytelniku, że cię tam wrzucono, skutego, z wydartym językiem, z wyrwanymi nozdrzami i... bezterminowo. Albo, jeszcze lepiej, imaginuj sobie, że cię dzierżą w ziemlianoj tiur'mie (to wynalazek sołowieckich braci!), czyli w jamie w ziemi, wyłożonej cegłą i nakrytej drewnianą klapą, przywaloną kamieniami i gruntem, chleb i wodę spuszczają ci przez dziurę, srasz i szczysz pod siebie, aż pojmiesz, żeś „...jeno kał i pył". Dopiero na początku XIX wieku zbudowano dla więźniów oddzielny korpus, nie dlatego, by im ulżyć, lecz dlatego, by lżej było ich pilnować. Maksimow pisał: „Tiurmy ziemne (Piotr Wielki je cenił nadzwyczaj) zamieniono specjalnymi kazamatami dla sekretnych więźniów, mieszczącymi się w podziemiach korpusu. Tam, na najniższym piętrze, w ślepych komorach, na półtora arszyna w kwadracie, gdzie ani leżeć, ani siedzieć z wyciągniętymi nogami nie sposób, tam z łańcuchem na szyi i żelaznymi kulami u nóg trzymano ważniejszych przestępców, skazanych na wieczne milczenie i ciągłe odosobnienie". Większość traciła rozum. Innych, nie tak ważnych, zaganiano do czarnych robót monastyrskich; w tym i dzieci... 11 czerwca 1829 roku na Sołowki trafił dziesięcioletni Iwanuszko — na piętnaście lat „ciężkich robót pod najsroższym nadzorem". Niektórym po latach zdejmowano łańcuchy i pozwalano żyć w pokucie śród braci w celach.

Życie w pokucie — formuła tiurmy, bliska monastyrskiej. Nie dziw, że więzienie i klasztor tu się skomasowały, a mnisi wzięli na się obowiązki straży. Czystości pilnowali: wiary, obrzędu, obyczaju etc. Stąd szczególna

dbałość o milczenie więźniów, wszak dysydentów tu trzymali przede wszystkim. Przeglądając spis kajdaniarzy z 1786 roku, zwróciłem uwagę, że prawie przy każdym stał dopisek, by nie dawać mu czerniła, papieru i innych przyborów do pisania. Tym zaś, którzy na głos myśli głosili, tym „...bez zbytecznych wyjaśnień i moralnych pouczeń kładli w poprzek ust pałkę z postronkami, jakich używają dla

zwierząt, pojmanych żywcem, lub koniom w mordę pchają, aby te nie gryzły, i wyjmowali ją tylko wtedy, gdy jadło kąjdaniarzom dawali, a słowa wypowiadane przez nich w tym czasie zapisywali i odsyłali do tajnej kancelarii".

3

Śród dysydentów-kajdaniarzy byli zarówno wyznawcy starego obrzędu różnych odcieni, jak i sekciarze rozmaitej maści: chłysty, skopcy, szełaputy, pryguny, bieguny, pierduny... i nie lada wiedzy potrzeba, by się w tym wszystkim połapać. Ot, pierduny, dla przykładu, sekta założona przez Gawriłowa, mnicha z Athos, który nauczał, że to, co jemy, żywi diabła, żyjącego w nas, i jako formę oczyszczenia zalecał rytualne pierdzenie połączone z modlitwą... co współczesny francuski historyk Ingerflom odczytuje jako relikt kultu Peruna, łączący pierdy z gromami! Lub chłysty, czyli „...samoistny wyraz ruskiego ducha — jak czytamy w Encyklopedycznym słowniku prawosławnym — z jednej strony pod wpływem pogańskiej wiary naszych przodków, z drugiej pod naciskiem idei bogomilskich, rozprzestrzenionych u nas dzięki apokryficznej literaturze". Literatura ta — dodajmy — przyszła na Ruś wraz z chrześcijaństwem (ikony, księgi, duchowni) z Ochrydy, patriarchatu

bułgarskiego, zdominowanego w onym czasie przez herezję manichejską (bogomilców), która stamtąd przeniknęła na Zachód pod postacią patarenów, katarów i albigensów, na Rusi natomiast wiekami się tliła w... monastyrach. Dopiero reforma Nikona, likwidując stare księgi, wywołała kontrakcję i wywiodła herezję z cel klasztornych na świat. Nierzadko przy tym dochodziło do rozlewu krwi tudzież stosu. Sołowiecki monastyr jeszcze osiem lat trwał na straży starego obrzędu, oblegany przez wojska carskie... A i potem, po zwycięstwie reformy, klasztory bywały zarzewiem niejednej herezji, zwłaszcza chłystowskiej. Solidny Kutiepow, autor Sekty chłystów i skopców, naliczył parę dziesiątków monastyrów, w tym kilkanaście moskiewskich, zarażonych chłystowszczyzną

w XVIII wieku. Przypomnę, że początek sekcie dat Daniło Filippow, który w 1631 potopił księgi cerkiewne w Wołdze i dwanaście przykazań ogłosił. Pierwsze z nich brzmiało: „Jam jest Bóg, zapowiedziany przez proroków, który zstąpił na ziemię, aby zbawiać ludzkie dusze. Nie będziesz miał innych bogów przede mną". „Boży ludzie" — tak nazywano chłystów — wierzyli, że Bóg się wciela w każdego z nas, jak ongiś się zrodził w Jezusie Chrystusie — wystarczy radiet' i krużit'. (Chodzi o zbiorowy rytuał „zawirowań", wiodących do odmiennych stanów świadomości, niekiedy halucynacji, epilepsji i tym podobnych). Dla praktyk tych, często kończących się orgią, chłysty organizowali wspólnoty, tak zwane okręty. Ucząc, że seks to grzech, twierdzili, iż bez grzechu nie ma pokuty, a bez pokuty — zbawienia, zatem pożycie małżeńskie, tające grzech, jest gorsze niż on sam. W „okrętach" chłystów wszystko było wspólne: od mich do bab.

Współczesny filolog twierdzi, że chłystowski „okręt", w którym Bóg był współobecny przy rytuałach, a wierni jednogłośnie powtarzali te same teksty, krążyli w zamkniętej przestrzeni i razem przeżywali orgazm — to jedna z najmocniejszych metafor ludzkiej wspólnoty, znanych antropologii i historii. Tradycyjna ruska obszczina, ze wspólnym polem, obrzędem i prawem, pozostawiała na uboczu rodzinę i sprawy seksu — kolektyw ich się nie tykał. Natomiast idee chłystów, cementując wspólnotę, pociągnęły eksperymenty z rodziną i płcią. Do stabilizacji tego doświadczenia niezbędna jest wiara. Prawdziwy komunizm może być osiągnięty tylko we wspólnocie erotycznej i mistycznej.

4

W 1772 we wsi Bogdanowka zaniepokojona policja zarejestrowała trzynastu mużyków „...bez jaj, podniesiono alarm, sprawca zbiegł..." — tak się zaczyna historia jednej z najdziwniejszych sekt w dziejach świata, sekty „białych gołębi", w której ruski radykalizm znalazł najpełniejszy

wyraz. Pojedyncze przypadki samokastracji z pobudek religijnych bywały i wcześniej, choćby kazus Orygenesa, i na Rusi można przypomnieć paru monachów-rzezańców śród pieczerskiej braci, na przykład Jefrema, późniejszego metropolitę kijowskiego, czy inoka Moisieja, którego... Polka otrzebiła, opisanych w Pateryku. Lecz dopiero pod koniec XVIII stulecia w Rosji skopczestwo przyjęło formy sekty religijnej, wyłaniając się z chłystowskich „okrętów" niby nowy zakon. Na czele stanął starzec Seliwanow, Bóg i car w jednej osobie, bo się podawał zarazem i za wcielenie Pana Boga, i za Jego Wysokość Piotra III, mieszając mistykę z polityką. Seliwanow głosił, że zbliża się Koniec Świata i starczy otrzebić

sto czterdzieści cztery tysiące braci i sióstr, by Sąd Ostateczny nastąpił. Sąd się odbędzie w Moskwie pod przewodnictwem Seliwanowa, który do tego czasu zasiądzie na carskim tronie. Karać się będzie za lepost', czyli za stosunki płciowe, grzech straszny, który zżera świat i robi z ludzi bydło zamiast aniołów. Aby aniołem się stać, należy grzech odkupić, to znaczy... otrzebić się.
Gra słów w ruskim języku: iskuplenije/oskoplenije (odkupienie/otrzebienie), oddaje sens metafizyczny odkupienia grzechu pierworodnego przez rzezańców. Według ich nauk pierwsi ludzie byli bezpłciowi, to jest nie posiadali narządów płciowych. Za to mieli pełną swobodę, nie mogli tylko dotykać drzewa poznania. Za złamanie zakazu Bóg ich ciężko pokarał: na ciele Adama i Ewy pojawiły się organy, będące kopią drzewa poznania. Pień wyrósł jako prącie, jabłka — jako cycki. Tylko chirurgiczna interwencja, czyli obcięcie grzesznych członków, może zbawić człeka od grzechu pierworodnego. Operacje robiono rozżarzonym żelazem i nazywano „chrztem ogniowym", „sadzaniem na białego konia", niekiedy „pieczęcią". Rozróżniano „małą pieczęć" — odcięcie jąder u mężczyzn, sutków u kobiet — lub „carską pieczęć" — oderżnięcie prącia u nasady, piersi „do samej kości". Kobietom wyrzynano też wargi sromowe, co prowadziło do zrastania pochwy. Na starych policyjnych fotografiach (mam je przed sobą!) trudno rozróżnić śród gołych rzezańców, kto z nich jest kobietą, a kto mężczyzną. Zaiste, bezpłciowe anioły.

Nauki Seliwanowa znalazły posłuch. Rychło posypały się donosy To tu, to tam donoszono o nowych otrzebieniach. „Okręty" rzezańców powstawały jak grzyby po deszczu... w guberni orłowskiej, kałuskiej, kurskiej, tulskiej,

tambowskiej, moskiewskiej, petersburskiej. Trzebili się chłopi, żołnierze i kupcy, wiejskie kumoszki i mieszczki. Skoro się okazało, że styl życia trzebieńców, w tym abstynencja, wegetarianizm, sprzyjają robieniu pieniędzy. Bogate „okręty" przekupują policję, rozwijają biznes, mają wpływy na dworze. Starzec Seliwanow, po krótkiej zsyłce na Sybir, wraca triumfalnie do Petersburga, jest hołubiony w wyższych sferach, jak sto lat później inny starzec — Rasputin. Potem koniunktura spada, skopców prześladują, zsyłają, męczą. Seliwanowa zamknęli w Spaso-Jewfimijewskim monastyrze w Suzdalu, tam trafił na... „okręt" naszego rodaka, o którym za chwilę. Mimo represji sekta się rozwija i nowe „okręty" się rodzą w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach: w garnizonie piechoty morskiej w Kronsztadzie, w 95 rocie na Kaukazie, w sołowieckich kazamatach... Tutaj też, na Sołowkach, można znaleźć ślady ostatnich trzebieńców — w archiwach SŁON-a.

Filolog zauważa: „Kastracja wiąże człowieka ze wspólnotą tak mocno, jak nie mogła tego zrobić jakakolwiek więź ekonomiczna czy ideologiczna. Zależność od wspólnoty zawsze się rozbijała o siłę płci — miłości do jednostki, nie do wspólnoty. Kastracja likwiduje ten problem. Kastracja zamyka dla partnera i otwiera dla kolektywu. Kastracja czyni komunizm możliwym, ba, niezbędnym".

5

O Polaku skopcu Józefie Jeleńskim, autorze teokratyczno-rzezańczej utopii, więzionym na Sołowkach w latach 1794-1801, wiemy niewiele, zwłaszcza — do Sołowek. Niektórzy pisali, że był szambelanem króla Stanisława Augusta, inni twierdzili, że konszachtował z Kościuszką, a jeszcze inni lekce go ważyli jako „bezdomnego polskiego inteligenta,

który próbował bez powodzenia zarobić tu pieniądze".

Takoż w ocenie roli Jeleńskiego historycy się poróżnili: jedni ogłosili Polaka pierwszym ruskim rewolucjonistą, a jego traktaty „najwyższym osiągnięciem myśli postępowej XVIII wieku", drudzy orzekli, że mistyk i wariat. Przyjrzyjmy się zatem tym niewielu faktom, które znamy.
Józef Jeleński (1756-1813) pochodził ze zbiedniałej rodziny szlacheckiej spod Mińska. Po śmierci rodziców sprzedał resztki posiadłości, pieniądze szybko stracił, po czym przyjechał do Petersburga. Co tu robił? Trudno powiedzieć. Jakieś spekulacje, handelek, karty... Być może spiskował. Bywało, że dwa dni nie jadł. W maju 1794 roku, na podstawie donosu kapitana Cybulskiego, Jeleńskiego aresztowano. Pośród papierów, skonfiskowanych w trakcie rewizji, znaleziono proklamację o zniesieniu pańszczyzny, wydaną w Krakowie. By uniknąć kary śmierci, Polak przeszedł na prawosławie, pod imieniem Aleksij, a następnie został zesłany na Sołowki, pod srogi nadzór. Tutaj (w celi) napisał swój słynny Błagowiest, czyli Dobrą nowinę, która ogłuszyła archimandrytę Iona — tonem arogancji. Albowiem, ni mniej, ni więcej, Jeleński zażądał od carycy Katarzyny, by się zrzekła tronu, „...w przeciwnym razie cała Rosja skąpie się we krwi". Ciekawe, że Błagowiest, łącząc postulaty polskich manifestów i Pugaczowowskich odezw, napisany był w stylu staroobrzędowej gramoty, z wyraźnie podkreśloną nutą mizoginii. Tutaj też, na Wyspach, Jeleński się wykastrował...
(Stop! Zatrzymajmy się na chwilę w tym miejscu. Różni badacze bowiem różnie próbowali odczytać ten gest. Na przykład Frumienkow, autor Więźniów sołowieckiego monastyra, objaśniał czyn Jeleńskiego utratą

rozsądku na wieść o upadku powstania kościuszkowskiego. Cóż, nikt dziś nie może na sto procent powiedzieć, co kierowało Jeleńskim. Być może tym sposobem chciał się z celi-ciała wydobyć. Być może skopcy, współwięźniowie, mu powiedzieli, że nasze ciało to tiurma, z niej się wychodzi „na białym koniu". Później Polak pisał: „...i ręce mi się wydłużyły, i nogi zrobiły się wielkie, zatem cały zogromniałem i rozprzestrzeniłem się, jakby Pan Bóg pomieścił we mnie i niebo, i ziemię, i wszelkie stworzenie").

Po śmierci Katarzyny car Aleksander się zmiłował nad Jeleńskim. Ba, wedle rozkazu Jego Wysokości Jeleńskiemu dano mieszkanie w ławrze Aleksandra Newskiego w Petersburgu, w pokojach metropolitalnych. W rosyjskiej stolicy nasz rodak bynajmniej nie próżnował: zbliżył się z najsłynniejszymi mistykami epoki — Aleksandrem Łabzinem, twórcą masońskiej loży „Umierający Sfinks", Aleksandrem Golicynem, ministrem oświaty, oraz z Bogiem skopców, Seliwanowem — potem sam „posadził na białego konia" parę tuzinów ruskich ludzi, by w końcu stać się głównym teoretykiem sekty. W 1804 roku zaś przekazał na ręce Nowosilcowa, carskiego zausznika, swe Posłanie — projekt zupełnej przebudowy (pierestrojkil) Rosyjskiego Imperium. Dokument zaprawdę wyjątkowy. Oto, w kilku słowach, jego sens:
Rosja, głosi Jeleński w Posłaniu, jest krajem wybranym przez Nasz Kościół do rozpoczęcia Wielkiej Przemiany — stąd cały świat się przeobrazi. Przemianę należy zacząć od armii i floty: każdemu dowódcy jednostki wojskowej lub okrętu przydziela się proroka skopca, głosiciela Słowa, i sekretnego monacha skopca, komentatora Słowa, który ma

decydować o operacjach bojowych, czuwać nad drylem, morale i... kastrować żołnierzy. Jeleński kładzie nacisk na system kontroli: sekretny monach kontroluje dowódcę wojskowego, prorok (obowiązkowo niepiśmienny!) kontroluje monacha, proroka — wyższy monach, którego z kolei kontroluje wyższy prorok i tak dalej... aż do Pierwszego Monacha, czyli samego Jeleńskiego, który stoi na czele głównego sztabu armii rosyjskiej i komentuje Słowo Pana Naszego, Ojca i Syna, i Ducha Świętego w Jednej Osobie Konrada Seliwanowa, który żyje przy dworze cara rosyjskiego. Zatem Porządek ten wprowadza się do miast i wsi i obejmuje nim całe Imperium. Wszystko po to, by rzezać ich, rzezać ich, rzezać ich... Ludzkość — wedle Jeleńskiego — podzieli się na dwie grupy: skopców, czyli ludzi duchownych, którzy będą panować, i resztę, ta ma pracować i rozmnażać się, pod baczną kontrolą tych pierwszych.
Filolog pisze: „To najbardziej totalitarny projekt ze wszystkich, jakie zna historia utopii. Jeleński bowiem

proponował nie tylko przeobrażenie całego systemu władzy, państwowej i duchowej; i nie tylko zamierzał zacząć rewolucję od armii i floty, by później ją rozprzestrzenić na wszystkie ministerstwa, gubernie i sioła; i nie tylko chciał zbudować reżym najsroższym ze znanych nam sposobów — poprzez osobistą kontrolę duchowych pasterzy, zorganizowanych hierarchicznie. Wszystko to było znane i wcześniej, wiele z tego próbowano zrealizować do Jeleńskiego, i po nim też. Lecz tylko w jego projekcie do polityki zewnętrznej, wewnętrznej i duchowej włączono politykę ciała, w najbardziej radykalnym i nieodwracalnym jej wariancie — chirurgicznym. Idea otrzebienia — najpierw komisarzy, a potem, pod

ich kontrolą, narodu — to utopia, która osiąga teoretyczny kres wszelkiego utopizmu. Nikt, oprócz Polaka Jeleńskiego, tak dosłownie nie rozszyfrował sekretu Utopii".

24 sierpnia 1804 roku Jeleńskiego zamknęli w Spaso-Jewfimijewskim monastyrze w Suzdalu za „rozpowszechnianie skopczeskiej herezji". Lecz Polak i tam nie zaprzestał trzebić, ba, wraz z monaszką Paisiją cały ośrodek skopców w kazamatach zorganizował i rzezał ich, rzezał... aż do samej śmierci. A wiek później inny Polak próbował tu nową utopię zrealizować. Zwali go Feliks Dzierżyński.

6

21 października

Wreszcie odkryłem źródło plotek, uporczywie krążących po Sołowkach, jakoby mnie tu zesłano za... „Solidarność". To Pantelejmonowicz, były politruk, znany ze swych fabulacji, rozgłasza owe słuchy. Powiedział mi o tym Pałtus, przynosząc książkę pod tytułem: Krach „opieracii Polonija", 1980-81, którą dostał od Pantelejmonowicza do poczytania. Na książce stempel biblioteki wojskowej, widać na pamiątkę ją sobie zostawił były politruk. Może mu służyła na politzajęciach, a może do zaśnięcia? Na okładce nota o autorze: Wadim Trubnikow, kandydat filozoficznych nauk i zastępca redaktora działu zagranicznego miesięcznika

„Kommunist"; w 1985 roku za Krach... otrzymał nagrodę Związku Dziennikarzy ZSRS za najlepszą publicystyczną książkę roku. Przekartkowałem. Znajome nazwiska: Kuroń, Wałęsa, Frasyniuk. I dawne czasy: opozycja, Stocznia Gdańska '80, „Solidarność", stan wojenny, konspira... Kawałek mego życia, raptem obejrzany z drugiej strony,

oczami sołowieckich matrosów, poziewających z nudów na politzajęciach u llii Pantelejmonowicza. Pałtus był jednym z nich.
Czytać tego nie sposób. Bełkotliwy slang agitki, upstrzonej cytatami z „Trybuny Ludu" i „Żołnierza Wolności", unisono z sowieckim komentarzem. Jakaż kasza została po tym w głowach sołowieckich matrosów. Im przecież tego nikt nie wyprostował! Ba, jeśli uważniej posłuchać, co dzisiaj w Rosji mówią, to można znajome wątki rozróżnić w ogólnym szumie. Ot, dla przykładu: Brzeziński. W Krachu... zrobiono zeń głównego reżysera „operacji Polonia" i intryganta, który całe życie kombinował, jak rozwalić Sowiety. A dziesięć lat później w TV to samo powtarza Sołżenicyn, mówiąc o rozwalaniu Rosji. Nic dziwnego, że taki Pałtus i jego koledzy z politzajęć Pantelejmonowicza nie dowierzają Polakom. Tutaj, w głąb Rosji, nowe nie dociera, a jeśli, to nader wykrzywione. Tu panują stare poglądy lub żadnych nie ma. Przeglądając Krach „opieracii Polonija", zwróciłem uwagę na grube podkreślenia czerwonym długopisem. Wszystkie dotyczyły... „Kultury".
27 października
A propos „Solidarności"... Mam na myśli tamtą „S", z lat osiemdziesiątych, a nie jej obecny odprysk. Otóż obraz tamtej „S" w dzisiejszej prasie polskiej (którą tu czytam wyrywkowo, w niezbyt dużych dozach) staje się coraz piękniejszy — i coraz mniej prawdziwy. Czasem to nostalgia, jak bywa u Smecza („łopot flag na dźwigach stoczni"), czasem chwyt publicystyczny lub zapomnienie. Często piszący lub mówiący o tamtej „S" idealizują niedawną przeszłość, by mroczniej teraźniejszość odmalowywać... Na przykład Herling-Grudziński: „Wprowadzenie stanu wojennego ma

do dziś potworne konsekwencje. Jest źródłem strasznego schorzenia życia społecznego — życia zrzeszonego w Polsce przed 13 grudnia, a następnie, w konsekwencji skutków stanu wojennego, życia systematycznie psutego, rozkładanego, nawet gnijącego". Cytatę wyjąłem z rozmowy, zatytułowanej Dżuma stanu wojennego („Tygodnik Powszechny", 12/1997), w której autor Cudu i Dżumy w Neapolu, na marginesie obu tych opowieści, rysuje rzeczywistość w czarno-białych tonach: do 13 grudnia Cud „Solidarności", po 13 grudnia Dżuma, trwająca do dziś... Hm, polską teraźniejszość znam jedynie z gazet i z relacji polskich turystów, którzy tu rzadko zajeżdżają, dlatego się nie wypowiadam. Za to stare czasy z autopsji pamiętam, sam tam byłem: i w Stoczni Gdańskiej, i w MKZ przy Grunwaldzkiej, i w podziemiu. Cudów nie wspomnę, za to brudów już wtedy było pod dostatkiem. Choćby walka Lecha Wałęsy z „gwiazdozbiorem", czyli sympatykami Gwiazdów, walka bez pardonu z obu stron. Pani Ania (Walentynowicz) nachodziła nas w redakcji „Solidarności", byśmy drukowali w piśmie kawałki o Wałęsie jako agencie Służby Bezpieczeństwa. Druga strona, to jest przewodniczący NSZZ, też nie przebierała w środkach. A agresywne „prawdziwki" (prawdziwi Polacy), żądające krwi KOR-u i oczyszczenia Związku z Żydów? A ksiądz Jankowski, papa duchowy Stoczni Gdańskiej i „S"? Zapamiętałem epizod: po opublikowaniu artykułu o Edwardzie Abramowskim mieliśmy wizytę niemal bojówki. Do naszej redakcji wparowała delegacja z Komitetu Budowy Pomnika Poległych Stoczniowców z żądaniem, bym się stawił w Stoczni i wytłumaczył, jakim prawem propaguję idee żydo-masońskie w piśmie „S". Dlatego nie mogę się zgodzić z idealizacją tamtych czasów,

Dżuma już wtedy porażała. Bo Dżuma to choroba...

...tfu, przyrzekałem sobie, iż nie będę trącał polskich tematów, i ot, nie zdzierżyłem słowa. Książczyna z biblioteczki sołowieckiego politruka Ilii Pantelejmonowicza wywołała duchy.

IX

Będąc cudzoziemcem, obcy tutejszym sporom, beznamiętnie studiuję dzieje owego kraju i z dystansu oglądam dzisiejsze wydarzenia...

Joseph de Maistre

1

Ondatra zibethica. Czyli piżmaki, szczury wodne. Na Sołowki przywiezione z Michigan za czasów łagru i hodowane na wyspach Długiej Zatoki ze względu na cenne futro. Zeka je zwali „sowieckimi owcami" i podkradali im mięso. Teraz żyją tu w stanie dzikim. Rozmnożyły się. Smirnyj mi opowiadał, jak latem dziesięć sztuk wlazło mu do... „mordy" (rodzaj więcierza). Podniosły siatkę pod samą powierzchnię wody i wystawiły pyszczki, ciężko dysząc. Mużyki żerdziami przytopili „mordę". Głębina w tym miejscu była nieduża — pół metra — więc wyraźnie, jak w akwarium, widzieli, co się działo. Piżmaki mogą jakiś czas przebywać pod wodą bez powietrza. Zatem siedziały spokojnie. Raptem, po paru minutach, jeden rzucił się na drugiego i w mgnieniu oka go zagryzł. To był sygnał. W „mordzie" zakotłowało się, a na powierzchnię jeziora wypłynęły pęcherze krwi. Piżmaki wiodły zacięty bój, każdy przeciw każdemu. Po chwili wszystkie były martwe... Dziś mużyki tu siedzą jak piżmaki w „mordzie", a naczalstwo ich przydusza żerdzią reform do dna. Jeno patrzeć, kiedy zaczną się gryźć.

2

Do przybycia monachów na Wyspy, a wraz z nimi zakonnych latopisarzy, brzegi Białego Morza, od Sumy do Warzugi, zamieszkiwały fińskie plemiona, tak zwane karielskije ludi, uważające się za właścicieli owych ziem, oraz nowgorodzcy koloniści, stopniowo przywłaszczający owe ziemie sobie. Do Sołowek pretendowali i jedni, i drudzy, ale nikt się nie odważał tutaj żyć na stałe, i tylko latem, sporadycznie, rybaczyli tu i foki bili, czasem ci, a czasem tamci. Uważny czytelnik Sotowieckiego pateryka znajdzie w żywotach świętych, w ich cudach i cudownych przywidzeniach, niejeden ślad konfliktu z Pomorcami, którzy nie od razu chcieli się pogodzić z oddaniem braciom bogatych łowisk śledzia. Nieraz spory wymagały interwencji sił niebieskich; na Siekirnej Górze, dla przykładu, anioły rózgami babę karelską po tyłku wysiekły, ucząc w ten sposób niebogę, że Wyspy do prawosławnych monachów należą. Rzecz jasna, świątobliwi bracia nie poprzestali na gwarancjach mocy nadprzyrodzonej, ale zadbali też o porękę władzy świeckiej. Już w 1450 została podpisana pierwsza gramota, w niej Wielki Nowgorod oddawał ziemie, lasy, jeziora i tonie morskie Sołowek monachom we władanie. Tym samym — twierdzi Kluczewski — „zaczął się ciekawy proces skupiania w rękach sołowieckich braci obszernych połaci Białomorza, proces, który niewątpliwie zaważył na historii tego kraju".

Początkowo, jeszcze w XV wieku, nadania objęły brzeg Pomorski i Karelski Morza Białego, a jednym z pierwszych darów były wsie nad rzeką Sumą, ofiarowane mnichom przez Marfę Posadnicę, potem, w XVI wieku, sołowiecki monastyr wyciągnął ręce aż po daleki Terski Brzeg Półwyspu Kolskiego i dwie największe jego rzeki — Umbę i Warzugę.

Moskiewscy kniaziowie, po zwycięstwie nad Wielkim Nowgorodem, nie tylko stare nadania potwierdzili, ale i nowych kupę ponadawali, przy tym z gramoty Iwana Groźnego, z 1539 roku, warto zapamiętać przypis, dający igumenowi prawo do sądzenia chłopów z monastyrskich włości. Klasztor tymczasem wciąż nowych ziem

się domagał, bo głównym dochodem braci było warzenie soli morskiej, związane z wypalaniem nadbrzeżnych lasów. I tak w połowie XVII wieku w rękach sołowieckich monachów znalazły się ważniejsze ruskie osady w ujściach pomorskich rzek: Umby, Warzugi, Kiereti, Kiemi, Szui, Wyga, Sumy, Koleżmy, Niuchczy, Unieżmy, Liamcy, Purniemy, Kui i Uny. Nie od rzeczy też będzie wspomnieć o bogatych wkładach do brackiego skarbca, tak w złocie, jak i w innych kosztownościach, oraz o zwolnieniu monastyru z rozlicznych podatków w zamian za straż na rubieży Rusi i stróżowanie w tiurmie.
W 1764 roku caryca Katarzyna II sekularyzowała pomorskie dobra monachów i oddała je pod zarząd Kolegium Ekonomii, zostawiając braciom, niejako na otarcie łez, sołowiecki archipelag na własność. Ucisk chłopów na Pomorzu zelżał... nieco — według dzisiejszych historyków. Zakonny dziejopis zaś, ojciec Mieletij, tak komentuje wydarzenie: „Monastyr wprawdzie zubożał, i to znacznie, ale uzyskał zarazem moralną korzyść, bo bracia, uwolniwszy się od konfliktów, związanych z zarządzaniem dobrami, znaleźli spokój, niezbędny bogobojnemu życiu monachów". Hm, na temat bogobojności... można by się spierać, wystarczy wnikliwiej czytać Mieletija lub przestudiować klasztorną regułę, zwracając szczególną uwagę na te jej punkty, które dotyczą zakazu

przechowywania wódki i pieniędzy w celach. Jedno jest pewne, dla braci nastało parę lat chudych...

3

Pod koniec XIX wieku na Wyspy zawitał Niemirowicz-Danczenko, znany podróżnik i pisarz. Sołowiecki klasztor oszołomił przybysza przepychem. W swojej książce o Sołowkach Wasilij Iwanowicz twierdzi, że niezwykłe bogactwo monastyru opierało się na darmowym (proszę zapamiętać!) trudzie pątników i szczodrych datkach. Zatem nieco danych:

Licząc po 30 kopiejek roboczy dzień każdego z czterystu godowikow, czyli dobrowolnych robotników,

ślubujących przepracować rok na chwałę błogosławionych Zosimy i Sawwatija, najczęściej w podzięce za wybawienie od sztormu, choroby lub biesa, monastyr zaoszczędzał 43 800 rubli na rok.

Licząc po 10 kopiejek roboczy dzień każdego ze stu chłopców, oddawanych tu na chwałę błogosławionych Zosimy i Sawwatija przez rodziców, którzy nie byli w stanie utrzymać potomstwa, monastyr dodawał 3650 rubli na rok.

Licząc po 8 rubli każdego z piętnastu tysięcy pątników, którzy przynosili po 10 rubli (minimum) na chwałę błogosławionego Zosimy i Sawwatija, ich utrzymanie zaś kosztowało monachów 2 ruble, monastyr zwiększał sumę o 120 000 rubli. Jeśli dorzucić 10 000 rubli za kwaterunek pątników w domu gościnnym w Archangielsku oraz 15 000 rubli za ich transport na Sołowki, to ciężar monastyrskiej sakiewki wzrastał do 200 000 rubli na rok. Plus 25 000 rubli procentu od kapitałów. Należy zauważyć, że prócz mąki w Archangielsku i węgla w Anglii mnisi sołowieccy nic nie

kupowali, bo wszystko, co niezbędne, produkowali na miejscu, a nadwyżki dodatkowo sprzedawali, z czego monastyr uzyskiwał następnych 30 000 rubli.
Trzeba też zaokrąglić, choćby do 10 000 000 rubli, wartość wszystkich dóbr, ruchomych i nieruchomych, czyli same wyspy, ich ziemie, lasy i tonie, a także cerkwie, skity, zabudowania mieszkalne i gospodarcze, urządzenia przemysłowe, statki, doki, tabuny, stada... aby pojąć bogactwo tej „ascetycznej komuny roboczej", jak określił sołowiecki monastyr Niemirowicz-Danczenko, na progu XX wieku.
4
W XX wieku na Wyspach zmieniały się systemy zarządzania i sami zarządcy, niczym figury z barwnych szkiełek w dziecinnym kalejdoskopie, natomiast pryncypium darmowego trudu pozostało (w zasadzie) bez zmian. Krótki okres bezładu, rewolucji i wojny domowej, szczwane żule różnej maści wykorzystały do grabieży monaszych bogactw, potem, paroma pożarami, zatuszowano rozmiary

kradzieży i przystąpiono do budowy Nowego Ładu. W 1923 roku na Wyspach, na ostatkach dóbr monastyrskich, osiadł SŁON, to jest Sołowiecki Łagier Osobogo Naznaczenija — pierwsze tego typu przedsiębiorstwo w Sojuzie, można rzec: eksperymentalne. Do roboty zagoniono mnichów, popów i popadie, resztki niedorżniętej arystokracji, burżujów, kułaków i inną kontrę, prawą opozycję i lewych konkurentów do władzy, a także kokoty, artystów dekadentów, narkomanów, pasożytów i opryszków. Korzystanie z pracy więźniów na Wyspach nie było czymś nowym, wystarczy wspomnieć popa Simeona (widział go Maksimow w

1856), heretyka przykutego łańcuchem do ściany w piekarni i mieszącego bez końca ciasto na chleb dla braci, czy też innych „nieszczęśników w okowach na czarnych monastyrskich robotach". Przy tym SŁON wykorzystywał nie tylko doświadczenie monachów w organizacji i zarządzaniu, ale także ich warsztaty, cechy, doki, składy i wreszcie ich samych, w roli brygadzistów. Oprócz tradycyjnych monastyrskich zajęć — rybołówstwo, ogrodnictwo, obróbka lasu — próbowano też nowinek, na przykład produkcji agar-agaru, w czym się specjalizował filozof Florenski, hodowli piżmaków, prac wydawniczych i naukowych. Wszystkich zajęć SŁON-a wyliczyć niepodobna, tym bardziej że i ludzie się wykruszali, i czasy się zmieniały, i popyt. Do ważniejszych należały: produkcja wapna, alabastru i cegieł, wydobycie torfu, zbiór i obróbka wodorostów, wyprawa skór fok, rzemiosła krawieckie i szewskie, cech stolarski, cech zabawkarski... tak, tak, tylko przy wyrobie szmacianych lalek zatrudniano w SŁON-ie ponad trzystu zeka, czyli więcej, niż dzisiaj ogółem na Wyspach pracuje! Natomiast łagierny sielchoz, zatrudniający ponad półtora tysiąca więźniów przy hodowli koni, bydła i trzody chlewnej, w mleczarstwie i ogrodnictwie, miał swój klub, czytelnię i sklep. W łagiernym szpitalu, na sto osób, było pięć oddziałów: wewnętrzny, chirurgiczny, gruźliczy, nerwowy i położniczy, oraz własna kuchnia, magazyny i przytułek dla dzieci. Na Wyspach za czasów SŁON-a był także teatr z trzema scenami, dający przedstawienia pięć razy w tygodniu, kino, centralna biblioteka z naukowymi zbiorami

(około 30 000 tomów) i klub z czytelnią, salą gier i zabaw, otwarty dla zeka przez okrągły dzień, do 23.00. (Tylko w 1925 roku wystawiono tu

139 spektakli teatralnych, dano 40 koncertów i 37 seansów filmowych oraz zorganizowano dobrą kopę wykładów, dyskusji i wieczorów literackich). Ba, oddzielne przedsiębiorstwo zajmowało się zbiorem odpadów użytkowych, sortowaniem ich i wysyłką w Kiem, a obecnie po posiołku, gdzie nie spojrzeć, złom się wala, szkło w kawałkach i całe bloki z żelbetonu.

5

Osobny ustęp należy się pracy wydawniczej i naukowej, prowadzonej w zonach SŁON-a. I tak, regularnie wychodził tu tygodnik „Nowyje Sołowki", który można było prenumerować na terenie całego Sojuza, a ilustrowany miesięcznik „Sołowieckije ostrowa", o objętości dwustu pięćdziesięciu-trzystu stron, cieszył się opinią najbardziej niezależnego pisma w ZSRS. Publikowano w nim, prócz prozy, esejów i wierszy, artykuły Sołowieckiego Towarzystwa Krajoznawczego, zrzeszającego uczonych zeka oraz wolnonajemnych. Prace te mogą służyć do dziś badaczom Północy, nie tylko informacją, ale także przykładem solidnej pracy, albowiem paroletni dorobek naukowy Towarzystwa bije na głowę płody sołowieckiego muzeum z trzydziestu lat jego działalności. Zakres naukowych zainteresowań zeka był ogromny, wystarczy wymienić tytuły kilku publikacji: Biologia ryb Białego Morza, Narzędzia rybołówstwa na Białym Morzu, Klimat Białego Morza, Ptaki Białego Morza, Archeologia Białego Morza, Problemy ochrony zwierząt na wyspach Białego Morza, Dzieje kiemskiego rejonu, Pomorcy — ich byt i zajęcia, Dzieje wsi pomorskiej, Torf Wysp Sołowieckich, Wpływ wiatru na las sołowiecki, Erozja sołowieckich gleb, Monastyrska tiurma na Sołowkach, Monastyrskie wyroby kościane, Dane statystyczne sołowieckiej

gospodarki i tak dalej, i tak dalej... Od 1926 wychodzą oddzielnym drukiem, jako dodatek do łagiernego miesięcznika, „Materiały Sołowieckiego

Towarzystwa Krajoznawczego", coś w rodzaju „Biblioteki «Kultury»". Ogółem wyszły dwadzieścia trzy pozycje, w tym fundamentalna praca Winogradowa o saamskich labiryntach i pierwszy słownik błatnoj muzyki...

6

Pod koniec 1939 roku ostatnich zeka wywieziono z Sołowek i Wyspy przekazano sowieckiej armii, atoli zarówno zony zostały, jak i drutu kolczastego zwoje. Nazwy tylko pozmieniali i zamiast zony osobogo naznaczenija utworzyli zakrytuju zonu, której reżym obowiązywał do końca 1989 roku. W paszportach u wielu Sołowczan stoją do dzisiaj dwie tłuste literki: z.z. I jeszcze do niedawna należało mieć indywidualne zaproszenie, by na Sołowki bilet wydali. Pryncypium darmowego trudu pozostało bez zmian: żołnierze tyrali za miskę, czasem za pół litra. Powoli i stare, i nowe porządki odchodziły w niepamięć, większość rzemiosł, cechów i umiejętności zapuszczono, hodowlane piżmaki zaś po Wyspach się rozbiegły i zaczęły żyć dziko. Sołowieckie wojsko o byt swój dbało, zwłaszcza o żarcie — o bydło i o trzodę chlewną. Poza tym remontowano technikę wojskową, a przy okazji sołowieckie drogi, w gestii armii był też transport — i morski, i powietrzny — łączność, energetyka, szpital i dwa kluby. Wszystko w ramach służby, bezpłatnie. Jednocześnie na Sołowkach osiadali cywile, pierwej przy wojsku, niby do pomocy, potem na wojsku, jak wszy — według słów byłego politruka Pantelejmonowicza — i nie

tylko pasożytowali na trudzie żołnierzy oraz na dotacjach z budżetu obrony, lecz jeszcze produkty spożywcze za darmochę brali — produkty zepsute w składach. Z czasem cywilów na Sołowkach przybywało. Najprzód z Żyżgina, skąd na Wyspy w latach sześćdziesiątych fabrykę agar-agaru przeniesiono, a zarazem parę dziesiątków robotników z rodzinami, kiedyś tam zesłanych. Za nimi pociągnęli sezonowi dobywacze morskiej trawy, bicze bez przydziału, wolne ptaki. Niektórzy osiadali tu na stałe. Potem inteligenci powalili, nieudaczni uczeni, artyści bez

iskry, historycy pijanice — wszyscy do pracy w muzeum, niczym na zapiecek. W połowie lat siedemdziesiątych muzeum przeobrażono w zapowiednik, czyli w rezerwat ścisły. Ale prawdziwy szczyt przypadł na lata pierestrojki, kiedy to cały Archipelag objęto centralnym planem rozwoju i urbanizacji, w stylu sowieckiej gigantomanii. Wydzielono grube sumy, za którymi, jak zwykle w takich planach, pociągnęły watahy obiboków, kombinatorów i złodziei. Na Sołowki zawieziono ciężki sprzęt budowlany, setki ton materiałów i PMK-a (pieriedwiżnaja miechanizirowannaja kołonna), czyli parę brygad wybrakowanych roboli: bądź z artykułu 33 (za pijaństwo w pracy), bądź wprost u milicji wykupionych, niby raby. Przybysze sklecili dla siebie kilka baraków z sylikatowych pustaków i zaczęli budowę ogromnej oczyszczalni ścieków, zaprojektowanej na dziesiątki tysięcy mieszkańców, i jeszcze potężniejszej piekarni-kombinatu, wedle zasady: im większa budowa, tym więcej można ukraść. Następnie puszczono przez las obwodnicę z betonu, po bokach rozryto wyrobiska piachu, brzegi morza chłamem zarzucono, a przy okazji kilka domków przy ulicy Florenskiego wyrosło. Lumpy, niczym piżmaki,

rozmnożyły się w oczach. Latem 1989 roku wojsko opuściło Wyspy. Stare porządki dobiegały końca i o reformach jęły krążyć słuchy. Potem obcięto dotacje i wszystkie budowy przerwano w pół ściany. Nastąpiła ogólna prichwatizacija — nacjonalizacja na odwyrtkę. Chwytano wszystko, co leżało bezpańsko: płyty betonu i słupy telegraficzne, budynki, warsztaty i składy, mazut, papę i drut kolczasty. Nawet krzesła z byłego kina wynieśli i ekran ściągnęli ze ściany. Na koniec rozebrano PMK-a, doszczętnie: od spychaczy do spinaczy biurowych. Tylko ludzie się ostali, bezrobotni... Dzisiaj na Wyspach zabrakło tak wiary, jak i siły, w której imię można by ludzi zagonić do darmowego trudu: ani religii, ani łagru, ani armii. Teraz tu wszyscy o dien'gi pytają — bez pracy. Ot, mużyk przyszedł, o dziesiątaka chrypi, bo mu do pół litra nie starcza. Narąb drew, mówię, to ci zapłacę. — To się nie opłaca.

7

Zatem dygresja. W 1811 roku de Maistre pisał do hrabiego Rumiancewa: „W dzisiejszych czasach, kiedy obie kotwice — religia i rabstwo — jednocześnie przestają dzierżyć wasz okręt, sztormy go mogą unieść i rozbić. Należy rozważyć, nim się cośkolwiek podejmie w sprawie zniesienia poddaństwa, czasem wystarczy najmniejsze ustępstwo prawne, by się zaczęła bieda: najpierw to będzie moda, potem namiętność, w końcu szał. I, począwszy z ustawy, buntem się zakończy. W następstwie tak niespodziewanej wolności poddani przejdą zrazu od zabobonów do ateizmu, od tępego posłuszeństwa do niepohamowanej samowoli. Swoboda działa na takie natury jak mocne wino i szybko uderza do głowy, nieprzywykłej do niego".

Przypomnę, iż Joseph de Maistre był posłem króla Sardynii przy dworze Aleksandra I w latach 1802-1817, ponadto myślicielem, pisarzem i wnikliwym komentatorem, zarówno intryg politycznych, jak i teatru wojennego Europy. Przy tym oglądał świat z dystansu, niczym operę buffo, co sam przyznawał na marginesach oficjalnych depesz. I nic dziwnego, wszak widział kaprysy fortuny, które unicestwiały dynastie, armie i miasta, nikczemność bohaterów, wiarołomność sług. Jego listy z Sankt Petersburga dają nie tylko obraz epoki, brzemiennej w wydarzenia, takie choćby, jak pochód Napoleona na Rosję czy próba reform Aleksandra I, ale także komentarz do niej, jak szpicrutą cięty. Cytowane wyżej słowa pochodzą z Zapisków o wolności, tyczących projektu Sperańskiego, jednego z pierwszych rosyjskich reformatorów, który proponował, by wszyscy poddani cara byli równi wobec prawa, a wszystkie instancje władzy, od gminy wiejskiej począwszy, były wybieralne...

X

...albowiem nie ma nic bardziej zajmującego niż obserwować dzisiejszą Rosję.

Joseph de Maistre

1

Zdies' włast' nie sowietskaja, a sołowieckaja — lubił powtarzać Nogtiew, naczelnik SŁON-a, podkreślając tym samym osobliwość tutejszych rządów. Powiedzonko to słyszałem tu nieraz. Postłagierny aparat zarządzania Wyspami, bastard partyjno-wojenny, powstał ze skrzyżowania dwóch porządków — wojskowego i cywilnego — i składał się z dwóch organów — wykonawczego i ustawodawczego. Ludzi doń rekomendowała partia, a potem nimi grała, pociągając za sznurki. Ów dziwoląg o trzech

nogach (wojsko, muzeum, posiołek) i o rozmazanych kompetencjach przetrwał do pierestrojki, kiedy to funkcje przewodniczących obu organów zlano w jedno: w gławu administracji. Został nią miczman Niebożenko. W 1991 miejsce armii w sołowieckim trójkącie kompetencji zajął klasztor, a Wyspom nadano status osobo ochraniajemoj tierritorii. Potem, już na moich oczach, Sojuz Sowiecki się rozpadł, komuniści poszli w rozsypkę, parlament w Rosji dwukrotnie odnawiano, wojna z Czeczenią wybuchła i zgasła, prezydenta ponownie wybrano, a Niebożenko jak rządził na Sołowkach, tak rządzi, samowolnie, do dziś.
Zdies' włast' nie moskowskaja, a swojskaja — można by rzec, Nogtiewa parafrazując. Innymi słowy: rządy swojaków. Czynowniczy aparat na Sołowkach — żony byłych

oficerów i kumple Niebożenki — liczy dwudziestu pięciu ludzi. Kiedyś starczało trzech! W czasie kiedy w Moskwie wyjaśniano stosunki, tutaj resztki państwowego pieroga dojadano: lewe kredyty i ulgi podatkowe dla swoich, lichwiarski obrót kwotami, przeznaczonymi na wypłaty i renty... (Handlarze wódką, dla przykładu, płacą tylko dwadzieścia procent podatku w porównaniu ze sprzedawcami innych produktów spożywczych, w rezultacie czego butelka „Ruskiej" kosztuje tyle, co trzy bochenki chleba, a zysk, omijając kasę, idzie wprost do kieszeni...) Zamiast dotować szkołę, czynownicy sami kończą fakultety prawa i administracji zaocznie, z funduszu dla weteranów sobie kupują mieszkania na stronie... w efekcie na Wyspach nastąpiła ogólna plajta, przedsiębiorstwa zbankrutowały, mużyki mrą jak muchy, od gorzały lub z niedożywienia, dzieci grzebią w śmietnikach lub kradną, i tylko Niebożenko z kliką zauszników żyją u

kormuszki, i tyją.

2

5 listopada

„Dołoj Niebożenko!" — pod takim hasłem odbył się wiec pod drzwiami administracji Wysp. Zaznaczę, że wiecowano w ramach ogólnorosyjskiej akcji protestu przeciw wstrzymywaniu wypłat zarówno pensji, jak i emerytur oraz rent. Niewypłacalność państwa osiągnęła kres ludzkiej cierpliwości: pracownicy służb komunalnych nie otrzymują zarobków od pozaprzeszłej zimy, lekarze i nauczyciele od maja, emerytury i renty ostatni raz wydawano w lecie. Na Wyspach krążą słuchy, jakoby kwoty z budżetu, przeznaczone na wypłaty, gława administracji puszcza w obieg pod procenty. Morze zamarza, zbliża się koniec nawigacji, a mieszkańcy Sołowek nie mogą kupić produktów na zimę. W sklepach już nawet chleba nie dostają na kredyt. A za co nabyć drwa na opał? Dodam jeszcze, że w tym roku ani grzybów, ani śledzia nie było, zaraza poraziła ziemniaki, i tuszę, iż czytelnik potrafi wyobrazić sobie rozpacz Sołowczan.

Dzisiaj od rana pada mokry śnieg, wielkimi płatami. I od razu taje. Białe Morze sztormi już od tygodnia. Porywisty, lodowaty wiatr nieomal z nóg mnie zwalił, kiedy wyszedłem zza monastyrskiej ściany na odkrytą przestrzeń Świętego Jeziora. Przed budynkiem administracji lepka, rozkisła breja. Latem rów tutaj rozkopali i porzucili robotę w pół dzieła. Pod drzwiami gławy zgromadziła się kupa narodu, ze sto osób błoto miesi. Sołowieckie staruchy, koślawe, przygięte, zamotane jak kukły. Dostrzegam znajomych. Szpital w komplecie, czyli ordynator, dwie siostry i sprzątaczka na bani, obok grupka nauczycieli, komitet weteranów w

szeregu, kilku robotników z elektrowni, Nadieżda Kiriłłowna z biblioteki, baba z bani, reporter z radia, leśnik, Foka i gównonos, jak nazywają tu właściciela wozu asenizacyjnego. Nieco w dali, pod zieloną trybuną z przegniłych desek, reliktem breżniewowskich „czasów zastoju", mużyki w waciakach, w walonkach, w uszankach, na mrocznym kacu, sołowieccy bezrobotni. Naród się burzy, matem kryje. Nikt nie wie, co dalej. Czekają na Niebożenkę, obiecał wyjść. Ponoć dzwoni do Archangielska, by wyjaśnić, kiedy przyślą pieniądze. Jakby wcześniej nie mógł.
— Precz z Niebożenką! — zacharczało spod trybuny. W drzwiach administracji pojawił się Walentyn Wiktorowicz. Zwalisty, kurtka skórzana, twarz nalana, oczy wypukłe, na wpół schowane pod daszkiem kraciastej oprychówki. Tłumek przycichł, przybliżył się, rozsierdzony, nacisnął. Niebożenko się cofnął i stężał.
— Noo, czego chcecie?
Wybuchnął jazgot. Babki krzyczały, jedna przez drugą, piskliwie: że koniec, dłużej tak nie można, że są doprowadzeni do ostateczności, że nawet w czasie wojny było lepiej, bo chociaż chleb przydziałowy dawali, a teraz już psy i koty przychodzi żreć, ba, nawet desek na trumny brakuje, podczas gdy oni tam, w administracji, mordy swe wypaśli...
— Ach, tak — ryknął Niebożenko, pokraśniawszy. Babki zamilkły, śnieg padał, a Niebożenko grzmiał: że w sądzie ich może zgnoić za obrazę urzędnika na służbie, że teraz w Rosji prawo i porządek i wara od władzy państwowej,

że to intrygi przed wyborami, że kozła ofiarnego chcą znaleźć, ale on, Niebożenko, na kozła się nie nada. Dlatego, już spokojnie, o pytania prosi

i po kolei na wszystkie odpowie. Bez obraz, bez krzyków i bez demagogii. Wystąpiła ordynator Lina C. Że kojek w szpitalu dwadzieścia sześć, ale żarcia tylko na cztery, że lekarstw brak, igły wyszły, a cały spirytus ukradli. Z węglem też ledwo ledwo, może na tydzień wystarczy, więc grzeją tylko tyle, by kroplówki nie zamarzły. Wczoraj jedna siostra zemdlała z niedożywienia. A samoloty dzisiaj nie na każdą kieszeń, więc jeśli zamknąć szpital na Sołowkach, to jakby wyrok śmierci na staruchów wydać. Z Archangielska dzwonili, że pieniądze wysłali, lecz do szpitala nie doszło ni rubla. Więc gdzie się podziały?

Gława po papiery posłał, by czarno na białym wykazać, a tymczasem z elektrowni wystąpili. Że silniki na ostatnim dychaniu, że najmniejsza awaria i szlag je trafi. A bez prądu woda w rurach zamarznie i cały system wodociągowy w mig się rozwali. Ludzie kipią złością i gotowi przerwać pracę, i niechaj nikt nie mówi o nielegalności elektrycznych strajków, bo oni nie nazwą tego strajkiem, tylko, po prostu, nie wyjdą na robotę z głodu.

Przynieśli papiery. Gławie ręce drżą, kartki w nich szeleszczą. Szuka, czyta, cyfry cytuje...

— Wieszać was, suki — raptem zawył pijany bomż, wychynąwszy zza trybuny, i chwiejnym krokiem ruszył na Niebożenkę. Na szczęście dlań towarzysze za poty go przytrzymali, nieco przy tym poszarpali, kułakiem po licu zdzielili i krew z nosa puścili, aż się uspokoił. Mamrotał jeszcze, na poły płacząc, że wszystkich ich, bliadi, z góry do dołu, od Moskwy do Sołowek, trza wymieść do cna. Niebożenko udał, że nic nie widzi, i kontynuował czytanie.

Nudno się zrobiło. Komu cyfry na papierze ciekawe? Ludzie powoli

zaczęli wyciekać. Wiatr jeszcze silniej zaduł, śnieg jeszcze gęściej lepił. Na placyku przed administracją została garstka, pod trybuną zrobiło się pusto. Gława wreszcie zakończył, ale nic z tego nie wynikło, i podsumował:
— Pieniędzy nie ma!

Ktoś kopnął z rozmachu przebiegającego mimo psa. Pies zaskowytał krótko, podkulił ogon pod siebie i wczołgał się pod trybunę. Naród stopniał jak śnieg, ludzie rozmyli się w mroku. Wspomniałem złość nieżyjącego Lochy Rudego, który nieraz powtarzał, że trzeba by wreszcie porządek zrobić i wszystkich na ch... powywieszać: i monachów, i naczelników-czynowników, i muzealników-darmozjadów. Ruski mużyk jest cierpliwy, ale gdy się zbiesi, to jak dym popełznie i oczy wyje...
3
Obecnie cała Rosja się wybiera, po rusku: zapamiętale. W TV wybory, w prasie wybory, w posiołku wybory, gdzie nie zajdziesz, w jakiej kuchni czy bani, wszędzie o wyborach gadają. Ledwie zakończono batalię o Dumę, gdy rozgorzał bój o stolec prezydenta, jeszcze prezydent nie doszedł do siebie po tej kampanii, a już pobiegły konie w stawce o rosyjskie prowincje. Gazety, radio i telewizja dmą w jedną dudkę, że wreszcie, że pierwszy raz w historii i że w ogóle — ewenement! Naród runął do urn na hurra, każde sioło własną Dumę chce wyłaniać. Wybierają prezydentów, gubernatorów, merów i naczelników wszelkiego autoramentu: od Czukotki do Klina, od Magadanu do Sołowek. Wyborom na Sołowkach warto się przyjrzeć z dwóch powodów: po pierwsze — to historyczne przedsięwzięcie na Wyspach, bez precedensu tego typu od

zarania ich dziejów, po wtóre — Wyspy skupiają całą wiązkę zjawisk i problemów rosyjskiej prowincji. I tak.

4

8 grudnia

Wybory na Sołowkach. Pozawczoraj się akredytowałem, oficjalnie, a jakże. W charakterze międzynarodowego obserwatora, z miesięcznika „Kultura". Ludmiła Michajłowna,

z komisji wyborczej, tłusta i zacna, klasnęła ze zdumienia i wykrzyknęła: no, blin.

Na Wyspach, jak pod lupą, widać wyraźnie każdego. Stąd wgląd w powijaki demokracji w głębi Rosji jest niezwykły, wręcz laboratoryjny. Będąc osobą postronną, cudzoziemcem bez prawa głosu, i zadomowioną zarazem, w kursie wszelkich miejscowych spraw i plot, mam tu szczególną pozycję, bo z nikim nie trzymając, ze wszystkimi się znam. Sołowczanie zaś, jak w ogóle wyspiarze, zapiekli w urazach między sobą, z obcymi są wylewni, skorzy do plotek, do zwierzeń. Maksimów wspomina nawet o niezwykłej chorobie, goworuchie, na którą ludzie na Północy zapadają, albowiem na co dzień milkliwi, z braku okazji do rozmów, kiedy już zaczną gadać, to końca temu nie ma...

I tak, wykorzystując ów zbieg okoliczności, patrzyłem na walkę wyborczą na Sołowkach od kuchni, gdzie popijając czaj, czasem szyło, wysłuchiwałem pretendentów do władzy, ich programów, żalów, biografii. Odwiedziłem ich wszystkich, po kolei, po domach, by zobaczyć, jak żyją, co mają i czego im jeszcze brakuje. Bywałem na mityngach i na posiedzeniach różnorakich, chodziłem na spotkania z kandydatami na

mera Sołowek do zakładów pracy (do muzeum, do przedsiębiorstwa usług komunalnych, do fabryki agar-agaru, a także do szpitala, leschoza, milicji, aeroportu), uczestniczyłem w paru wiecach w bani oraz w dyskusji przy „okrągłym stole" w posiołkowym klubie kultury. Co dzień wreszcie, wieczorami, po kolacji, zaglądałem do Wasylicza, byłego sekretarza partii na Sołowkach, który zna tu wszystkich: od podszewki do donosów. Wasylicz mieszka na Wyspach od lat, widział i słyszał wiele, i potrafi wspomnieć, co niegdyś robili ci, którzy dzisiaj mówią zupełnie coś innego. Tak więc zobaczyłem powijaki demokracji na Sołowkach. I nie skrywam, że zapaćkane toto, wymiętoszone i nie pachnie. Im bliżej do głosowania, tym brudów więcej wywlekano na jaw. Naród zafermentował jak braga. Mużyki w bani spiskowali po sobotach, baby w sklepach wiecowały, czekając na chleb, czynownicy zwarli się i zaparli się, „nowi Ruscy" sołowieccy skupowali głosy za pół litra, weterani

gardłowali i skakali sobie wzajem do oczu, każdy knuł na własny rozum i nawet w staruchy, co do mogiły już były gotowe, raptem bies wstąpił, polityczny. Jeno bomżom i biczom jak wisiało, tak wisi. I młodzież olewa, jak zwykle.

Do walki stanęło sześciu kandydatów: Walenty N., już zaprawiony w bojach (na moje pytanie, z jaką partią sympatyzuje, odpowiedział, że z żadną, bo on jest teraz choziajstwiennik, działacz gospodarczy), Sasza B., naczelnik elektrowni, jedyny pretendent bez wyższego wykształcenia, skrzyżowanie Lebiedia z Ziuganowem i swój śród miejscowych mużyków (gwoździem jego programu jest żądanie sądu dla Jelcyna), dalej w notowaniach Luba G. i Lew R., rekiny branży turystycznej, ona —

właścicielka hotelu (prywatyzowanego po błatu), on — naczelnik oddziału pomocy społecznej na Sołowkach i szef firmy wycieczkowej (też po błatu), wzajem się nienawidzą i walczą bez pardonu, bo każdemu z nich potrzebna jest „krysza", by swój biznes osłonić i konkurenta zdławić; w końcu Lina C, ordynator szpitala na Sołowkach, i Swieta S., adwokat bez pracy (pierwsza lubi komunistów, druga demokratów), obie opuszczone przez mężów, brzydkie i żądne władzy, by samotność zagłuszyć, odegrać się.

Ich programy wyborcze? Kupa śmiechu. Jeden od drugiego ściągał, wszyscy pisali to samo, z jednakowymi błędami, oklepane frazy. O rozwoju ekonomicznym i opiece społecznej, o pilnowaniu ekologii i obstrukcji finansów, o turystyce zagranicznej i opatrzności bożej, o dotacjach, opodatkowaniu i odpowiedzialności. Innymi słowy, jak dzieci mówią: obiecanki-cacanki. Z konkretów zapamiętałem różnicę między głównymi pretendentami, N. i B., na temat źródeł prądu. Sołowiecka elektrownia ledwo dyszy i w każdej chwili grozi awarią, nie mówiąc już o tym, że tony mazutu wyciekają z nieszczelnych rur, niszcząc wyjątkową przyrodę Sołowek. Na remont elektrowni potrzeba ogromnych sum, dzisiaj zupełnie nieosiągalnych. W wielu domach, w tym i w szpitalu, brak pieców. Zimą ogrzewa je centralny system, w którym ciepła woda krąży dzięki pompom elektrycznym, i wystarczy na kilka dni wyłączyć prąd, by rury popękały, woda zalała mieszkania, potem zamarzła... Brak prądu na Północy

to śmierć. N. proponuje budowę wiatraków. Bo ekologicznie czyste, przyszłościowe i, dalibóg, może dolary by dali. Kto? Bo ja wiem,

Norwegowie, Sołżenicyn, Cerkiew prawosławna? (Nawiasem mówiąc: N. kokietuje monachów ulgami podatkowymi i darmową ziemią, byleby głosowali na niego, ba, zaczął nawet do cerkwi chodzić i przed ikonami czoło rozbija, a na mityngach wykrzykuje o pokucie!) Natomiast B. obiecuje nam małysza... czyli mały reaktor atomowy (...i żadnych ulg dla „czarnych"). Już Lenin kiedyś powiedział, iż komunizm to władza sowietów plus elektryfikacja. Dziś na tejże formule zaczęli tu kapitalizm budować.

Sołowczanom zaś nie do kapitalizmu, bynajmniej. Im by pojeść sytniej, drwa kupić. Oni tęsknią do czasów, kiedy pobory wypłacano bez zwłoki, renty i emerytury przychodziły w określonym terminie, a oszczędności gwarantowały spokojną starość. A dzisiaj? Dzisiaj ani zarobków, ani rent, ani emerytur, a oszczędności (często całego życia!) szlag trafił jeszcze za Gajdara. Dzisiaj rubli brakuje! Ot, co Sołowczan boli. Bez rubli człowiek traci godność. Kiedy na jednym z przedwyborczych spotkań N. obiecał emerytom jednorazowy kredyt w sklepie (w wysokości stu tysięcy rubli, czyli około dwudziestu dolarów) na wszystkie produkty spożywcze, z wyjątkiem alkoholu, staruchy rejwach podniosły, a baba Wala wrzasnęła, że to ją poniża, choć nie pije. W sali było zimno, para z ust buchała, naród siedział w walonkach i przytupywał. Rozejrzałem się. Wokoło starzy, zużyci ludzie. Bezbronni, bezsilni. Całe życie byli zdani na władzę, która za nich myślała, dawała robotę i jeść. A teraz? Byle dożyć do śmierci. N. marzy o wiatrakach, a ludzie o płocie na cmentarzu, bo krowy na mogiłach się pasą. On snuje plany nowego szpitala, a oni płaczą, że lekarstw brakuje. On mówi o powiększeniu lotniska, a babki proszą o zreperowanie połaskałki (drewnianej budki na Świętym Jeziorze, w której miejscowe

kobiety zimą płuczą pranie), bo w starej deski przegniły i duje...
Inne zebrania wyglądały podobnie.
Natomiast w klubie, gdzie urządzono „okrągły stół" dla wszystkich kandydatów naraz, naród się nie patyczkował. Wszystko, o czym dotąd szeptano po kątach, teraz

wychlusnęło, jak pomyje z okna. Jakim prawem Lew R. łączy pracę w administracji z prywatnym biznesem? Kto dał Lubie G. prywatyzować municypalny hotel i bloki żelbetonowe z niedokończonej oczyszczalni ścieków? Dlaczego N. kupił sobie dom w Orle z funduszu dla weteranów, mając na Sołowkach mieszkanie i domek na teścia? Gdzie się podziały miliardowe dotacje? I tak dalej, i tak dalej... Pretendenci odgryzali się. Najlepiej wypadł B., bo najmniej mówił. On też wygrał wybory.
Wybory przeszły bez ekscesów. Osiemdziesiąt procent głosowało. Pierwszy raz nie było ani bufetu, ani muzyki w lokalu wyborczym. Wyniki ogłoszono nazajutrz rano. I tak mamy nowego gławę, i nową Dumę. Radcy, hm... babka handlująca wódką po nocach, alkasz „na torpedzie", mużyk, który nie wie, co to konstytucja... Za to sami swoi, sołowieccy. Co dalej?
— Pożyjemy, zobaczymy — jak mawiają Rosjanie.

5
Wigilia

Za oknem gwiazdy trzeszczą, w domu zapach świerczyny, maku i miodu. Na stole opłatek z Polski, barszcz z uszkami, kutia, miast karpia po żydowsku — ucha z nalima. Gęsty, pachnący bulion z zielonego miętusa, wyciągniętego wczoraj spod lodu na Grzmiącym.

Wyjechaliśmy burym świtem na saniach za traktorem. Smirnyj, Maksi i ja. Nad Wyspami wisiała brudna, jakby tłustym snem przepocona, pierzyna chmur. Śnieg prószył bezgłośnie. Jeziora spały w osędziałym pejzażu. Na szóstej wiorście mużyków wzięliśmy, na nalima się wybrali, ale po drodze wypili i kiedy w Isakowie z sań powypadali, to od razu zasnęli, na śniegu... Do Grzmiącego podjechać nie sposób, więc ostatnią wiorstę przez las brnęliśmy, na szerokich myśliwskich nartach, w strugach potu, w śniegu kopnym i sypkim, jakby szuflą niebiańską nawalonym bez umiaru, a ze świerków spadały białe czapy, wprost

za kołnierz, i po ciele spływały strumykami chłodnymi, wężykami i ciurkiem. Maksimka od razu z przodu przepadł, Smirnyj odstawał z tyłu, zatem sam się grzebałem, w niemocie lasu i wilgoci białej. Szło mozolnie, jak czasami bywa nad pustą kartką papieru: ta sama biel, niemota i zakopanie. Wtem las się otworzył na oścież, na jezioro, gdzie wyspy niby klomby w zimowym parku drzemały, w dole mała sylwetka Maksimki, głęboki ślad, miejscami ciemne plamy, to woda podeszła przez lód. Po chwili Smirnyj dosapał i zaczęliśmy rybałkę. Najpierw wyrżnęliśmy Jordan", czyli spory przerębel, by sieci przezeń można było wyciągać. Smirnyj borował dziury w lodzie, ja łomem je łączyłem, a Maksi sznurki wiązał. Krę przydusiliśmy, łopatą i łomem, aż pod lód weszła i się skryła. Zatem oczyściliśmy Jordan" z resztek śryży i przystąpiliśmy do taskania siatek, postawionych trzy dni wcześniej. Snuły się, jak włosy, z ciemnej otchłani przerębla, ze srebrzystymi spinkami sielawek. Ryby wyjmowaliśmy delikatnie, aby ciał w okach sieci nie podrzeć, na lodzie drgały jeszcze chwilę, aż je mroźne powietrze usypiało na zawsze.

Czasami miętus się trafiał, ciemnozielony, śliski i tłusty. Tak przebraliśmy dwa tuziny siatek, z pięciu Jordanów", i dziesięć nowych postawiliśmy. Stawianie sieci pod lodem wymaga nie lada doświadczenia i przypomina nieco szycie szydłem. Najpierw borujesz łunku (otwór w lodzie), dalej drugą, w odstępie metra. W pierwszą wkładasz sznurek z ciężarkiem, a w drugą długi, fikuśnie zagięty pręt, i póty wiercisz w dziurze, póki nie zaczepi sznurka z pierwszej łunki. Potem przeciągasz sznurek pod lodem, robisz kolejną lunkę i powtarzasz manipulację. Na jedną sieć należy wyborować z pól kopy łunek, w lodzie jak diament twardym. I nie daj Boże trafić na korzeń, bo wtedy trzeba wiercić w bok, siatki przeciągać i... od nowa zaczynać. Wracaliśmy o zmierzchu, spotniali, jak po bannej parni. A śnieg ciągle sypał. Las zasypiał. Po drodze zabieraliśmy rybaków, którzy z mroku wyłazili, niczym duchy monachów lub zeka. Do posiołka przywieźliśmy pełne sanie mużyków. U każdego majdan (duże blaszane pudło na rzemieniach, by na plecach można nosić), wiertło do lodu i leśne narty. Pod

kremlem się rozsypali, w milczeniu. Naród się teraz rybą ratuje od głodu.

6

Stary Wasylicz przyniósł gazetę, w której jasnowidząca starucha spod Archangielska, Wiera Zaszuchina, słynna na całej Północy z wróżb i cudownych wyleczeń, przepowiada Wyspom Sołowieckim zagładę: „Widziałam wybuch na Sołowkach niczym straszne trzęsienie ziemi, i morskie dno się zapadło, i morze Wyspy zatopiło, i wielki wał wody na Archangielsk powalił, i runął na miasto, i ofiar było bez liku, i płacz bez końca". Na pytanie dziennikarza, czy można uniknąć katastrofy,

Zaszuchina odpowiada tak: „Bezprawie i nikczemność dzisiaj panują, bo ludzie o Bogu zapomnieli. A kto i wspomina, to na pokaz, bo teraz taka moda. Należy naszą wiarę w Zbawiciela mierzyć dobrymi uczynkami, by Pan nasz nie tylko w cerkwi, ale i w sercu u każdego zamieszkał. Nie zapominajcie o Panu, bo wszystko jest w Jego mocy". Gazeta z przepowiednią dotarła na Wyspy i wiele zamętu narobiła. Babki o niczym innym nie gadają, ktoś już nawet datę kataklizmu podszepnął i powiadają, że w 1999 roku morze nas pochłonie...

XI

Po pierwsze kocham wrzos, I morze po horyzont — het. I jeszcze lubię wierzyć Temu kto umrze — wnet.

Antonina Mielnik

1

Życie się kończy, jak w pięknym wierszu Julki: tam liście na starość wariują, bo nadchodzi zima, a z nią pierwszy bal — bal ostatniej nadziei — i dlatego się spieszą, zrywają i krążą, nie wiedząc, że ich barwne szaty to... śmiertelny całun.

2

19 stycznia

Mielnica w Archangielsku wyskoczyła przez okno, z piątego piętra. Przy upadku jej głowa rozpękła. Dubrawa potem opowiadał, że pod koniec była smutna, często mówiła o Wyspach i miewała puste, nieobecne oczy. W ów feralny dzień jak zwykle po kolacji poszedł do siebie, by jeszcze popracować, a ona została w kuchni pozmywać naczynia. Raptem w mieszkaniu zapachniało świeżym powietrzem. Tknięty złym przeczuciem wybiegł z gabinetu. Okno w kuchni było otwarte na oścież, wiatr targał

firanką, a na dole, pod domem, na białym śniegu czerniał nieforemny kształt...

niby lalka z pakułów. Na stole zostawiła wiersz-kołysankę. O tym, że wzleci nad Wyspami, swoją jedyną ziemią, której nie zdąży dotknąć rękami, bo wiatr z Północy ją podchwyci, rozmiecie: u morza posieje, na wydmach zapomni, w lesie roztrwoni, po drodze zgubi, a resztę biczom w posiołku rozda, na wypominki. I nie minie dni czterdzieści, a niebo, które w oczach zastygło, znów będzie czyste...

3

Cztery dni później ciało Mielnicy przyleciało na Sołowki, samolotem. Najpierw chcieli wieźć ją do kostnicy, ale potem zapadła decyzja, by zwłoki w Petersburskim Hotelu wystawić — w siedzibie muzeum. Kolektyw muzealny wziął pogrzeb na siebie, wszak kiedyś tam pracowała. Rozdzielono role: kto potrawy na stypę, kto dyżury przy ciele, kto wykopie grób. Trumnę ustawili w palarni, dokąd na papierosa wychodzą — w starym zapachu taniego tytoniu — na dwóch długich stołach z kancelarii. Z boku krzesła, po cztery w rzędzie, z opuszczanymi siedzeniami, zgoła jak w kinie. Szepty w półmroku, szelesty i szlochy. Trumna otwarta: głowa obwiązana bandażem, wgniecione czoło, twarz odęta, obca. Usiadłem śród bab na czarno. Szepty ścichły. Pełgają świece, film wyświetlają, pod przymkniętymi powiekami. Pierwszy dzień na Sołowkach. Początek października. Przyjechałem wprost z Abchazji, z wojny. Błota żółto się żarzyły, osina już pokraśniała, a morze było zielonkawe, jak butelkowe szkło. W powietrzu pachniało świeżo solonymi śledziami i zbutwiałą morską trawą. Posiołek jakby wyludniony, tylko psy

się szwendały i kozy. W hotelu pusto. Dziewczę z recepcji ze zdziwienia wyjść nie mogło, że korespondent, i do tego cudzoziemski.
— Po co przyjechali? — spytało. — Ach, zwiedzać? Niech do redakcji zajrzą, do „Sołowieckiego wiestnika". Tam główny redaktor siedzi, zacna kobieta, ona wszystko pokaże, opowie.
I rzeczywiście. To była Tonia...

Trzeszczą schody w korytarzu, nowe babki przyszły, pijanice. Gapią się chciwie, moszczą się długo, na ziąb pomstują. (W muzeum ogrzewanie wyłączyli za długi). Siedzimy zakutani, w szubach, w walonkach. Staruchy powoli milkną, zapadają w siebie, czasem któraś chlipnie, jak przez sen...
...wyłaniała się stopniowo z redakcyjnego kantorka: najpierw wielka — jak młyn (stąd Mielnica) — bryła ciała i twarz zdumionej dziewczynki, potem dobre oczy za grubymi szkłami i leciutka woń alkoholu, wreszcie ciepłe ręce i nieśmiały uśmiech. Właśnie numer złamała i do lasu się wybiera, więc jeśli chcę, to możemy pójść razem — po drodze porozmawiamy. Wyszliśmy z posiołka. Popołudnie, babie lato, porudziałe brzozy. Rozgrzany piach, rozgrzany mech. Gadamy leniwie, ni to, ni sio. O wszystkim i o niczym zarazem. Tak do cmentarza przegadaliśmy. Tam, za bramką, z samego kraju, leży Julka. Poetka i przyjaciółka Toni. Powiesiła się w lesie, zostawiając tomik wierszy, czworo dzieci i męża, też poetę. Miała dwadzieścia pięć lat. Duże zdjęcie na żelaznym krzyżu, a na zdjęciu duże oczy, czarne.
— Czy zastanawiałeś się, kiedykolwiek, gdzie ciebie położą i zakopią? Nieco dalej — chaszcze i grób nieznanego zeka. To był Toni pomysł:

kopczyk z kamieni, usypany rękami dzieci i wnuków ofiar SŁON-a. W kamieniach bowiem, jak w słowach, żyją nasi przodkowie, ich duchy. Już Saamowie to wiedzieli... Kluczymy między grobami, liście szeleszczą, słońce się sączy, tu krzyż prawosławny, tam gwiazda czerwona, a na każdej mogile stakańczyk. Można przyjść, przysiąść, wypić...
W korytarzu znowu szum się zrobił. Babule hurmą wychodzą. Zamarzły. Któraś klnie dosadnie i naczalstwo, i świat cały. Reszta pokasłuje, do wtóru. Przyszedł Pietia-posłusznik, na rauszu. Będzie psalmy czytał. (Mnisi odmówili, bo samobójczyni). Zaczął cicho, mormorando, w głębi siebie, potem głośniej, monotonnie, w takt się kiwa. Grążę się w kożuch. Świece drżą. Psalm bieży, niczym droga, brzegiem morza: Czełowiek, jako trawa dnije jego, jako cwiet siel'nyj, tako ocwietiot...

...doszliśmy do Cypla Labiryntów. Przysiadamy na kamieniach, palimy.
— Jeśli chcesz stąd wyjechać, nie zaglądaj w labirynty Saamów, bo przepadniesz. Jak ja...
Morze pluszcze, mewy krzyczą. Idziemy dalej. Po stwardniałym piachu, grzęznąc w zwałach glonów. Anfelcja, fokus, laminaria. Ni stąd, ni zowąd zaczęła opowiadać o sobie, bezładnie. Pradziadek był Polakiem (bodaj Przegodzki) zesłanym na Ural, ojciec — alkaszem i bardem. Uwielbiała go. Matki nienawidziła — od dziecka — i marzyła, że jej piśkę nożyczkami wytnie. Papa rzadko przychodził do domu, zwykle po pijaku. Zdejmowała mu buty, pomagała się rozebrać, wysłuchiwała bełkotliwych wierszy, opowieści zawikłanych jak życie, fabuł nie z tej ziemi. Potem mać odebrała sobie życie, papa przepadł. Dalej ciotki, internat, szkoła, chłopiec. Pierwsza wódka, pierwsze wiersze. Odnalazła ojca, dogorywał w

R. Zapijaczony, zrozpaczony, tak umarł... zamilkła. Brzeg wił się, w zatokach błądził, jak jej historia. Z mirażu Zajęcze wyjrzały, znienacka. Słońce łamało tam światło, raniło wzrok. Po chwili podjęła opowiadanie, przeskakując parę wątków. Na Sołowki przyjechała dwadzieścia lat temu. Z mężem i Aloszką. Saszka, jej młodszy, tutaj się urodził. Od razu poczuła, od pierwszego wejrzenia, że to ziemia dla niej. Że tu zostanie. Mąż nie wytrzymał, zabrał starszego i wyjechał. Potem parę razy wracał, wreszcie rozwód, przestał pisać. Na początku było ciężko, samej, zwłaszcza zimą: ciągle ciemno, ciągle tęskno. Niskie niebo przygniatało, wiatry duszę wywiewały. W końcu przywykła, zaczęła pić. Pracowała w muzeum, zajmowała się SŁON-em. Wtedy to nie było dobrze widziane, moda na łagry jeszcze się nie zaczęła. Ale wystawę zrobili, pierwszą w Sowieckim Sojuzie, i mapę zon dla „Memoriału", i film z Gołdowską, Włast sołowieckaja (czytała w nim, zza kadru, listy zeka, które znalazła na Siekirnej Górze, między cegłami). Latem oprowadzała wycieczki, zimą pisała wiersze. A Saszka rósł, rok za rokiem mijał, jak mężczyźni w łóżku: to wyrazisty, to nijaki. Wreszcie pojęła, że muzeum nie dla niej, tam pamięć balsamują i z turystów chcą żyć. Zaczęła robić „Sołowieckij wiestnik", czasy temu

sprzyjały. Niebożenko dał pieniądze, ktoś po błatu druk załatwił i poszło, jak za SŁON-a; Sołowki znów miały swoją gazetę. Gazetę, dzięki której i tamto ożyło, i dzisiejsze zaistniało: wiersze zeka i Julki na wspólnej szpalcie, reportaże ze SŁON-a i szkice z posiołka, sylwetki umarłych obok żywych. Pracowała jak w transie. I piła coraz więcej, bo bez wódy nie wytrzymasz tu długo — koszmary zadławią. Tutaj ściany płaczą, grzyby

rosną na trupach, a landszaft do życia nie przystaje, jak dekoracje z innej sztuki. Latem jeszcze pół biedy, bo turyści, goście, gwar. Ale zimą, kiedy Sołowczanie sam na sam zostają z tym wszystkim, zimą tu z uma się schodzi. A jednocześnie zima na Sołowkach jest porą osobliwą, dla wybranych: zimą możesz tu spotkać samego siebie na zaśnieżonym pustkowiu.

— Przyjedź, Mar, zimą na Wyspy...

Pietia utknął w pół psalmu, zasnął... Raptem zrobiło się tak cicho, że słychać, jak lód potrzaskuje w morzu, jak skrzypią kry. Już wpół do drugiej. Za oknem pełnia, świat, niczym lukrem oblany, to połyskuje, to cieniami się wyciąga. Gdzieś czytałem, że Samojedy nazywają styczniowe noce „białymi", bo księżyc wisi wtedy nisko, jak lampion, a śnieg i lód rozpraszają srebrną poświatę...

— ...w zimie można tu zobaczyć podszewkę świata. Paweł Florenski pisał, że rzeczywistość na Północy jest cieńsza niż gdzie indziej, jak sweter wytarty na łokciach, i prześwieca przez nią tamten świat. Wystarczy zorza polarna, aby poczuć kosmos na karku, i cisza „białej" nocy, by usłyszeć...

— nie dokończyła, jakby się zlękła, że za dużo powie.

Wracaliśmy do posiołka wąską mierzeją, oddzielającą Kwaśną Zatokę od morza. Słońce siadało za Psią Łudą, oblewając brzegi purpurowym światłem. Mchy na wydmach wyglądały jak bordowy plusz. Chrzęścił piach, Tonia mówiła dalej. Parę razy próbowała stąd uciec, raz nawet na Kołymę ją zaniosło. Ale wracała, bez Sołowek żyć już nie mogła. Sama nie wie, kiedy poczuła, że Wyspy i ona to jedno, że ich ziemia to jej skóra (pod którą zaryto trupy), a ich dzieje to jej życie. Tutaj każdą ścieżkę własnym wierszem przeszła, z kamieniami bywa za pan brat. Ot, choćby

ten...

odeszła parę kroków i z niewielkiej abrazyjnej niszy pod wodą, po omacku, wyciągnęła kamień z granatami: duży, szary otoczak z granitu, jakby inkrustowany kroplami krwi. Sama go tam schowała. Był rzeczywiście piękny. I tajemniczy, niczym na poły zatarty tekst...
Obudził mnie zapach pierogów z kapustą i czyjeś głosy. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, gdzie jestem. Skąd te głosy, skąd pierogi? Gdzie się kamień podział, gdzie Tonia? Ktoś chrapie obok? To Pietia. A Tonia... nie żyje! W muzealnej kancelarii nakrywają stoły do stypy. Kobiety znoszą jadło. Już siódma, pora kopać grób.

4

Ledwie dniało, gdyśmy dobrnęli, w śniegu po pas, błękitnawym. Niebo bladło od wschodu, zza lasu wypełzały kłaczkowate obłoki, podświetlone na różowo. Na cmentarzu było jeszcze ciemno, miejscami tylko, w górnych gałęziach, szadź pobłyskiwała. Trzymał tęgi mróz. Nieopodal bramy rozpaliliśmy ognisko — parę suchych polan, trochę benzyny i sypnęło skrami. Zatem szyło, po stakanie, pod słoninę, aby robota poszła. Lodowata ciecz, gęsta jak oliwa, spłynęła białym światłem, rozjarzyła w środku, wyostrzyła wzrok. Słonina była twarda i słona. Świat stał się wyraźniejszy, ludzie — bliżsi. Misza, Żenia, Morozów, Motyl...
...wszystkich ich poznałem dzięki Mielnicy. Tamtego dnia, wieczorem, po powrocie z przechadzki nad morzem, zaprosiła nas do siebie, na urodziny. Skończyła czterdzieści pięć lat. Żyła brudno i niedbale, w dwóch pokojach z kuchnią, na Zaoziernej. Za stołem zobaczyłem jej przyjaciół: drzeworytnika Galinskiego, buddystę, z którym sypiała w owym czasie,

Wasię, męża Julki, poetę i barda, fotografa Miszę Werwalda, Estońca z Gór Sajańskich, żurnalistę Dej sana, niedoszłego monacha, schizofreniczną Ninę poetessę, filozofa deliryka Siergieja Morozowa, głuchego Kritskiego, historyka i komunistę, sąsiada Jurę rybaka, buchaltera pedzia Diczkowa, Żeńkę kowala z wilczą paszczą, woryszkę Saszę, Lochę od wodorostów, bomża

Motyla i bicza Rudego, dziwkę Inkę z syfilisem, kulawą Katię i jeszcze parę twarzy niezapomnianych, jak... wtedy, po kilku głębszych, miałem wrażenie, że... z Boscha lub z Memlinga. Niby Sąd jakiś, może Ostateczny, lub czyjeś Piekło. Nad ranem, kiedy świt się wsączył do kuchni i dobył z mroku brud i zapuszczenie — rybie głowy, kiepy w cieście, resztki gości — nie mogłem pojąć, w czym rzecz? O czym rozmawiają? Z bełkotu i pochlipywań łowiłem oddzielne słowa, coś o jabłkach, że tam rosną, w sadach. Czyżby nostalgia? Ależ tak, oni tęsknili za średnią strefą, za klimatem umiarkowanym... Potem, dzięki Toni, poznałem ich historie, sploty losów — różne wątki jednej i tej samej opowieści; resztę — rysy twarzy, szczegóły bytu — mogłem sam dopisać, zamieszkując między nimi. Dziś niewielu zostało spośród gości tamtego wieczoru, ktoś umarł własną śmiercią, komuś trefne szyło pomogło lub bliźni. Jurkę wypchnęli z łódki po pijaku, Rudemu serce odmówiło pracy, Saszka się powiesił, Katiuszę zarżnęli, a Lochę w zonie wykończyli, suki. I oto, na koniec, sama Tonia wypadła z sołowieckiej fabuły, jak z okna... Misza chciał kopać na nowym cmentarzu, gdzie dużo miejsca i droga wydeptana. Motyl się uparł, by koło płotu, toż samobójczynię grzebiemy. Ja napomknąłem, że obok Julki jest trochę luzu, w sam raz na jedno ciało,

i plot blisko, i morze obok. Stanęło na moim. Odgarnęliśmy śnieg i rzuciliśmy tlejące głownie na zamarzniętą ziemię, łudząc się, że sama odtaje. Gdzie tam... przyszło łomami rozbijać. Pół metra zlodowaciałej skorupy, jak żelazobeton. Tłukliśmy na zmianę, do czarnych iskier przed oczami, do omdlenia dłoni. Julka popatrywała ironicznie ze zdjęcia na krzyżu. Tymczasem słońce wzeszło, złotym snopem w mlecznej mgle niczym reflektor przeciwlotniczy: pionowy słup światła. Tylko w zimie można to zobaczyć. Łomy dzwonią, odskakują od zmarzliny, z ludzi para bucha. Wreszcie piach, teraz powinno pójść łatwiej, pora na skręta. Znowu szyło, znów słonina z Gór Sajańskich (mama Miszy przysłała). Trzasnął ogień, Żeńka szczap podrzucił. Żenia, Misza, Motyl, Morozów...
...Mielnica mawiała, że Sołowki to swałka ludiej — ludzki śmietnik. Jak kiedyś lodowiec naniósł tu kamieni,

tak dziś życie tu osadza wszelki chłam człowieczy: marzycieli i duraków, poetów, autsajderów i nieudaczników, wykolejeńców, mistyków, darmozjadów i zbiegów. Życie nimi rzucało, poniewierało i znosiło ich, coraz dalej i dalej od głównego nurtu, którym reszta popłynęła, aż się ocknęli... tu, na tych kamieniach, wystających z Morza Białego. I ze zdumieniem spostrzegli, że dalej się podziać nie ma gdzie, że się znaleźli na skraju. Jedni zaczynali się bać, inni tęgo pić, a niektórzy z uma się po cichu osuwali. Mielnica współczuła wszystkim (może właściwiej by było: współczuła z każdym?) tak dogłębnie, aż zanikała granica między cudzym bólem i własnym. Utożsamiała się z bohaterami swoich opowieści. Tak, tak, opowieści, Tonia bowiem opowiadała o ludziach Sołowek i prozą, i wierszem. I nie zauważyła przy tym, iż własne życie zamieniła w powieść,

w powieść, której fabuła wymknęła się jej spod pióra. Z chwilą kiedy zamieszkałem na wyspach, miałem okazję oglądać dalszy ciąg Toninej historii, rozpoczętej wtedy, pierwszego dnia, nad morzem. Nieraz przychodziła do nas, czując bratnią duszę, jak sama mówiła, to z butelką, to już pod datą, i płakała, snuła wątki, czasem, też bywało, wyła. Albo nowy mużyk i perypetie miłosne, burdy i podbite oczy, albo wyrzuty sumienia, że synów zagubiła, bo Losza dawno przepadł bez wieści, poszukiwany przez mętów, a młodszego, Saszę, posadzili w zonie dla małolatów, jak wora. Z gazetą też kłopoty, szmalu nie dają, gady. Coraz bardziej opuchnięta, opuszczona, wulgarna. Ludzi zaczęła unikać, a zwłaszcza tych porządnych, rzekomo, być może ze wstydu, a może z białej paranoi. Wolała bomżów, degeneratów, alkaszy. Latem zbiegała na tonie rybackie, by z biczami się puszczać i szyło głuszyć, zimą żyła gdzie bądź, to u Inki, to u Kati w „Szanghaju", i wiersze wycharkiwała z siebie, jak żółć...

Moja kolej. Dół coraz głębszy, w piachu szybciej poszło. Kopiemy w pojedynkę, na zmianę, by łopatami się nie trącać. W mogile ciasno, lodowato. Od piachu ciągnie. Im głębiej, tym większe odosobnienie. Głosy z góry ledwie dochodzą, przytłumione. A tutaj cisza, tylko piach chrzęści i czasem łopata zgrzytnie o kamień. Piach... nie

pachnie. (Skąd ta refleksja?) Brudnożółty, przemarznięty, słojami odpada od ścian mogiły przy wyrównywaniu. Ciekawe, czy latem ciepło tutaj dojdzie i rozłoży trupa Toni, czy też będzie tu leżała, jak w chłodni, w zlodowaciałym piachu do końca świata? Nieswojo tu. Mimo woli przychodzi myśl o sobie, o własnym ciele. Wielokrotnie uczestniczyłem w

pogrzebach, ale zawsze stałem tam, nad grobem, wśród żywych. Z dołu rzecz wygląda inaczej: skrawek błękitu w koronach drzew, szadź na gałązkach i czasem twarz się nachyli — to Motyla, to Miszy, to Morozowa, to Żeni...

...bohaterowie wierszy Mielnicy i kawałki jej życia. Bo Toniucha, ruska baba, hojna była. Rozszczepiała w swoim ciele ich bóle, własnym strachem mierzyła ich lęki, piła z nimi, spała z nimi i tylko pisząc o nich, oddzielała się czasem, na chwilę. Doszło do tego, że myła zwłoki, by zajrzeć w cudzą śmierć. Pamiętam ostatni raz, bodaj babkę Galę umyły, przyszła rano, już podcięta, z flaszką. Była poruszona, łykała słowa, coś o gutaperce mamrotała, rozlewając wódę. Potem śpiewała o „czarnym kruku", rycząc. Aż smarki z niej pociekły i łzy. A już w drzwiach, jakby nieco oprzytomniawszy, powiedziała, że każdy winien umyć choćby jednego trupa, żeby życie poczuć, do końca... Więcej jej nie widziałem wśród żywych, bo wkrótce uciekła z Sołowek, żeby wrócić tu, jak się okazało, w trumnie.

Koniec roboty. Jeszcze tylko gałązki jedliny na dno i dwie deski w poprzek — tak łatwiej sznury spod trumny wyciągać. I jeszcze po stakanie, na odchodne. Zbieramy łomy, łopaty. Zasypujemy ogień. Na okolicznych drzewach wrony się zbierają. Drogą już kondukt w śniegu brnie — mrowie narodu. Lubili Toniuchę. Dalej będzie sporo mów, sporo płaczu i ogonek do grobu, bo każdy garść piachu chciałby rzucić. Potem zakopią, uklepią, wieńcami obłożą. Babki rozsypią okruchy chleba. Rozejdą się.

Pusto. Tylko wrony wydziobują chleb.

Stypa w muzeum. Stoły zastawiono na sto osób, ale przyszło więcej... krzeseł szukają, zamieszanie, ścisk. Żałobnicy stłoczeni, łokciom ciasno. Przed każdym talerzyk, w nim kutia z ryżu z rodzynkami, blin. Taki zwyczaj. Dalej półmiski z dymiącą kartoszką, solone śledzie, kopy winegretu, dorsz faszerowany, smażone okonie, ucha z nalima, kotlety rybne, pierogi z twarogiem, pierogi z kapustą, kapusta kiszona, pasztety. I wódka, rzecz jasna, biała. I pomruk zadowolenia wśród alkaszy: można darmo wypić. Rozglądam się. Muzealnicy siedzą razem, bliżej dyrektora, w środku Dubrawa, ostatni mąż Mielnicy, po bokach byli kochankowie i znajomi, bohema Sołowek, dalej babki, sąsiedzi i mużyki z toni, rybacy, dobywacze trawy i miejscowe tałatajstwo, czyli bicze, bomże i bliad' wszelaka.

Rozlano wódkę i rumor się zrobił. Wszyscy wstali. Dyrektor Martynow odczekał chwilę, aż ścichło, i zabrał głos. Mówił długo, z emfazą, jakby się słowami delektował: o zasługach nieboszczki, o wystawie SŁON-a, o rozjaśnianiu białych plam w historii, o spłaconym długu, o naszej wdzięczności...

...o naszej wdzięczności, ależ tak, wszak dzięki Mielnicy tu jestem. To wtedy, na tym pierwszym spacerze, przyszła mi do głowy myśl, znienacka: a dlaczegóż by tu nie zamieszkać? Choćby na parę lat, by zimę na Północy zobaczyć, zorzę polarną i siebie samego tutaj spotkać. Gdzież tylko nie mieszkałem: i w Europie Środkowej, i w Ameryce Północnej, i w Złotych Górach koło Kłodzka, i na Piątej Ulicy w Nowym Jorku, i w Stoczni Gdańskiej w czasie strajku sierpniowego, i pod berlińską ścianą w trakcie jej burzenia, i w moskiewskim Białym Domu w dni puczu, i na pustej plaży w Suchumi podczas wojny Abchazów z Gruzinami. W tym zgiełku

wydarzeń, ciągle wśród ludzi, trudno się było skupić (zebrać w punkt), a tu nawet przyroda, dzięki ascezie form i barw, sprzyja odosobnieniu i koncentracji. Tam szum mass mediów, łoskot, brzęk szkła i tromtadracja, tu las, milczenie kamieni i pusty widnokrąg. Zatrzymać się, choćby na chwilę — dlaczegóż by nie? I Tonia nam pomogła,

znalazła mieszkanie w biostancji, zadzwoniła do Moskwy, przywitała na lotnisku, kiedy w grudniu wróciliśmy na Sołowki, wyszukała drwa na opał... nareszcie Martynow skończył. Wypili. Usiedli. Zakąszają. Gwarno się uczyniło, alkohol zrobił swoje. Oczy zaszły wilgocią, twarze odtajały, ożyły. Jadło zajęło wszystkich, bez wyjątku. Ręce sięgają, żuchwy pracują, półmiski krążą. I nic dziwnego, wszak większość Sołowczan na co dzień nie dojada. Zwłaszcza bomże. Nowa kolejka. Swieta z Lubą rozlały wódkę w stopki. Werwald widelcem dzwoni i sto stopek za Tonię się podnosi. Misza człek mowny, stopki w powietrzu zamarły. Rzecz poszła o zasługach nieboszczki dla miejscowej gazety. że była żurnalistą wielkiej klasy i sama jedna całą gazetę robiła, od artykułów wstępnych do łamania numeru, i że czytali jej „Wiestnik" wszędzie, jak Rosja długa i szeroka, od Czukotki do Kurskiej Kosy, a także za granicą, i w Europie, i w Stanach, ba, nawet w Australii, i że była też poetką, nie byle jaką, i pisała życie wierszem, a wiersz — życiem...
...tak, tak, pamiętam nasze spory bez końca o pisaniu i życiu, i jak się ma jedno do drugiego. O tym, co można, a czego nie wypada mówić o ludziach, o których się pisze. O prawie do fabulacji rzeczywistości i o pretensjach bohaterów próz dokumentalnych, i o prozie Szałamowa, przeżytej jak dokument, i o poezji Rubcowa, ubitego w noc

krieszczenskuju (19 stycznia) przez heroinę swoich wierszy, kobietę, która miała zostać jego żoną. Podczas jednej z takich rozmów, jednej z ostatnich, Tonia podarowała mi swój ulubiony Północny dziennik Kazakowa z własnym epitafium, nagryzmolonym na okładce, niczym motto... i Werwald zakończył życzeniem, oby ziemia dla Toni puchem była. Stopki wychylono.
I tak dalej. Kolejki stopek, kolejne mowy, coraz bełkotliwsze. O dobroci Toni, o tym, że zawsze pomagała rublem, że przygarniała, płakała razem, hołubiła. Nataszy tusz popłynął z powiek. Dubrawa z Dejsanem w objęciach. Motyl Inkę obmacuje. Raptem Żenia podniósł krzyk, że ukradli noże. Burcewa klnie się, że ich nie brała. Bicze, wykorzystując zamieszanie, dopili wódkę z cudzych szklanek. Ktoś

się porzygał w toalecie, ktoś zasnął w zaspie śniegu przy wyjściu i... może Mielnica miała rację, że jestem wśród nich otrieszonnyj (nieobecny, oderwany).
— Ty na nas patrzysz jak na króliki doświadczalne — mawiała czasem, wypiwszy.
XII
Kończę, Wasza Wysokość, na tym, od czego zacząłem: Rosja to wielkie widowisko, na które zawsze będę patrzył z jednakowym zachwytem i grozą.
Joseph de Maistre
1
Dawniej na wzgórzu przy Zaoziernej był cmentarz klasztorny i stała cerkiew Później, za czasów SŁON-a, masowo rozstrzeliwali tam zeka i

grzebali ich w zbiorowych mogiłach, wrzucając świeże trupy między stare truchła. W latach trzydziestych cerkiew zburzyli i rozpoczęli budowę łagiernego szpitala. Fundament stanął na kościach. Nieopodal wciąż rozstrzeliwali i grzebali więźniów. Budowę szpitala zakończyli w 1939 roku — kamienny gmach z arkadą i kolumnami, ni to dworek, ni urząd. Potem zeka z Wysp wywieźli, szpital zaś przejęła armia. Najstarsi Sołowczanie wspominają wojskowych z nostalgią: znakomici lekarze, fachowa obsługa, darmowe leki. W 1953 roku, po śmierci Stalina, szpital zmodernizowano, a przy okazji dobyto kupę ludzkich kości. Potem jeszcze nieraz, przy byle wykopkach, ludzkie szczątki wyłaziły na wierzch. Pod koniec lat osiemdziesiątych, w ramach pierestrojki, wojsko opuściło Wyspy. Szpital przejęła administracja. Brakowało lekarzy, gmach wymagał remontu, pieniędzy nie było, wysiadł rentgen, zwolniono laborantkę... Dziś ani dentysty, ani chirurga, ani położnej, ba, nawet siostry z prawdziwego zdarzenia nie uświadczysz. Tylko ordynator się ostał, Lina C. Jedyne, co potrafi, to mużyka z zapoja wyciągnąć i do kroplówki podłączyć. Budynek się sypie,

ściany gniją, rury ciekną, a na pryczach dogorywają sołowieckie staruchy, którymi w domu nie ma się kto zająć. Za to jest światło i ciepło, choć szpital tonie w długach, lecz prądu wyłączyć nie można, bo przecież staruchy zamarzną. (Innych dłużników już dawno odcięli — i muzeum, i dom kultury, i straż pożarną, i nawet administrację). W tej sytuacji gława wydał dekret o przeniesieniu siedziby administracji do szpitala. Czynownicy zajęli cały parter: dział socjalny urzęduje w gabinecie stomatologicznym, księgowość w izbie przyjęć, sekretariat w porodówce,

a sam gława zasiadł w rentgenie. Miejscowe staruchy, jak dawniej, umierają na piętrze, a czynownicy się przy nich grzeją...

2

21 marca

„Dobro pożałowat' w sołowieckij łagier' gołodnogo reżima!" — wypisano krzywo na dykcie, z którą Sołowczanie przywitali wicegubernatora ze świtą. U wrót aeroportu, od samego ranka, w rozmiękłym śniegu po kolana, na delegatów z Archangielska wyczekiwali robociarze z przedsiębiorstwa usług komunalnych. Czekali na pieniądze, których od pozaprzeszłej zimy nie widzieli. Skostniali z zimna, bo „nawet krew przestała grzać", i gotowi lec na pas startowy, byle nie wypuścić delegacji z Sołowek, jeśli się okaże, że przyleciała bez pieniędzy.

— Niech tu z nami posiedzą — judzi Pinagorski, podbechtując mużyków — choćby miesiąc, bez chleba...

Ledwie samolot tknął ziemi, wybiegli na płytę lotniska, nie zważając na krzyki naczelnika aeroportu, że nie wolno. Lecz dalej odwagi zabrakło! Jak wryci stanęli i oniemieli na widok czynowników. Niektórzy nawet czapki zdjęli. Delegaci szparkim krokiem przeszli obok, do autobusu.

— A nasze pieniądze? — ryknął Kola Arkatian, sołowiecki Ormianin, wielkie chłopisko o przekrwionych oczach.

— Tylko bez ryków — odwarknął pułkownik MWD, eskortujący delegatów. — Ty kto?

Kola od razu zmiękł i zaczął się jąkać, że trójka głodnych dzieci, że żona brzemienna, że żyją w łagiernym baraku, gdzie dach przegnił i śnieg pada do pustych garnków...

— Potem wyjaśnimy — przerwał mu pułkownik, widząc, że goście już wsiedli. Bryznęło błoto spod kół, spaliny zaśmierdziały i pojechali do administracji (czyli do szpitala). A naród za nimi, na piechotę.
Pod budynkiem administracji (szpitala) tumult, mat i błoto. Dym białomorów wyjada oczy. Sasza Pinagorski znów nerwy ludziom strzępi, że żadnych pieniędzy nie będzie, że goście nabiją kiszkę u Ananczenki (byłego funkcjonariusza KGB, właściciela hotelu w starym więzieniu SŁON-a) i odjadą bez słowa, a nasz brat z ręką w g... zostanie.
— Ech, żeby choć trochę dali — Motyl się rozmarzył. — Można by kawał słoniny kupić, flaszkę, i na rybałkę wyskoczyć.
— Prędzej własne uszy zobaczysz niż swoje pieniądze — zgasił go Pinagorski.
— Suki, bliadi... — ktoś zaklął i urwał, bo wyszedł umyślny i zaprosił wszystkich do środka. Naród runął do sali posiedzeń administracji (to jest operacyjnej), zasiadł i zamarł w oczekiwaniu. Powietrze zgęstniało. Wicegubernator zaczął sucho, jakby groch łuszczył. Że pieniędzy nie ma i nie będzie, dopóki sami ich nie zarobimy. Że teraz reformy, rynek i z nikim się cackać nie należy. Ot, w elektrowni, dla przykładu, pracuje trzydziestu dwóch ludzi, a starczyłoby czterech. Utrzymanie łóżka w naszym szpitalu kosztuje sto dwadzieścia milionów rocznie, a w Miezeni zaledwie trzydzieści. Ponad osiemdziesiąt procent Sołowczan korzysta z różnych ulg płatniczych za usługi komunalne, nic więc dziwnego, że siedzimy głodni. Dalej poszło o reformie komunalnej, o której głośno teraz w całej Rosji. Że każdy powinien sam płacić za swoje mieszkanie, w całości, a nie jak obecnie tylko dwadzieścia pięć procent. I że konkurencja musi być w usługach, by byle hydraulik nie darł z ludzi skóry za kawałek

rury... Tu Gaławanicha, nowy naczelnik komunalszczyków, nie wytrzymała i mówi, że to bzdury, bo ludzie już teraz nie uiszczają czynszów, bo jak mogą uiszczać, jeśli zarobków nie dostają. Konkurencja zaś, ha, ha...

toż na Sołowkach brak materiałów nawet dla jednej firmy i zakupić ich nie ma za co, bo ludzie nie płacą, bo i ludziom nie płacą, i tak dalej, i tak dalej... Raptem z sufitu odpadł kawałek tynku, wprost na stół prezydialny. Śmiechu było. Na tym spotkanie przerwano, aby goście się zapoznali, naocznie, jak ludzie żyją na Wyspach. Komunalszczyki zapowiedzieli strajk wodny, czyli wyłączenie wody w posiołku do czasu, aż im wypłaty nie zwrócą. I rzeczywiście, najpierw w kranach zaszumiało i pociekła bura ciecz, barwy brudnej krwi, potem zacharczało, skapnęło trochę rdzy i... koniec.
Zwiedzanie zaczęli od elektrowni, która ledwo dyszy i dwóch miliardów wymaga, na remont. Wszędzie puste beczki, bajora mazutu. Goście buty powalali. Chcieli też zobaczyć oczyszczalnię ścieków, lecz drogę śniegiem zawaliło, a i oglądać nie było co — oczyszczalnię w pół budowy porzucono i rozkradziono. Zatem wodociągi im pokazano, z daleka. Braku filtrów nie zauważyli. Za to cieknące hydranty mocno ich rozeźliły.
— To karygodne marnotrawstwo — rzucił wicegubernator — tyle wody w morze wylewać.
Lecz delegacja nie wie, że jeśli zamknąć krany, to zimą woda zamarznie i rury rozsadzi, latem zaś z rdzą popłynie. Przed obiadem jeszcze do szkoły zdążyli zajrzeć i do stołówki szkolnej, gdzie karmią maluchy raz dziennie i, nierzadko, jest to jedyny posiłek sołowieckich dzieci. Na wzmiankę

o posiłku goście poczuli głód. Zatem zawieziono ich na obiad do Ananczenki: tam kawior był czarny i ucha z łososia,
i pieczone jarząbki z mizerią, i świeże gruszki, i winogrona, i wino, i tort orzechowy z kawą, i likier Amaretto.
Po obiedzie spotkanie z sołowieckimi radcami. Mówiono o samorządzie terytorialnym. Kiedyś na Wyspach był sielsowiet i trzech osób do zarządzania starczało, dziś w administracji dwa tuziny czynowników siedzi i ciągle nowych przybywa. Na Wyspach ani sądu nie ma, ani notariusza, ni urzędu podatkowego. I, co najważniejsze, nie ma też własnego budżetu. A bez swoich pieniędzy samorząd nie ma sensu! Samorząd terytorialny tylko wtedy ma rację bytu, gdy potrafi karmić czynowników, w przeciwnym razie

staje się fikcją, obciążającą budżet federalny. Dziś można powiedzieć: eksperyment z samorządnością w Rosji był przedwczesny. Dopóki ludzie nie nauczą się samodzielnie zarabiać pieniędzy, nie zaś oczekiwać na połuczku (od słowa poluczat': dostawać), dopóty się sami nie mogą rządzić (co obecnie się sprowadza do dzielenia kwot przysyłanych przez państwo).
Spotkanie z radcami przebiegało, o dziwo, spokojnie, może perspektywa rychłej likwidacji samorządu na Sołowkach wpłynęła kojąco na naszych radców. Pinagorski zaś szepnął półgębkiem, że nareszcie będzie miał spokój, bo mu ta Duma krwi napsuła. Wtem ktoś wspomniał, że w klubie lud się zgromadził i czeka na gości, już ponad godzinę. Niestety, autobus nawalił i przyszło iść pieszo, po śniegu i błocie.
W klubie narodu pełno, mimo zimna. Jedni przyszli z ciekawości, drudzy z nudów. Babki, by żale wylać przed władzą, weterani, by się pokazać z

medalami, inteligenci, by błysnąć słowem publicznie, reszta, by popatrzeć, jak w kinie. W sali wystrój niczym z lat sześćdziesiątych: kurtyna, szkarłaty, kurz... Na podium, za stołem — delegacja w komplecie. Zaczął wicegubernator, bez ceregieli, iż najwyższy czas postawić pytanie: cóż to takiego Sołowki? Niektórzy nalegają, aby Wyspy oddać monachom, inni mówią, by park narodowy tu zrobić, a jeszcze inni, że biznes turystyczny rozwiązałby wszystkie problemy. Jednocześnie nikt nie pracuje i każdy na zapłatę czeka. Drogi w śniegu, błoto i brud wokoło, ciepło z nieszczelnych rur bucha w powietrze, zamiast ogrzewać domy, tony wody uchodzą w morze, kanalizacja cieknie, śmietniki cuchną, przepełnione, a robotników komunalnych na Sołowkach... siedemdziesięciu trzech! I wszyscy się skarżą, że im nie płacą, ale za co im płacić, jeśli nic nie robią? Tak dłużej być nie może, trzeba przerwać to błędne koło! Zatem on, wicegubernator, uważa, reasumując swój krótki pobyt na Wyspach, że należy: po pierwsze, zlikwidować samorząd terytorialny, po drugie, wywieźć stąd ludzi, zwłaszcza niepotrzebnych, bo utrzymanie ich na Sołowkach jest trzy razy droższe niż na stałym lądzie, i, po trzecie, pozostałym dać pozwolenie na odstrzał przelotnych ptaków, reniferów na Anzerze i na

wyrąb lasu na opał, ochrona przyrody bowiem nie ma sensu tam, gdzie ludzie z głodu umierają. Tutaj wicegubernator zamilkł, dając czas, by rzeczone dotarło do narodu. Oj, naród się wzburzył... Babka Zina zaczęła krzyczeć, że żyje tu od trzydziestego siódmego, tu i męża pochowała, i sama chce być pogrzebana, i nikt jej z Wysp żywcem nie wywiezie! Kożewin wypalił, iż dobrowolnie wyjadą jeno tacy, co i na lądzie dadzą sobie radę, a bomże i pijaki zostaną, bo komu oni tam potrzebni? Nadia

Cz., miejscowy ekolog, niemal się popłakała, bo jak można pozwalać na odstrzał renów czy wyrąb lasu na Wyspach, toż wyjątkowy landszaft przyrody, wiekami tworzony, w ciągu roku zginie. Zoja B. spytała, bylili szanowni goście w naszych sklepach? Okazało się, że nie byli.
— Tak — wrzasnęła — wszędy pobywali, a najważniejszego nie zobaczyli! Produkty u nas trzykroć droższe niż gdzie indziej i przeterminowane...
— Lepiej do łagru wrócić — syknął z tyłu Rykusow — tam choć bałandę dawali...
I tylko samorządu nikt nie pożałował, na odwrót, wszyscy na radców psioczyli, choć sami ich nie tak dawno wybierali. Na koniec wicegubernator obiecał zrobić, co się da.
Pod wieczór goście odlecieli. Pod płotem aeroportu, połamana wiatrem, walała się dykta, z którą rano witali wicegubernatora: „Dobro pożałowat' w sołowieckij łagier' gołodnogo reżima!"
3
Redaktor Giedroyc przysłał mi „Russkuju mysl" z wywiadem Sołżenicyna. Redaktor pisze, że wypowiedź Aleksandra Isajewicza przestraszyła go, czym mnie zaintrygował. Przeczytałem raz i drugi. I nie poruszyło. Widać przywykłem do tutejszych strachów.
Sołżenicyn mówi o głębokim rozłamie rosyjskiego społeczeństwa na znędzniały naród i gromadkę łupieżców, do których zalicza zarówno władzę, jak i nowobogackich, nie szczędząc im epitetów typu: drapieżniki,

brudnołapy. Według Aleksandra Isajewicza dzisiejszy rozłam jest głębszy, niźli był przed rewolucją lutową, a wszelkie „pakty pojednania i zgody"

między władzą i opozycją niewiele będą znaczyć wobec gniewu mas nędzarzy Ci, którzy myślą, iż wystarczy pojednanie partii władzy z partiami opozycji dla zażegnania konfliktu, nie pojmują grozy sytuacji. Zapobiec krachowi może zgoda między ograbionymi i grabieżcami, a zgodę się uzyska tylko wtedy, gdy grabieżcy oddadzą zagrabione. Oddadzą? Ba...

Dalej Sołżenicyn mówi o „przechowaniu narodu" — jedynej nacjonalnej idei na najbliższych dwadzieścia-trzydzieści lat, mogącej zjednoczyć wszystkie narody Rosji i wszystkie warstwy społeczne, oprócz, rzecz jasna, drapieżników i brudnołapów. Pryncypium „przechowania narodu" — jego zdrowia, oświaty, kultury i tradycji — winno być głównym kryterium przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji czynowniczych, prawem wyższym niż konstytucja. Idea nienowa, dwieście pięćdziesiąt lat temu Piotr Iwanowicz Szuwałow ją sformułował, lecz ani kolejni carowie, ani potem bolszewicy jej nie realizowali. Sam Aleksander Isajewicz przypomniał o niej w broszurce Jak urządzić Rosję?, wydanej siedem lat temu w dwudziestu siedmiu milionach egzemplarzy. Niestety, cisza.

Potem Sołżenicyn mówi o „regionach", jak dziś nazywają rosyjską prowincję. Jej głównym problemem jest brak samorządności. Dopóki regiony nie będą miały własnych finansów, dopóty samorządy będą fikcją. Zależność od dienieg wydzielanych z góry przekreśla wszelką niezależność inicjatyw od dołu. Duma wydaje kolejne ustawy o samorządach terytorialnych, ale pożytku z nich mało. Aleksander Isajewicz objechał dwadzieścia sześć guberni i wszędzie napotykał ludzi z inicjatywą, niestety, ich energia uchodzi na walkę z administracyjną ścianą...

I na koniec Sołżenicyn narzeka na rosyjską TV, że go tam blokują... Teraz pojąłem, reasumując, czemu mnie to nie rusza. Rzeczy, o których mówi Sołżenicyn, znam z autopsji, na co dzień. Pod każdym ogólnikiem wielkiego pisarza dostrzegam konkrety, za oknem. I, proszę mi wierzyć, świat za

oknem nie tylko mocniej porusza niż rozmyślania pisarza, lecz także bardziej jest skomplikowany. Obraz Solżenicyna, jak każdego proroka, bywa tendencyjny i namiętny, czasami jawnie pod tezę skrojony. Choćby ów podział na ograbiony naród i gromadkę łupieżców. Skąd to deminutiwum? Toż gołym okiem widać, że to nie gromadka, a wielka horda żulików, kombinatorów, łapówkarzy tudzież zwykłych worów, panoszących się wszędzie, od metropolii do ostatniej gminy, jak Rosja długa i szeroka. Linie podziałów na biednych i nowobogackich poprzerzynały cały kraj, w byle Kiemi swojska mafia buszuje. Proces prichwatizacji objął posiołki, kołchozy i tonie, tu rozbierają wszystko: od cegieł, rur i klepek do drzewa w lesie. Bezprawnie wyławiają tony ryb z morza, wyrzynają reny, wydzierają trawę z dna morskiego, a potem jedni wszystko przepijają, inni zaś w biznes inwestują, czyli w tak zwaną kommierciju. Aleksander Isajewicz mówi o oddawaniu, tylko nie dopowiada, jak to zrobić... Albo idea „przechowania narodu". Niewątpliwie słuszna, tylko, hm... co myśleć o przechowywaniu narodu, kiedy pochować go nie ma w czym. Starego Niła tydzień w kostnicy trzymali, bo desek na trumnę nie było. Ludzi tu więcej umiera, niż się rodzi. Bo żeby wyżyć, trzeba jeść, a nie pić. Sześć lat temu, kiedy tu przyjechałem, wódka kosztowała trzynaście rubli, a bochen chleba

dwadzieścia kopiejek. Czyli za pół litra można było kopę bochnów kupić, a dzisiaj za jedną butelkę jak za trzy chleby płacisz. O szkole, służbie zdrowia czy kulturze lepiej nie wspominać... Lub prowincja. Czy rzeczywiście problem samorządów jest tu najważniejszy? Śmiem wątpić. Co prawda nie objechałem aż dwudziestu sześciu guberni, ale wystarcza mi parę tuzinów pomorskich wiosek, które co roku odwiedzamy z Wasią na jachcie, chodząc wzdłuż brzegów Białego Morza. Tam nie ma kolei ani dróg, ani lotnisk, tam żadni pisarze nie jeżdżą. A ludzie tam myślą nie o samorządach, tylko chcą uciec stamtąd jak najdalej. Samorządności terytorialnej też mam okazję się przyglądać, właśnie nową Dumę na Wyspach wybrano i często bywam na jej posiedzeniach. Na pierwszym zatwierdzono nowy etat dla sekretarza Dumy i jeszcze dwa etaty dla

administracji... I na koniec TV. Sołżenicyn się żali na blokadę. W 1995 roku Aleksander Isajewicz występował na ORT, głównym kanale rosyjskiej telewizji co dwa tygodnie po piętnaście minut. Audycję zlikwidowano, trudno powiedzieć, czy dlatego, że była nudna, jak uważa wielu, czy dlatego, że za ostra, jak sam pisarz twierdzi. Mam w ręku książkę Po minucie na dzień — zapis owych biesiad — i widzę, że w wywiadzie dla „Russkoj myśli" Sołżenicyn nic nowego nie powiedział. Zapewne sprawy,
o których mówił i tu, i tam, są ważne, ba, zasadnicze,
i wciąż, i wciąż należy o nich powtarzać, ale publika woli urodziny Ałły Pugaczowej lub teleturniej „Pole cudów". Nikt Kasandry w TV nie lubi...
4
Apendyks. Motyw lustra i wątek labiryntu tkwią w osnowie sołowieckiej

fabuły od zarania dziejów Wysp i wiążą się nierozerwalnie z tematem śmierci. Bo najstarsze ślady człowieka na Sołowkach, kamienne labirynty Saamów (II-I tysiąclecie p.n.e.), to nic innego, jak pozostałości tropy na tamten świat, który — wedle saamskich wierzeń — jest zwierciadlanym odbiciem tego, niczym obraz w lustrze, gdzie strona prawa staje się lewą. Natomiast Wyspy, leżące na zachód od lądu stałego, były — w mitologii Saamów — półmetkiem w zaświaty, przystankiem w pół drogi za grób. Dlatego grzebali tutaj swoich zmarłych, zwłaszcza szamanów i wodzów, i budowali labirynty z kamieni, by dusze martwych nie mogły wrócić do świata żywych... Prawosławni mnisi nazwali saamskie budowle „babilonami", dostrzegając w nich symbol zabłąkania ludzi w zakamarkach grzechu, zatem sami wznieśli wielkie ściany z kamieni, by za nimi własne grzechy rozpamiętywać. Świat, którego się wyrzekli — jak sądzili — to źródło śmierci duchowej człowieka, natomiast śmierć ciała, o której należy ciągle pamiętać — jak twierdzili — miała być początkiem życia wiecznego. Innymi słowy, umierali za życia, by po śmierci ożyć... Potem był SŁON — labirynt z drutu kolczastego.

Sowiecka rzeczywistość wykrzywiła gębę w sołowieckim lustrze i sczezła granica między światem a zaświatami... Dziś w końcu drugiego tysiąclecia naszej ery wyspiarze zbierają okruchy tych zwierciadeł i szukają stąd wyjścia.

XIII

Żyjąc w tym ogromnym kraju, czuję, że sam w pewnym sensie... ogromnieję.

Joseph de Maistre

1

Wiosna tu światłem — jak batem — tnie w ślepia... jak basior je mrużę po mroku barłogu — po zimie ponurej i srogiej. Zewsząd bije blask: w powietrzu śnieżny pył iskrami tańczy, na sztywnych trawach świeci szreń, z sopli zwisają krople ogni i cały świat się wokół skrzy, jakby ktoś brylanty rozrzucał garściami — w słońcu. A z drugiej strony: błękitnawe cienie wycinają negatyw świata na śniegu, w mroku lód blikuje, para z ust bucha i chłodem ciągnie — w cieniu. Morze jeszcze śpi pod grubą pokrywą lodu, w której foki, tu i ówdzie, dziury wychuchują, by na słońcu lec. Sunąc na nartach śród torosów, trzeba uważać, żeby nie wpaść do takiej dziury, przysypanej śnieżkiem. Dalej, na grani lodowej pokrywy i odkrytej wody, horyzont drży jak rozlana rtęć. Tam sztormy spiętrzają kry, jedną na drugiej, tworząc oniryczne budowle z brył lodu i światła: gmachy bez dachów, ściany donikąd, baszty bez celu i bramy na przestrzał, ślepe uliczki, głuche zaułki... a la Piranesi. W tych krach, jak w grudach kryształu, promienie słońca się rozszczepiają na blady seledyn, modry i róż — jeśli ze światłem patrzeć. Natomiast pod światło ciekną łzy, w których zimne ognie grają. Po wielu godzinach włóczęgi po morzu wracam do domu jak z innego świata.

2

Maslenica, czyli mięsopust po naszemu. Ostatni tydzień przed Wielkim Postem, już bez mięsa, za to masła, sera i ryby można jeść do woli. Jedno z najstarszych świąt na Rusi, jeszcze z czasów pogańskich, związane z kultem Słońca i końcem zimy-Marzanny, później włączone przez Cerkiew do prawosławnego kalendarza. Najczęściej wypada w marcu, kiedy śnieg

w słońcu maslitsia (połyskuje) i leśne drogi zamaslilis' (zalśniły) — jak pisał Iwan Szmielow, wiążąc słowem zapusty z odwilżą. Dawniej guliali cały boży tydzień: na koniach, na saniach, na tyłkach z byle górki, za stołem, pod stołem, do szczętu. I dzisiaj obchodzą zapusty gorliwie, byleby było co wypić.

Maslenica to bliny — przede wszystkim. Niby placki, a jednak więcej, bo można „się w blin zawinąć" i przekląć kogoś — blin, i stypę się zaczyna blinem, i wesele blinami kończy. Bywają bliny pszenne, bywają i gryczane, zazwyczaj są drożdżowe, ale jadałem i przaśne. Na wszelki wypadek przepis podaję, a nuż któremuś z czytelników się przyda. Zatem: przesiać mąkę do dzieży z drożdżami, mlekiem i jajkiem, dodać sól, pieprz i szczyptę cukru do smaku, wymieszać do konsystencji gęstej śmietany i postawić w ciepłym miejscu, by ciasto wyrosło. Dwakroć opuszczać, gdy bieży z dzieży. Po trzech-czterech godzinach rozgrzać tłuszcz na patelni, ciasto gorącym mlekiem rozcieńczyć i lać na patelnię — jak najcieniej, najcieniuchniej. Blin powinien być ażurowy! Przeświecający! Składać jeden na drugi, masłem mażąc, by się nie sklejały. Podawać, z czym dusza zapragnie. My jemy je na ostro: z ikrą czarną i krasną, ze śmietaną i z kozim twarogiem z czosnkiem, z wątróbkami miętusów, z dzwonkami śledzi, z mielonymi okoniami i z solonymi chruszczami, a także na słodko: ze zgęszczonym mlekiem, z moczoną borówką, z żurawinowym kisielem, z konfiturami... Weź blin, zawiń weń dzwonko śledzia lub ikrą nasmaruj i maczając w śmietanie (lub w topionym maśle), kładź do ust. Można dwa naraz zawijać, a jeszcze lepiej trzy, jak Cziczikow.

Maslenica się kończy w niedzielę — przeprosin. Prawosławni nawzajem się przepraszają, do nóg jeden drugiemu

padają, pokłony biją czołem do ziemi. Reszta popatruje, niepewnie, spode łba, bo nie wie, co to znaczy... obcych przepraszać? A niektórzy jeszcze hulają, zapomniawszy o bożym świecie, a może to boży świat zapomniał już o nich? O takich się dawniej w Rosji mówiło, że „niemiecką maslenicę" wyprawiają, to znaczy: piją w post.

3

„Budzi mnie ostre światło w pokoju: obce jakieś, chłodne i przygnębiające. Ach prawda, dziś Wielki Post. Różowe firanki, z myśliwymi i kaczkami, zdjęto, kiedy spałem, stąd obcość i przygnębienie w pokoju. Dzisiaj Czysty Poniedziałek i wszystko w domu czyszczą..." — tak się zaczyna Rok Pański Szmielowa, jedna z najwspanialszych książek ruskiej emigracji. Kilka lat temu, bodaj przed moim pierwszym Wielkim Postem na Sołowkach, ojciec Josif dał mi ją, bym wiedział, jak kiedyś w Rosji pościli. On sam też się z niej dowiadywał, a i teraz ją czytuje w czasie postu, w celi. Bo Iwan Siergiejewicz dawną Rosję umiał utrwalić jak nikt. Miał rację filozof Iljin, kiedy pisał
o Szmielowie, że tak można tylko w celi (kieli) tworzyć, w milczeniu i jasnowidzeniu, bo tylko samotnik w celi widzi wszystko — i w dal, i w głąb.

„...w sieni stoją misy z żółtymi solonymi ogórkami, z powtykanymi w nie parasolami kopru, i z kiszoną kapustą, gęsto posypaną anyżkiem — pycha. Biorę szczyptę do ust — ależ chrupie! I po co post łamać — myślę sobie —

i duszę gubić, kiedy można tak smacznie pościć. Wszak będą i kompoty, i kartoflane kotlety z suszonymi śliwkami i morelami, i chleb z makiem, i

różowe obwarzanki, i «krzyżyki» na Krestopokłonnoj, mrożona żurawina i orzechy w miodzie, i migdały cukrowane, moczony groch i precle, bułki z rodzynkami, pastyła z jarzębiny, cykata i chałwa. A kasza gryczana, smażona z cebulką i kwaskiem popijana! A postne pierogi z chruszczami, a gryczane bliny z czosnkiem po sobotach, a kutia z bakaliami! A migdałowe mleko z białym kisielem albo kisiel z żurawiny z

wanilią, a... wielkie kulebiaki na Błagowieszczenije, z jesiotrowym farszem! A kalia, cudo polewka, z błękitnym kawiorem i ogórkami kwaszonymi, a moczone jabłka co niedziela, a chrusty na oleju z konopi, z chrupką skórką i ciepłą pustką w środku! Będąli tam, gdzie trafimy po śmierci, takie posty?

Filozof Iljin nazwał twórczość Szmielowa celą, w której pisarz się zamykał w Paryżu, by tamtą Rosję w zdaniach cyzelować. Pół wieku później sołowiecki mnich czyta Szmielowa w swojej celi, by tamtą Rosję zobaczyć.

4

Cudzoziemskich podróżników zadziwiała srogość ruskich postów. Dominikanin Johannes Fabri pisał niegdyś: „Usłyszawszy o ich postach, byliśmy wstrząśnięci, bo porównanie naszych obyczajów z ichnimi w sprawach dotyczących chrześcijańskiej religii wywoływało wielce niepochlebne dla naszych wrażenie". Paweł z Aleppo, syn patriarchy Antiochii, który przybył z ojcem do Moskwy w 1656 roku w związku z reformą obrzędów w ruskiej Cerkwi, ubolewał: „Mieliśmy pecha, że trafiliśmy tutaj w czasie postu, albowiem nie chcąc od nich odstawać, jedliśmy codziennie ohydną maź z rozgotowanego bobu bez oleju,

przechodząc straszliwe męki". A Neuville, jezuita, zauważył z przekąsem, że Ruscy chcieliby wejść do raju, morząc się głodem. Z relacji cudzoziemców wynika, że żaden nie próbował pojąć sensu tutejszych postów oraz ich zasad. Weźmy Massona, który po ośmiu latach życia śród Ruskich wypisywał bzdury, jakoby ich wielkopostne menu dopuszczało... rybę. Dziś o postach prawosławnych też wiemy niewiele, ba, sami Ruscy się kłócą o szczegóły reguły, wszak tyle lat nie pościli. Może więc warto kilka słów na ten temat.
Dawniej na Rusi poszczono surowo i gorliwie. Oprócz Wielkiego obowiązywały trzy posty wielodniowe: Pietrow na świętych Piotra i Pawła, Uspienskij do Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny i Filipow (Rożdiestwienskij) przed

Bożym Narodzeniem, kilka jednodniowych oraz środy i piątki. Archimandryta Joann, autor dysertacji Pokutna dyscyplina dawnej Rusi, pisze o stopniowym zaostrzaniu postów, aż „...weszły tak głęboko w ruską mentalność, że stały się podstawą życia religijnego narodu". Przepisy postu określał ustaw Jerusalimskij świętego Sawwy, który pozwalał jeść raz dziennie, po południu, w soboty i niedziele — dwukrotnie. W pierwszy i trzeci tydzień postu obowiązywało suchojadienije, to jest jadło niegotowane i bez oleju — chleb, suszone owoce, surowe warzywa, a zamiast wina — mieszanka z pieprzu, kminku i biedrzeńca lub kwas. W pozostałe tygodnie (prócz środy i piątku) strawę gotowano, w soboty i niedziele z olejem. Nabiał był wykluczony. Ryba tylko w Błagowieszczenije, jeśli święto nie wypadało w Wielki Tydzień, w którym znów obowiązywało suche jadło; w Wielki Piątek w ogóle nie jedzono.

Regulamin postu zabraniał też picia alkoholu, palenia tytoniu oraz stosunków płciowych. Ruskim, jak świadczą źródła, najtrudniej było wytrzymać bez wódki. Kniaź Władimir mówił: „Rusi wiesielie pitie, nie możem bez togo byti". Prócz wstrzemięźliwości w jadle, piciu i seksie bito pokłony do ziemi. Wedle reguły — dwieście czterdzieści dziennie: rano — sześćdziesiąt, w południe — sto, i wieczorem — osiemdziesiąt. Byli i tacy, co bili więcej — to trzysta, to czterysta. Paweł z Aleppo naliczył tysiąc pokłonów, oddanych przez wiernych w jednym z moskiewskich chramów podczas czytania Kanonu świętego Andrieja Kritskiego w środę piątego tygodnia postu, i podkreślił, że nie liczył pokłonów bitych przed Kanonem i po nim. Moskwa w tym czasie jakby zamierała: kabaki z rozkazu cara zamykano i opieczętowywano, ludzie rzadko z domów wychodzili, z ulic znikały pyszne stroje, karety. Sam car Aleksiej Michajłowicz pościł surowo: nikogo nie przyjmował i nigdzie nie bywał, pierwsze trzy dni nic nie jadł, większość czasu spędzał w chramie, w środę pod wieczór spożywał słodki kompot i bojarom go posyłał, w czwartek i piątek znów nic nie jadł, w sobotę do komunii świętej przystępował, a w pozostałe tygodnie postu jadał kapustę, grzyby i jagody, bez oleju, pil jeno kwas, w poniedziałki,

środy i piątki nie jadł w ogóle... Naród brał z cara przykład, od możnowładców do smerdów, i nawet małe dzieci pościły, „...bo lud prawosławny — pisze archimandryta Joann — oddawał się postom żarliwie".

Oczywiście najłatwiej zauważyć to, co na zewnątrz: miarę, regułę, częstość... Rzeczy nieuchwytne powstają wewnątrz — w odosobnieniu.

Dawniej, w monastyrach Egiptu i Syrii, mnisi na post uchodzili w pustynię, każdy oddzielnie. Święty Fieodosij, ojciec monaszestwa na Rusi, przejął ten zwyczaj i na okres postu zamykał się w skalnej pieczarze, do braci zaś wracał dopiero „...na wigilię Łazarza, wtedy bowiem — wyjaśnia latopis — kończy się post czterdziestu dni". Na ikonach starzec Pieczerskij trzyma w ręku zwój z napisem: „Postom i molitwoju popieczemsia o spasienii dusz", ku pamięci, że i Pan nasz postem i modlitwą w pustyni szatana pokonał, dając przykład, jak mamy własne biesy przeganiać...
Później, na przestrzeni wieków, w ruskich klasztorach wypracowano złożony rytuał wielkopostnej pokuty, gdzie obok wstrzemięźliwości i umartwiania ciała ważną rolę odgrywały ćwiczenia duchowe, milczenie i medytacja. Paisij Wieliczkowski, Fieofan Zatwornik, Ignatij Brianczaninow i inni starcy prawosławni pisali całe przewodniki duchowych pouczeń, wykazując się niezwykłym znawstwem psychologii człowieka. Na okres Wielkiego Postu do monastyrów ciągnęli także ludzie świeccy — władcy i kupcy, i poeci — by w ciszy celi, z dala od spraw powszednich, znaleźć w sobie „wewnętrznego człowieka", jak mawia ojciec German.
I, na koniec: post w sztuce. Żaden pisarz żywotów świętych i żaden malarz świętych ikon na Rusi nie przystępował do dzieła bez postu. A Aleksander Siergiejewicz Puszkin w jeden ze swoich ostatnich wierszy wplótł modlitwę świętego Efrema Sirina, którą w czasie Wielkiego Postu, co dzień w chramie o świcie, sołowieccy bracia czytają w półmroku, bijąc pokłony:
Władyko dniej moich! duch prazdnosti unyłoj, Lubonaczalija, zmiei sokrytoj siej, I prazdnosłowija nie daj dusze mojej.

No daj mnie zriet' moi, o boże, priegrieszenija, Da brat moj ot mienia nie primiet osużdienija, I duch smirienija, tierpienija, lubwi I cełomudrija mnie w sierdce ożiwi.

5

Zdarzyło się to w Wielki Piątek, parę lat temu... Po wielu dniach postu, w jego najsroższej, monastyrskiej praktyce, zaobserwowałem napięcie śród wiernych — posłuszników, pątników i babek cerkiewnych — rosnące z każdym dniem, wywołane zapewne głodem i wielogodzinnymi obrzędami, w obłokach ładanu, w zbiorowej ekstazie, w mistycznych na poły halucynacjach. Pisał o tym Rozanow, dowodząc, że wystarczy parę tygodni monaszego reżymu, by z byczego osiłka zrobić neurastenika. Pod koniec postu wszyscy byli na granicy owego „cienkiego snu", w którym mnisi widują świętych, Matkę Boską lub diabła. Tak nadszedł Wielki Piątek... Poranna msza. Ekstaza sięgnęła szczytu, histerii! I raptem nienawiść wyplusnęla — fanatyczna, złowieszcza. Do Żydów, którzy ukrzyżowali Go. Wściekłość, okrzyki, szlochy.

— Judeje, bogoubijc sobór, Judeje, bogoubijc sonmiszcze — wołano bez końca. — Dażd' im, Gospodi, po diełom ich, jako nie razumiesza Twojego snischożdienija...

...nie wytrzymałem, opuściłem chram. By więcej już tam nie wrócić. Nie wiem, co bardziej podziałało: zbiorowy obłęd, którego byłem świadkiem, czy solidarność z Veroniką. Nazajutrz, w Wielką Sobotę, poszliśmy do Filipowej Pustelni opalać się. Dzień był czysty jak dźwięk dzwonu, słońce grzało, śnieg tajał, z dachu kapało. W powietrzu pachniało młodą świerczyną, żywicą i wiosną. I było tak cicho, że słyszało się szum własnej

krwi w żyłach. Po tamtych wrzaskach ta cisza — rzecz święta. Po tamtych czczych woniach te zapachy leśne — prawdziwe kadzidło. Po tamtym chramie ten świat — to świątynia.

6

Siedząc na przyzbie moich Sołowek, plecami wsparty o krąg polarny, wspominam słowa de Maistre'a: „Powoli zaczynam z lekceważeniem patrzyć na kulę ziemską — toż to zaledwie dziewięć tysięcy lie w obwodzie. Fiu, jak pomarańcza".

Kanin Nos 1995

2 sierpnia 1553 roku trzy angielskie fregaty minęły North Cape — cypel, którym Europa sięga najdalej na Północ — i wzięły kurs na wschód. Były to „Edward Bonawentura", „Bona Speranza" i „Bona Confidentia". Fregaty należały do towarzystwa londyńskich kupców, zainteresowanych odkryciem północno-wschodniej drogi morskiej do Chin. Na czele ekspedycji stał Hugh Willoughby i kapitan Richard Chancellor — pierwsi żeglarze, którzy zostawili ślady swojego chodzenia wzdłuż północnych rubieży Rosji: mapy, relacje, listy, dzienniki podróży.

Wcześniej chadzali tam Nowgorodcy, ale żadnych świadectw nie zostawili, jeśli nie liczyć opowiadań z ust trzecich, jak u Nestora, który w Powieści minionych lat pod datą 1096 pisze, że cztery lata wcześniej opowiadał mu pewien Nowgorodziec, niejaki Guriata Rogowicz, o chodzeniu swojego chłopaka na Pieczorę. Zapis Nestora, pełen fantastycznych szczegółów, bardziej przypomina baśń mityczną niż relację z konkretnej podróży, która przechodząc z ust do ust, coraz bardziej traciła na realiach, zyskując na sensacji i wartkości fabuły. Daleka Północ z

nowgorodzkich przekazów to „...skraj widzialnego świata, przedsionek piekła, gdzie słychać tylko dyszenie morza, płacz i zgrzytanie zębów..." — jak pisał w XII wieku archiepiskop Wasilij do władyki Fieodora. Dopiero cudzoziemcy, angielscy żeglarze XVI wieku, sami tam chodzili i sami pisali o swoim chodzeniu — w pierwszej formie osobowej: ja tam byłem. Dzienniki Anglików nie są tak barwne jak słuchy z ust trzecich, często nużą w lekturze detalami topografii, opisami brzegów, kierunków wiatrów, ale ich twórcy dają głowę za to, o czym piszą. Czasem dosłownie, jak Willoughby, który nie wrócił z wyprawy do domu. North Cape jeszcze obchodzili

razem. Potem sztorm uderzył, wiatr rozrzucił okręty i stracili kontakt wzrokowy. Do portu Wardhouse tylko Chancellor potrafił wejść na „Edwardzie Bonawenturze". Pozostałe fregaty błądziły półtora miesiąca po Oceanie Lodowatym, aż je lody zamknęły, niedaleko Kanin Nosa, gdzie Białe Morze uchodzi w Ocean Lodowaty.
„21 września — zanotował Willoughby w dzienniku pokładowym — weszliśmy do zatoki wrzynającej się na dwie mile w ląd. W zatoce pływały foki i ogromne ryby, a na lądzie widzieliśmy białe niedźwiedzie, renifery, dzikie łabędzie i inne, nieznane nam stworzenia. Po tygodniu sztormowania, widząc, że pora roku późna i pogoda zła — tylko mróz, śnieg i grad — postanowiliśmy przezimować. Wysłaliśmy więc kilku naszych na południowy zachód, by sprawdzić, czy nie znajdą tam ludzi. Szli trzy dni i nikogo nie spotkali. Zatem wysłaliśmy naszych na zachód, ale i oni wrócili z niczym. Wtedy posłaliśmy naszych w kierunku południowo-wschodnim, lecz oni także wrócili, nie znajdując ni ludzi, ni

jakichkolwiek śladów człowieka..."
Z dziennika Hugh Willoughby'ego wynika, że w styczniu jeszcze żyli. Saamy znaleźli ich rok później, następnej zimy. Okręty stały na kotwicach w lodzie. Na wantach pióropusze szreni, ludzie martwi, towarów mnóstwo.
Tymczasem Chancellor, nie doczekawszy się towarzyszy, ruszył dalej, samopas, ku nieznanym krajom. I zaszedł tak daleko, jak sam pisze, aż znalazł się w miejscu, gdzie w ogóle nie było nocy, tylko ciągle stało słońce, nad morzem strasznym i potężnym. Dzięki nieprzerwanemu światłu szli bez przestanku i po paru dniach, z Bożą pomocą, dotarli do wielkiej zatoki, długości stu mil, a może i więcej. Tam stanęli na kotwicach. Miejscowi rybacy, przerażeni dziwnym wyglądem i wielkością fregaty, rzucili się do ucieczki. Kiedy Chancellor ich dogonił, zmartwiali ze strachu i padli przed nim na twarz, do całowania nóg.
To była Rossija, czyli Moscovia...
Dalej w relacji kapitana Chancellora czytamy o jego podróży lądem, do Moskwy, na zaproszenie cara Groźnego: o cenach, o towarach, o obyczajach. Kapitan zwraca naszą uwagę na podejrzliwość Ruskich, zwłaszcza wobec

cudzoziemców; dziwią go stosunki własności, w których ruski człowiek nie ma nic swojego, bo wszystko, co posiada, należy do cara; przeraża go wreszcie ruskie pijaństwo, skrajna przesądność i łapówkarstwo.
— Słyszałem, jak jeden Ruski mówił, że lepiej żyć w tiurmie niż na swobodzie, gdyby tylko tak silno nie bili...
Groźny przyjął Chancellora po carsku. Gotował się wtedy do wojny z

Krzyżakami, więc zabiegał o względy Anglii. Kapitan szczegółowo opisuje bankiet na Kremlu: etykietę przy stole, pyszne stroje gości, potrawy, zwłaszcza mięso łabędzie, przysmak Iwana Wasilicza.
— Podawano je w kawałkach, z jagodami, każdy łabędź na oddzielnym półmisku...
A kiedy Chancellor wrócił do Anglii, nie dawano mu wiary. Zarówno uczeni, jak i prości ludzie podawali w wątpliwość jego prawdomówność, powołując się na ówczesny stan wiedzy o Północy oraz na pogłoski o niej krążące. I jednym, i drugim Chancellor odpowiedział w przedmowie do swojej relacji: „Wy znacie te kraje ze słów innych ludzi, ja — ze swojego doświadczenia, wy — z cudzych książek, ja — z własnych obserwacji, wy powtarzacie sądy ogółu, a ja tam byłem".
I
Uczestnicy wyprawy, władający piórem, mają codziennie robić zapiski, by utrwalić każdy dzień podróży, notować uwagi o nowych lądach i ludziach tam żyjących, o przypływach i odpływach morza, o kierunkach wiatrów, o wysokości słońca, o ruchu księżyca i gwiazd.
Z Instrukcji wyprawy Hugh Willoughby'ego i Richarda Chancellora, 1553
Sołowki
Wychodzimy w sobotę wieczorem, po bani. Słońce stoi wysoko, choć z boku, jak reflektor nad sceną. Jego światło pełga po morzu, to strugą blasku, to miliardem iskier. Białe Morze w białe noce ma białe oczy. Jak na skraju szaleństwa...
Idziemy na najdalszą Północ: za krąg polarny. Idziemy, bo po morzu się chodzi, a pływa tylko g... w beczce — wedle Wasi. Naszym celem jest Kanin Nos.

Kanin Nos to koniec Białego Morza na północy. Dalej jest Ocean Lodowaty. Granicę wyznacza prosta kreska, którą na mapie można narysować, łącząc dwa cyple: Kanin Nos i Święty Nos. W rzeczy samej granicy nie ma, tak jak po morzu nie sposób rysować lub pisać. Po morzu można tylko chodzić i zostawiać bruzdę w wodzie — mieczem — na moment. W rzeczywistości Białe Morze się nie kończy, a zaczyna w Oceanie Lodowatym.
Ocean co dwanaście godzin robi wydech i wlewa masy wody w Białe Morze. Najpierw jakby przez lejek (stąd Woronka), gdzie woda się zbiera i dyszy do jedenastu metrów; potem ścieka do Gorła (gardła), tam jest wąsko, więc ścieka

szybko, do pięciu węzłów na godzinę; wreszcie się rozlewa na południu w Basen, pośrodku którego leżą Sołowki, skąd wyruszamy. Oceanowi Lodowatemu naprzeciw...
Żyżgin
Niewielka wyspa. Sześćdziesiąt wiorst dalej, na północny wschód. Sztorm. Chowamy się w małej zatoce, pełnej tiuli. Tiuli — to pieszczotliwie: tiuleni. Rodzaj fok. Jeden z ciekawości wylazł prawie z wody, płetwami się wsparłszy na schodku „Antura". W czasie SŁON-a była tu zona i miejsce zsyłki. Zeka wodorosty zbierali. Teraz jest pusto. Rok temu ostatni człowiek z ostatnim koniem stąd odpłynęli. Tylko wojaki zostały i majak (latarnia morska).
Korzystam z chwili, że czekamy, aż sztorm ścichnie, i przedstawiam załogę „Antura":
Zatem Wasia — Wasylij Dymitrow — lat trzydzieści sześć. Sam szyje

jachty, od miecza do żagli, własnoręcznie. „Antur" to jego trzecia łódka. Od ojca się uczył. Żyli nad Ładogą, z dziada pradziada. Wodę mieli we krwi. I las. Rybałka, strzelba. Pierwszą dwururkę dostał na jedenaste urodziny. Na niedźwiedzia chadza w pojedynkę. Ma ich osiem (tak, tak) na koncie. Łosi nie liczy, bo je bije na zimę jak świnie. Marinka tuszonkę z nich robi. Tuszonka, że palce lizać. Wiem, co piszę, sam lizałem. To Marinka ściągnęła Wasię nad Białe Morze. Zamaniła go. Żyją w Sum-Posadzie, niedaleko Białomorkanału, w połagiernym baraku. Wasia pracuje na kolei: tory w lesie układają, remontują. Wasine ręce są twarde jak szyny drogi żelaznej. Można na nich polegać. W dodatku Wasia mało pije. I rzadko. To wyjątek na Północy.
Dalej Losza — nasz majtek — lat dwadzieścia trzy. Młodociany alkasz, to znaczy alkoholik — w slangu. Chłopię jeszcze, a już dwukrotnie „zlatywał z torpedy" — samowolnie przerywał leczenie odwykowe. Wzięliśmy go, bo szkoda szczeniaka. Może morze go wyleczy, a i tak się przyda: kotwice wyrywać, żagle zwijać, podnosić i opuszczać miecz.

I ja — Mar dla swoich — lat czterdzieści. Cudzoziemiec, bez pozwolenia. Ni to korespondent, ni pisarz, czasem uczony, innym razem kiep (w zależności, kto pyta i po co), zazwyczaj niemy, zwłaszcza przy pierwszym kontakcie, żeby cudzoziemskim akcentem uwagi na siebie nie zwracać.
Ot, i sztorm się skończył. Możemy iść dalej...
Strielna
Półwysep Kolski. Terski Brzeg. Dziesięć godzin przecinaliśmy Basen, z południowego zachodu na północny wschód. Szliśmy w noc Kupały, najkrótszą noc lata. Słońce siadało wolno, wolniuteńko i zniknęło na

chwilę, jakby wybiegło za horyzont za potrzebą, skręta nie zdążyłem wykurzyć... już wstawało. Tam gdzie zniknęło — na północy. (Za kołem polarnym słońce przez wiele dni w ogóle nie znika z widnokręgu, tylko na oczach zdziwionej publiki zmienia kolor, z malinowego na złoty). Tu, na skraju widzialnego świata, słońce jest światłem życia. Nawet oleni chodzą za nim, pasąc się. Oleni to reny, z którymi Samojedy koczują: w zimie na południe, latem na północ. Zawsze w kierunku słońca. W bajkach samojedzkich pierwsze oleni zeszły na ziemię po promieniach słonecznych. Oleni to dzieci słońca. I tęsknią za nim, jak ludzie na Północy. Zwłaszcza w zimie.

Terski Brzeg zobaczyliśmy o czwartej nad ranem. Pod światło, ledwie kontur, morze raziło wzrok. Szliśmy wzdłuż lądu, szukając wejścia w rzekę. Jest: woda się mieni, blikuje, drży. Oczy bolą od blasku. Próbujemy wejść. Płytko. Raz po raz szorujemy o dno. Na szczęście ił i piach. Raptem bar — podwodny wał piaskowy u ujścia rzeki. Siadamy. Losza do miecza, a my koły w zuby, czyli usiłujemy się zepchnąć z mieli długimi żerdziami. Koły grzęzną w ile, nurt nas kładzie na bok. Dobrze, że Losza zdążył podnieść miecz. Jesteśmy w Strielnej.

Parę domów nad rzeką, szczątki cerkwi. Na wydmach krzyże, cmentarz w piachu. Wysoki, urwisty brzeg, zaledwie maźnięty zielenią, choć to już koniec czerwca. Na plażę wybiegł kto żyw. Z daleka same baby, o dziwo! Potem

się okazało, że to mużyki w chustach na głowach. Od komarów. Półtora wieku temu, wedle Siergieja Maksimowa, też takie nosili. Nazywali je kukołami, co w języku prawosławnym oznacza nakrycie głowy monacha

w wielkiej schimie. Zatem wylegli, gestykulują, coś krzyczą. Kilku rzuciło się do łodzi. Podpłynęli, pytają, jeden przez drugiego, o goriuczeje: co mamy, wieleli?

— Tolko szyło, mużyki.

— Dawajtie. Za siomgu.

Siomga! Siomużka! Carska ryba, z rodziny łososiowatych. Jej mięso, o barwie przejrzałych mandarynek, z bladymi słojami tłuszczu, taje na języku. Najlepiej smakuje z białym chlebem z masłem. Syta... Pycha... zwłaszcza świeżego zasołu (jak ogórki małosolne), pod stopkę szyła wcześnie rano, po długiej drodze przez Białe Morze, w noc Kupały. Tak też czasami chadzamy na Północy, odmierzając rytm zdania stopkami szyła, stopka za stopką, krok po kroku, nieco już chwiejnie, byle do końca akapitu: szyło, siomga, siomga, szyło, blacha mucha, siomga, szyło... blin, szałonnik się podniósł.

Czasem należy uważać, by nie wplątać się w fabułę... Albowiem świat każdego piszącego, prędzej czy później, rozpada się na dwie strony: stronę fabuły i stronę czytelników. Tropa pióra winna biec na granicy obu tych światów, nie osuwając się zbytnio ani w jeden, ani w drugi. Bo wystarczy, że się omskniesz nieco głębiej w świat fabuły, przestaniesz uważać na język, chlapniesz coś za dużo, zabełkoczesz na fieni, a nawet najwytrwalszy z czytelników, z tych, co to śledzą uważnie, słowo za słowem, i depczą po piętach, od przecinka do przecinka, otóż nawet taki czytelnik przestaje rozumieć świat, w którym się znalazł, idąc twoją tropą...

Dlatego czasem trzeba się cofnąć, jeśli miarę przekroczyłeś, przeprosić. Wyjaśnić, że ruskie goriuczeje to paliwo, płyn napędowy, i że tutaj, na

Północy, słowo to rozszerzyło swoje pole semantyczne i objęło wszystkie ciecze

z zawartością alkoholu. Że szyłem zwą tu spirytus przemysłowy, używany na kolei do czyszczenia szyn w zimie, i że trzeba uważać, nie czerpać z brudnej beczki, po benzynie lub ropie, bo oddaje zapach w ustach. Wreszcie że siomga to jedyny produkt, z którego żyje ludność Terskiego Brzegu, i że wymiana szyła na siomgę zależy od stopnia pochmielia, czyli kaca u tubylców: im kociokwik większy, tym tańsza ryba. Dla przykładu: rano w Strielnej jedna siomga, pięciokilowa, kosztowała nas dwie flaszki szyła, a wieczorem za butelkę jeszcze trzy przynieśli, byleby się opochmielić. Należy dodać, że szałonnik to wiatr południowo-zachodni.

* * *

Wiatry na Północy mają swoje nazwy — szałonnik, moriana, obiednik, połunosznik — i swoją osobowość. Moriana, na przykład, wiatr północny, to ciężki oddech Oceanu, który duje w twarz, jakby lodem pluł. Wiatry tutaj często się zmieniają, i gwałtownie. Pół biedy, jeśli za słońcem wieją, gorzej, gdy mu naprzeciw zakręcą. Wtedy pewny sztorm. Jak dwa akapity temu, kiedy moriana przeszła w szałonnik szybciej, niż szyło uderza do głowy. Woda w morzu zakipiała, zaryczała. Ledwie zdążyliśmy drugą kotwicę rzucić. Wnet zakołysało...

Stoimy w Strielnej, czekamy, aż sztorm ścichnie. Z nudów szwendamy się po brzegu. Najpierw cmentarz na wydmach, groby w piachu. Ptaki na mogiłach jaja wysiadują. Na nasz widok krzyk podniosły. Straszny skwir. Podobno robaki w piasku się nie lęgną i ciała schną, nie gnijąc. Pomorcy lubią leżeć po śmierci, jak żyją: twarzą ku morzu. A i kopać łatwiej,

twierdzi Wasia, piach nie zamarza tak głęboko jak ziemia.
Obok szczątki cerkwi: ślady topora, ognia. Obłamane carskie wrota, ptasie łajno, smród, dziurawa podłoga, resztki fresków na ścianach, liki starte, oczy jak żywe...
Wyżej, w zaroślach karłowatej brzozy, opuszczony łagier dla bogatych „hemingłejów": takich wujków z Ameryki, co tu rybaczą siomgę na spinning za dolary. Kilka

kempingów w norweskim stylu, rozszabrowanych do gołej faniery. Tylko drogowskaz się ostał, na środku placyku, czyżby apelowego? Na nim strzałki, odległości: do Paryża, zanotowałem, cztery tysiące sto wiorst. Pijany stróż wyjaśnił, że firma zbankrutowała, bo jej udziałowcy okradli siebie nawzajem i uciekli za granicę. Terski Brzeg to Klondike dla komersantów wszelkiej maści: od murmańskiej mafii do swojego rekietu. Siomgę tu odławiają tonami. Z jednej toni do stu ton za sezon. Najobfitsze rzeki już zdążyli obstawić. Warzugę, na przykład, OMON ochrania, wynajęty przez murmańską spółkę, która eksportuje carską rybę do Niderlandów. Natomiast Strielna nie należy do bogatych rzek, dlatego rekiet tu nie dotarł. Po odejściu władzy sowieckiej (tak nazywają tutaj... milicję!) każdy łowi, jak chce, bez nadzoru: co wyciągniesz, to twoje. To możesz przepić. Kołchoz splajtował, osada wymarła, a mużyki tylko na lato przyjeżdżają, jak na dacze: porybaczyć, wypić i zapomnieć o bożym świecie...
Trzy dni kukujem (stoimy, czekając) w Strielnej. Albowiem chodzenie po Białym Morzu to czekanie na pogodę, w trzech czwartych, i przypomina wyprawy w góry wysokie: tam się wspinasz od obozu do obozu, tutaj

przemykasz od rzeki do rzeki. Bo tylko w rzece można się skryć, przeczekać niepogodę. Białe Morze zwą „bandyckim", to najbardziej pochmurne miejsce w całym Sojuzie. Sztormów tu bywa i cztery, i pięć na dobę. Osuszki przy odpływie sięgają wielu wiorst. Podwodne skały: korgi, bakłysze, poliwuchy, czury. Częste tumany, nierzadko z wiatrem. Wszystko to razem nie ułatwia żeglugi. W ubiegłym roku dotarliśmy zaledwie do Konuszyna, a zajęło nam to dwa i pół tygodnia, choć na dobrą pogodę można ów dystans przejść w trzy dni. Wtedy przez Gorło szliśmy Zimowym Brzegiem, w tym roku spróbujemy — Terskim...

Czapoma

Początek Gorła. Dwanaście wiorst dalej, na północny wschód. Bo tylko tyle zdążyliśmy przeskoczyć, kiedy znowu

sztorm uderzył. Na odlew, jakby chciał nas z morza zrzucić, jednym ciosem. Ledwie zdołaliśmy wejść w Czapomę. To trudna rzeka, bakłysze tu sterczą gęsto, jak łby tiuli, a kosa taka wysoka, że duża woda jej nie zakrywa.

Nad rzeką stara osada rybacka, cerkwi ani śladu, znów cmentarz w piachu. Od razu rzuca się w oczy podział wsi na dwie części: bliżej morza domy drewniane, zadbane, drwa ułożone w wysokie sągi, osłaniają od wiatru, przy domach ogrody, kartoszka, parniki, podwórza czyste, obsiane trawą, która wiąże piach, a dalej, na glinianej skarpie, parę baraków z betonu, na pięć, sześć rodzin, wokół sracz, cuchnie pomojka. Rzecz wyjaśniła mi Marfa, starucha ciekawa przybyszów. Wyszła na przyzbę jednego ze schludnych domów i sama zagabnęła.

— Bo widzisz, młody człowieku, przy morzu stariki żyją, a tam, na

skarpie, młodzież, dla której kołchoz zbudował te obszczieżitija. Ot, tak samodzielnie współżyją. Współżyją i piją, bez przerwy. Dawniej mużyki też wypijali, ale rzadko, od święta. Kiedy, na przykład, drwa na zimę przygotowali, to się zbierali mużyckim kolektywem, baby blinów napiekły, z siomużką-matuszką na zakąskę, dziewki dla nich pląsały, śpiewały, a mużyki zapijali, czasem na trzy, czasem na cztery dni. Pili tylko brażkę z moroszki. A dzisiaj żrą „Ruską" i robią pod siebie, w opilczym obłędzie utraciwszy wstyd. Zatem o jakich tradycjach może być mowa, o jakich świętach, obyczajach? Teraz jeden z drugim do stołu dojść nie potrafi, wypiją po drodze i walają się przy niej. Wszystkiemu wojna winna, kiedy młodych na front zabrali. Trzydziestu sześciu naszych wzięli. I żaden nie wrócił. Sześć rodów wygubili, sześć dynastii, które tworzyły Czapomę. Tylko stariki zostały i baby. Potem cudzych najechało, czapomskich dziewek nabrali, niektórzy zostali, lecz to już nie to. Bo nie swój mużyk żyje na cudzym jak cudzy, ot co. Dopóki władza sowiecka tu była, trzymała ich krótko. A teraz kradną, co na wódkę można wymienić, i żyją od stopki do stopki. A w tym roku, żeby nam było jeszcze weselej, przywieźli dzieci, bezprizornyje. Łagier im letni w Czapomie zrobili. Dozorcy piją z mużykami, a dzieci, zdurniałe od benzyny, którą wąchają jak

narkotyk, łażą po wsi i zamki rozbijają w drzwiach. Powiedz, co z nami dalej będzie, młody człowieku?

Wyblakłe oczy staruchy były puste. Pod wieczór na „Antur" przyszły dwie dziewuszki, bezprizornyje. Dwanaścietrzynaście lat. Twarzyczki ładne, ciałka smukłe, smagłe. Wiodły się wulgarnie, jak kurwy. Szyła chciały.

Nazajutrz wyszliśmy z Czapomy...

Konuszyn

Dwadzieścia osiem godzin dalej, na północny wschód. Minęliśmy krąg polarny. Trzysta trzydzieści wiorst w morzu. Po drodze dwa sztormy, parę zmian wiatru, nieco soli w ustach i świt czysty, jak czysta bywa tylko samotność. Ale po kolei.

Z Czapomy poszliśmy wzdłuż Terskiego Brzegu. W głąb Gorła. W miarę jak posuwaliśmy się coraz dalej na północ, zieleń gasła i śniegu przybywało. Leżał w rozpadlinach, w wąwozach, czasem sięgał plaży brudnymi językami. Brzeg też się zmieniał: zamiast iłu i piachu — lita skała. O podejściu bliżej mowy być nie mogło, tym bardziej że wiatr się wzmagał i podnosił przybój. Morze uderzało
o skały nadbrzeżne, wzbijało pianę, jej skrzepy fruwały w powietrzu. Mijane rzeki nie dawały szans wejścia: to zbyt płytkie, to sieciami zastawione. Wyspa Sosnowiec, nasza ostatnia nadzieja na Terskim Brzegu, przy podejściu okazała się niedostępna: kamień na kamieniu, ze wszystkich stron odmuchiwana wiatrem. W tej sytuacji bierzemy kurs na Zimowy Brzeg, w poprzek Gorła. W gardziel sztormu. Tam, po drugiej stronie, znamy każdą rzeczkę, a i brzeg tam bardziej przystępny, miękki. Niestety, na środku Gorła wiatr się zmienił o sto osiemdziesiąt stopni
i zanim dobrnęliśmy do Zimowego Brzegu, podniósł przybój na tyle, że i tu byliśmy bezradni. Nie pozostawało nic innego, tylko iść dalej. Bo kiedy sztormi, a skryć nie ma się gdzie, należy w drodze sztorm przeczekać. Wychodzimy więc z Gorła i przecinamy zalew Miezeni. Sto dwadzieścia wiorst odkrytego morza przed nami.

Najbardziej „zgniły" kawałek Białego. Woda tu dyszy ze straszną siłą. Na szczęście nagle ścicha, jakby ręką odjął. Niebo świeci, lazurowe. W oddali miraże. Wreszcie można trochę pospać, wszak już dwadzieścia godzin idziemy. Moja wachta, chłopaki drzemią. Wyłączam silnik. Cisza. Żagle łopocą. Lekka bryza. Po lewej, w cienkiej jak sen monacha mgiełce, wyspa Morżowiec. Zatem krąg polarny już za nami. Puszczam Visible World Jana Garbarka. Jestem. Sam.

Po południu zobaczyliśmy brzeg Konuszyna. Ziemia samojedzka. Zamknięta zona, tereny poligonu specjalnego. Tam spadają zużyte człony rakiet z Plisiecka, tam strzelają z Dalekiego Wschodu pociskami balistycznymi. Trenują celność. Cała tundra najeżona odłamkami rakiet, niekiedy ogromnych rozmiarów, z daleka widocznymi. Jak w science fiction. W ubiegłym roku na Konuszynie nas pojmali. Desantem z helikoptera: dziesięciu bojcow, w tym kobieta, uzbrojeni po zęby...

II

Zabrania się każdemu, ktokolwiek by to był, opowiadać o naszej religii i o naszych przekonaniach, a na pytania tych spraw tyczące należy odpowiadać milczeniem i udawać, że mamy takie same prawa i obyczaje, jakie obowiązują w tym kraju, w którym się w danej chwili znajdujemy.

Z Instrukcji wyprawy Hugh Willoughby'ego i Richarda Chancellora, 1553

Konuszyn

Brzeg Konuszyński z daleka przypomina tort. Jakby lukrem oblany: płatami śniegu, soplami lodu. Słońce gra tam światłem, błyszczy. Morze uderza wodą, rozpyla się. Na plaży leżą czarne bloki, z daleka niby kęsy tortu. Z bliska to torf: wielkie kawały wygryzione morzem z brzegu. Z bliska lód i śnieg nie świecą. Są brudne, zmieszane z gliną, która tu spływa

z każdą falą. Dopiero z bliska widać siłę morza. Niszczycielską siłę. Morze pożera brzeg Konuszyna, kawałek po kawałku. Jak tort.
Dom Szarapowów stoi na skraju obrywu. Jeszcze rok, może dwa, i zwali się w morską kipiel. Ciekawe, czy Szarapow zdąży wytrzeźwieć do tego czasu? Nieopodal domu sterczy z brzegu wąski cypel z kamieni i piachu, zagięty niczym ręka w obelżywym geście. To Konuszyńska Korga, za którą można się skryć. Kiedyś, nie tak dawno, bo jeszcze Locja Białego Morza z 1964 roku odnotowuje, na końcu Korgi stały domy niewielkiego artelu rybackiego. Dzisiaj tam morze wrze i trzeba ją z dala obchodzić, bo był wypadek, że wciągnęło łódź z ośmioma rybakami i tylko

jednego wypluło. Ze zmiażdżonym kręgosłupem. Szarapow się śmieje, gdy o tym opowiada, bo Szarapow ma wisielczy humor i o życiu mawia:
— Suka, blia.
W kuchni Szarapowów pachnie blinami i samogonem. Jak rok temu. Siedzimy za stołem, spotniali, po bani. Pijemy samogon zaprawiony margancowkoj (nadmanganian potasu wytrąca z bimbru osad!) i zakąszamy blinami z ikrą pinagorów. Ikra jest różowa, gruboziarnista, trzeszczy w zębach. Samogon krzepki, miękko wchodzi, grzeje. Szarapow dzierży rytm, nalewa, podnosi: za spotkanie, za minioną zimę, za wczorajszy sztorm. Tańka się uwija, nosi jadło, podaje: oleninę na zimno, łosi ozór z dzikim chrzanem, wędzoną garbuszę, solonego golca. Wiatr za oknem gnie iwinę, targa trawy. Morze znów się burzy, łamie falę, kąsa brzeg. Deszcz zacina, ukośnie, po szybach. Korgę mgła spowiła, kuchnia płynie, Lord pod drzwiami śpi. I wydaje się, że roku onego nie było. Jakby wypadł zza stołu ów rok.

Szarapow ma czterdzieści osiem lat, nieładną żonę i lubi wypić. Były oficer desantnik, uczestnik kilku sowieckich awantur w Afryce. Potem pompolit na trawlerach, cały świat obszedł w stanie nietrzeźwym. Aż go z morza za gorzałę wylali. Na Korgę Konuszyńską, byle dalej od ludzi. Szesnasty rok tu żyją. Z Tańką, we dwoje. Obsługują zmilitaryzowaną stację meteo na terenie poligonu. Do najbliższego garnizonu kopa wiorst z hakiem przez tundrę. Pusto jak okiem sięgnąć. Tylko lisy polarne szczekają i morze wyje.
Życie Szarapowa toczy się wokół beczki, jak kiedyś życie Diogenesa. Beczka stoi w kuchni, na piecu, bulgoce. Ze specjalnej stali: rakietowej, nierdzewnej. Dar od garnizonu.
— Do beczki sypiesz cukier, przejrzałą moroszkę, zalewasz wodą i stawiasz na czterdzieści dni. Potem przeganiasz. Wychodzi siedem litrów czystego spirtu, czyli trzydzieści flaszek wódki. Sam policz, ile zostaje dni na trzeźwo?
Szarapow ma oczy spopielałe od samogonu i gada bez przerwy, jakby wodę wylewał z wiadra, złakniony ludzi. To goworucha, wedle Maksimowa, choroba mieszkańców

Dalekiej Północy, którym doskwiera odosobnienie. Jeszcze straszniejsza bywa niemucha, gdy człek traci mowę i ryczy, niczym leśny zwierz. Po kilku stopkach z bełkotu Szarapowa trudno wyłowić sens. Rzeczywistość plecie z wideo, politykę z fobią. Nienawidzi Moskali, Żydów i Szamila Basajewa (w takiej kolejności); wyznaje patriotyzm a la Żyrinowski, samego Wolfowicza i kolczasty drut. Raz podejrzliwy, raz wylewny, to szpiega we mnie węszy, to druha czuje. Przed chwilą wymachiwał

pistoletem, wrzeszcząc, bym pozwolenie pokazał, raptem w żart to obrócił, zażenowany własną manią. A chwilę później, mocno mętnie, snuł opowieści nie do druku, jak refren powtarzając:
— Tolko ty togo nie piszi, Mar, nie piszi, czto Szarapow tiebie eto skazał.
Niekiedy warto zachować pozycję cudzoziemca w świecie, o którym piszesz. Dzięki niej możesz utrzymać dystans, trzeźwość oceny, lekkie pióro. Ona zwalnia z lojalności, pozwala płynnie przechodzić z pierwszej osoby do drugiej, a nawet trzeciej, daje luz przy użyciu nazwisk, to prawdziwych, to wymyślonych. Można wpisać kilka losów w jedno życie albo rozbić jedno życie w parę fabuł. Rzecz jasna, potem bywają nieporozumienia, czasem pretensje, żale...
Pozycja cudzoziemca w świecie, o którym piszesz, zapewnia samotność. Zwłaszcza gdy rzecz dzieje się w Rosji, gdzie szpiegomania nie zelżała od czasów Chancellora, a tu, na rubieży Imperium, przybrała postać szczególnie ostrą. Tutaj samotność piszącego cudzoziemca jest dwojaka: to zarówno punkt widzenia rzeczywistości, jak i pełne w niej odosobnienie. I przypomina nieco sytuację kosmity, granego przez Davida Bowie w filmie o Człowieku, który spadł na ziemię.
W ubiegłym roku podnieśli na nogi wszystkie jednostki pograniczne wzdłuż wybrzeży Morza Białego i Barentsa. By nas pojmać. Prawdę powiedziawszy, sami na nich

wtedy wyleźliśmy, jak zwierzyna na myśliwego. Cztery doby sztorm nas trzymał w Kiedach, na końcu Gorła. Czekaliśmy na pogodę, by przeskoczyć zalew Miezeni. Z nudów na majak się wybraliśmy. Na cypel Woronow. Skąd mogliśmy wiedzieć, że trwa akcja „Pajęczyna"?

Pograniczniki pili szyło na majaku. Zbyt późno zobaczyliśmy wiezdiechod (opancerzony pojazd na gąsienicach, z daleka przypominający czołg bez lufy) — wycofać się było nie sposób. Z trudem spisali nasze dane, ledwo się w pionie trzymali. O pozwolenie nie spytali, widać do głowy im nie przyszło, że możemy go nie mieć. Proponowali wypić. Wymówiliśmy się. Dali nam na drogę suszoną oleninę i parę sztuk świeżej nelmy. Nelma, zwana inaczej białorybicą północnosyberyjską, to biała ryba, tak doskonała, że można ją jeść na surowo. Zanim pograniczniki wytrzeźwieli, wyszliśmy w morze. Nie zważając na sztorm. Zalew Miezeni robiliśmy po omacku. Morze się zbiesiło, wymieszało z niebem. Błyski darły mrok, na wantach iskrzyło. Śmigłowce nie miały szans. W pogoń ruszyli dobę później. Cztery dni czesali morze, brzegi i przestrzeń powietrzną. W operacji uczestniczyło dowództwo okręgu. Aresztowali nas w kuchni, u Szarapowów. Właśnie braga dojrzała. Przez szum samogonnego aparatu usłyszeliśmy buczenie helikoptera. Usiedli w iwinie, naprzeciw okna...
Nazajutrz opowiadałem Tańce, co było dalej: o drodze do Archangielska pod nadzorem dwóch śmigłowców i jednego ścigacza, o hucznym przyjęciu w porcie, o wielogodzinnych przeszukiwaniach na jachcie. O ostrzeżeniach!
A za oknem wciąż leje. Tundra nawilgła, ziemia pod nogami mlaska. O wyjściu w morze mowy nie ma. Szarapow zdążył zasnąć, opochmieliwszy się pierwej osadem margancowki. Chłopaki utknęli nosami w widiku, ciężką pornuchę ganiają. Tańka po kuchni się krząta, obiad dla nas warzy, czajem mnie poi. Do czaju podała miód bladobiały, niczym gruda lodu, z posmakiem wanilii. To miód ałtajski, wiosenny, pachnie górską łąką. Może ów zapach wywołał

Tańkę z milczenia. Raptem zaczęła mówić o swoim życiu. Beznamiętnie, cicho, jakby na drutach robiła. Próbowałem wzór zapamiętać. Na brudno, w kajecie.

Tańka jest Polką z Ałtaju. Z domu Baworowska. Kogoś z jej przodków w Kraj Ałtajski zesłali, ale kogo i za co — nie wie. Miała piętnaście lat, smarkula, ledwie szkolę skończyła, kiedy Szarapow do Katandy przyjechał. Żenić się. Z jej siostrą. Przy okazji i Tańkę przychwycił. Załatwił jej, w Leningradzie przy sztabie, kursy na telegrafistkę. Pewnie już wtedy planował, że mu zastąpi na stacji Irenę. Irka nie wytrzymała życia na Kordze: samotności w tundrze, pijanych furii Stiopy. Rzuciła go. Tańka została. Jest mu żoną i rabem. W pojedynkę stację obsługuje, kiedy Szarapow zapije. Jemu też służy, czasami do bicia. Bywa, że do niej mierzy, a ona nie wie, czy pistolet nabity. Tańka często w bani sypia, bo się boi w domu. A kiedy Stiopa trzeźwieje, z braku samogonu, wtedy płacze, przeprasza ją, kaja się. Wtedy Tańka go kocha, bo i gdzie ma się podziać: tak ona, jak on? Jedyną rozrywką Taniuchy są potrzaski na lisy. Wyprawia z nich skóry na szuby. Już na tuzin zebrała, tylko uszyć nie ma jak. A i po co? W szubie po tundrze paradować?

W ciemny szelest Tańki głosu nagle ryk się wdarł. Z plaży dochodził. Runęliśmy do okien. W dole, po obeschłym piachu, wolno pełzł wiezdiechod. W naszą stronę.

Kamienne Jezioro

To byli żołnierze z garnizonu, kumple Szarapowa: komandir Witia, syn zam-admirała Północnej Floty, sierżant Pietia z Kazachstanu, szofer GT-T, i szeregowy Fiedia, półkrwi Samojed, a na poły Ruski. Na łabędzie się

wybrali, postrzelać. I po drodze wypić. Nie mając żadnych związków z pogranicznikami, nawet nie spytali, skąd się tu wzięliśmy. Za swoich nas przyjęli: za kłusowników. Po dwóch stakanach stanęło, że jedziemy z nimi. Nasze strzelby przypadły im do gustu, zwłaszcza Wasina, bo daleko bije. Należało się spieszyć, by na małej wodzie przeskoczyć do ujścia rzeki Wołosowej, bo brzeg Konuszyna, stromy

i grząski, nawet wiezdiechodom nie wszędzie pozwala wejść. Od dołu glina, na niej płyty torfu, wielkości domów o kilku piętrach, nakryte „dachem" z darni. Grunt tu tonami spełza w morze, miejscami wisi, falą podmyty, grożąc runięciem w każdej chwili. W czasie przyboju woda podchodzi do samego obrywu, natomiast odpływ tworzy niewielką plażę, po której rwaliśmy z hukiem silnika, zagłuszającym szum morza.
Korytem Wołosowej wydostaliśmy się w tundrę. Dalej sto wiorst przez ziemię nie z tego świata. Podmokle łąki kwitnącej moroszki, pola dzikiego szczawiu i ostrych traw, splątany iwniak, kłęby karłowatej brzozy, sopki w liszajach jagielu, doliny burego błota, jeziora niczym martwe lustra, poczerniałe od starości, i wszędzie gdzie okiem sięgnąć fragmenty rakiet. Cała tundra usiana kawałkami rakietowych kadłubów, czasami znacznych rozmiarów i rażących barw: metaliczny oranż, jadowita żółć, fosforyczny granat. Na palecie spokojnych kolorów północnej przyrody tony te darły wzrok. Mieszały rozum.
Szukaliśmy łosia. A po drodze strzelaliśmy do pardw, do gęsi, do kaczek. Safari a la russe: z rykiem dwustu mechanicznych koni, w obłoku spalin. Z sopki na sopkę, tnąc doliny, rozjeżdżając ruczaje. Poszycie tundry jest delikatne jak naskórek człowieka, nawet lekkie dotknięcie stopy zostawia

ślad, który od razu podchodzi brunatną wodą, niby siniak krwią. Gąsienice naszego GT-T (gusienicznyj tiażołyj tiagacz) rozdzierały runo tundry, znacząc ją sznytami na czterdzieści lat. Bo tyle czasu potrzeba, by szramy po tiagaczu zarosły. By tundra zapomniała, że tu byliśmy.
Pod wieczór dotarliśmy nad Kamienne Jezioro. Od wieków, co roku, pod koniec maja, przylatywały tu łabędzie na lęg. W czerwcu ptaki liniały (zmieniały lotki), tracąc na parę tygodni zdolność latania. Wtedy Samojedzi je zabijali. Jak popadło: dusili psami, łowili w sieci. Zwyczaje Samojedów w obejściu z łabędziami przejęli Nowgorodcy. Kamienne Jezioro leży na skraju Kanino-Timanskiej Tundry, nieopodal dawnego wołoka, którym żeglarze z Nowgorodu przeciągali łodzie, chodząc na Pieczorę. Wołok łączył Morze Barentsa z Białym w najwęższym miejscu: między

Brzegiem Konuszyna i Zatoką Czoską. Stalin tu kanał planował (Białomorsko-Czoski2), ale umarł, nie zdążył. Zatem zrobili poligon. Dzisiaj łabędzie są pod ochroną, co nie oznacza, że kule ich się nie imają. Krasnaja kniga na poligonie nie obowiązuje. Na poligonie rządzi ten, kto ma broń.
— Łabędzi śpiew to w gruncie rzeczy przytłaczające łabędzie milczenie — powtarzam za Merrille'em, patrząc na jedynego łabędzia, który sunie po płaskiej wodzie Kamiennego Jeziora. A milczenie to przecież samotność.
— Samotność to śmierć — odpowiedziało mi echo wystrzału. Komandir Witia zabił łabędzia.
Potem go rozpłatał, pieprzem posypał i zasunął w pieczkę. Pieczkę sami przerobili pod dziczyznę, wystarczy jedno naręcze drew, by łabędzia

upiec. Kiedy mięso dochodzi, Witia skrapia je spirtem i dodaje garść mirabelek. W kantynie garnizonu spirt sprzedają w litrowych słoikach. Jak kompot, z paroma śliwkami na dnie. Etykietka głosi, że to produkt do wyrobów cukierniczych, a kosztuje mniej niż pół litra wódki. W izbie robi się ciepło. Pieczystym pachnie. Okna myśliwskiej chaty wychodzą na Kamienne Jezioro. Słońce siada czerwono za sopką, jakby broczyło posoką. Spirt w graniastym stakanie oddaje farbą. Z piersi łabędzia

2 O Kanale Białomorsko-Czoskim opowiedział mi Szarapow. Ojciec jego przyjaciela z Czyży, Dionis Aleksiejewicz Sacharow, uczestniczył w latach czterdziestych w ekspedycji badawczej, której zadaniem było przygotowanie ekspertyzy pod przyszłą budowę. Prawdę powiedziawszy, opowiadanie Szarapowa przyjąłem z lekkim niedowierzaniem, znając jego skłonności do fantazjowania. Opis rzeki Czyży i Czoszy w książce B.M. Żitkowa Po Kaninskoj Tundrie (XLI tom „Zapisok Imperatorskogo Russkogo Geograficzeskogo Obszczestwa", St. Petersburg 1903) — grunt bagnisty, trujące wyziewy, maszkara i gnus — zdawał się wykluczać możliwości nie tylko budowy kanału, ale jakiejkolwiek tam pracy. Natomiast po powrocie z wyprawy na Kanin wpadła mi w ręce broszura B.G. Ostrowskiego Biełoje morie (Archangielsk 1937), w której znalazłem informację (s. 86), że idea połączenia kanałem zalewu Miezeni i Zatoki Czoskiej była nieraz podnoszona, jeszcze za czasów kapitana Kruzenszterna (1770-1846), lecz nigdy nie uzyskała akceptacji. Mimo to autor broszury z 1937 roku nie tracił nadziei: „Należy wierzyć, że wraz z zagospodarowaniem ziemi Kanina i wykorzystaniem tutejszych terenów temat budowy Kanału Białomorsko-Czoskiego znów będzie podjęty".

kapie tłuszcz. Przysmak Iwana IV, cara Groźnego. Miękną kontury w izbie, twarze mrok rozmazuje, na ścianach pląsają cienie: ni to bojarów, ni wojów, ni opryczników. Przez cienką materię realnego świata prześwitują zwidy...

Szojna

Sto dwadzieścia wiorst dalej w połunosznuju storonu (na północny wschód — w pomorskim narzeczu). Chmury sino wisiały jak wory pod oczami Szarapowa, kiedy go żegnaliśmy. Potem lunęło. Poszliśmy wzdłuż Kaninskiego Brzegu, niesieni prądem odpływu. Był pełny sztil. Deszcz padał bezgłośnie, bez przerwy. Z boku przesuwał się świat, jak niemy film w zwolnionym tempie. Kadr za kadrem, wciąż to samo — goły, bezludny ląd. Jedynym urozmaiceniem były rzeki: Wołosowa, ruczaj Bogatyj, Kija. W Szojnę wchodziliśmy we mgle. Na szczęście przybój się zaczął. Deszcz przestał padać, za to wiatr się podniósł. Brzeg straciliśmy z oczu. Szliśmy po nurcie niczym po sznurku. Jak ociemniali tykaliśmy dno kołami, omijając koszki. Parę godzin to trwało, czas we mgle się rozpłynął. Kotwicę rzuciliśmy, licząc na łut szczęścia, że nas na małej wodzie nie przewróci. Wreszcie czaj i koja. Śpiwór namókł.

Woda pochlupuje o burtę „Antura", nie daje zasnąć. Otwieram więc Rok na Północy na Kaninskim Brzegu. W porównaniu z Zimowym czy Miezeńskim, pisze Maksimow, gdzie choć parę osad ludzkich można znaleźć i bodaj krzaki, Brzeg Kaninski jest zupełnie pusty, tylko słaniec się tu ściele, arszyna od ziemi nie sięgając. Zimą nawet Samojedzi gnali stąd olenie, w strachu przed idolami śmierci, pusta przestrzeń bowiem, wedle ich podań, kusi demony niebytu. Latem, koczując na Kamieniu, czasami polowali tu na morskiego zwierza: na nerpy, tewiaki i wodne zające. Ale

tylko półidiota z plemienia samojedzkiego, twierdzi Siergiej Wasiliewicz, może być tak cierpliwy, by całymi dobami leżeć w łodzi, niedaleko od brzegu, na kotwicy, i czekać w skoncentrowano-flegmatycznym skupieniu, aż wychynie z toni czarna główka, by w nią strzelić...

Raptem ze snu wypadłem, jak z koi przy silnym przechyle. W kubryku powietrze od mata zgęstniało. To Wasia klął. Skoczyłem na pokład. Wiatr mi chlusnął piachem w oczy, „Antur" tkwił mieczem w łasze. Bo kiedy spaliśmy, woda opadła i koryto rzeki okazało się sto metrów dalej. Jednym słowem: obeschnęliśmy. A wokół jachtu, niby w przedłużeniu snu, brodzą ińki — samojedzkie podlotki. Z jaskrawo pomalowanymi ustami. Wyglądało, że czekają, kiedy się obudzimy. Na brzegu posiołek zasypany piachem, tylko dachy z jam wystają i wiatr miecie pyłem. Skąd tu posiołek, skąd te podlotki z czerwonymi wargami? Skąd tyle piachu?
Było tak. 15 czerwca 1929 roku na posiedzeniu WCIK-a (Ogólnorosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego) utworzono Nieniecki Okręg Narodowy, obejmujący koczowiska Samojedów wzdłuż Oceanu Lodowatego: od Kanin Nosa do rzeki Kary. Rok wcześniej, decyzją Komitetu Północnego, nazwę „Samojedy" zmieniono na „Nieńcy", gdyż uznano, że stare miano jest obraźliwe. W latach trzydziestych próbowano koczowników osiedlić na stałe. Posiołek Szojna jest przykładem takiej próby. Niestety, miejsce wybrano fatalnie: na ruchomych piaskach. Na początku jeszcze szło nieźle, rozwinięto przemysł zwierobojnyj (masowy ubój morskich zwierząt) oraz połowy nawagi. Śmiałkowie pociągnęli za „długim rublem", a państwo zadbało, by go zarobili. Państwo zapewniało też transport, zaopatrzenie i łączność ze

światem po tamtej stronie kręgu polarnego. Potem pierestrojka zmieniła priorytety, a na morskiego zwierza popyt spadł. Szojna opustoszała. Zostali w niej tylko „chorzy na Północ" i tacy, którzy nie mieli dokąd wrócić: Nieńcy, odwykli od czumow (rodzaj wigwamów ze skór olenich), poszukiwacze przygód, na których żony przestały czekać, nieudacznicy i kobiety bez fartu, choć często z dzieckiem. Niedawno zlikwidowano w Szojnie strażnicę graniczną, ostatnią nadzieję miejscowych dziewcząt, a zarazem jedyną nić wiążącą posiołek z państwem. Dzisiejsza Szojna, odcięta od świata i na poły zasypana piachem, bardziej przypomina sen Samojeda niż realną wioskę. Sen jakiegoś półidioty z plemienia samojedzkiego, który walając się w łodzi całymi dobami, w oczekiwaniu na nerpę, tewiaka czy morskiego

zająca, wyśnił owe pół wieku, ten posiołek, uszminkowane podlotki i nas samych, z mieczem w piachu...
— Jedrit' waszu mat', szto wy zdies' diełajetie? Zdies' zakrytaja zona, nado otmieczat'sia! — nagle, jakby spod piachu, mużyk wyrósł. W gumiakach, zacietrzewiony, z kołunem w ręku. Kołun to specjalny topór do rozłupywania wielkich kloców drzewa. Mużyk zaś okazuje się przewodniczącym sielsowieta, czyli miejscowej rady gminnej, na którą spadły obowiązki służby pogranicznej z chwilą zniesienia strażnicy w Szojnie. Za godzinę mamy się zameldować, z dokumentami, w sielsowiecie. Długo błądzimy po Szojnie, w lotnym piasku po kolana. Ulice zawiane, w zaspach. Domy rozrzucone wśród wydm, w głębokich dołach, codziennie odkopywane. Gdzieniegdzie kopczyki sterczą jak nagrobki, ślady po domach, w których nikt nie żyje. Ani ogródków, ani

trawy. Tylko piach, piach, piach. W sielsowiecie zasypało schody, wewnątrz baraku! Piasek się tu wciska każdą szparą, byle szczeliną. Nawet w gabinecie przewodniczącego go pełno: w szklankach, na stole, w aktach. Mużyk tymczasem stracił rezon. Być może skonfundował się naszą fabułą (której nie zdradzę, bo się może jeszcze przydać), a może Wasiną miną. Zaczął szukać ukazów, przewracał jakieś teczki, grzebał w szpargałach, podnosząc pył. Tłumaczył się, jąkał, przepraszał: że pogranzona, że zakryto, że sam nie wie po co. I że musi być w kursie, kto tu chodzi, wszak mogą zadzwonić, sprawdzić. A i dla nas wygodniej, bo odmeldowawszy się, dalej idziemy legalnie.

— Nu-ka, dawajtie, riebiata, po stakanu, na pososzok, i poka.

— Poka, jedrit' twoju mat'. Tarchanow

Ostatnich sto wiorst po morzu ku Północy. Dalej pójdziemy pieszo...

Z Szojny wyszliśmy o świcie, na półwodzie. Ledwie nas zdjęła z łachy. Należało się spieszyć, póki mużyk fabuły nie przejrzał. Do Tarchanowa mieliśmy półtorej wody czasu, bo

tylko na pełnej można wejść w załudie. Zaludie Tarchanowa to wąska przestrzeń między brzegiem a skalną grzędą (łuda), od północy zamknięta cyplem. Wedle Locji zdarza się, że przypływ zakrywa grzędę i można na nią usiąść, jak na kół. Zaś na małej wodzie sterczą u wejścia kamienie, niczym szwajcarzy u drzwi. Trzeba zatem nie lada precyzji i nieco szczęścia, by nie rozedrzeć pudła przy wchodzeniu, ale innego wyjścia nie ma — to ostatnie schronisko na Kaninskim Brzegu. Dalej lite skały wyrastają z morza.

W Tarchanowie do niedawna polowali na biełuchi, czyli białe wieloryby,

które żyją tylko w wodach podbiegunowych. Na Białym Morzu zabijano je od wieków: dla skór,
o których latopis nowgorodzki z XII wieku pisał, że były ściągane z ludów Północy w formie dani; dla mięsa, z którego w latach trzydziestych naszego wieku ludy Północy robiły pasztety, kiełbasy i konserwy; wreszcie dla tłuszczu, krwi i kości. Po wojnie przemysł bieluszy gwałtownie zmalał, choć jeszcze w 1958 roku w rejonie Tarchanowa ubito czterysta dwadzieścia zwierząt. Było to ostatnie miejsce na Białym Morzu, gdzie polowano na białe wieloryby.
Szliśmy na żaglach, bez motoru, bez słów. Morze było białe, jakby światło się rozlało po widnokrąg. Miałem wrażenie, że zaglądam słońcu prosto w oczy. Widziałem Białe Morze w różnych kolorach: często poszarzałe, jak twarz człowieka przestraszonego, lub zielonkawe, jak cień wodorostów na dnie, czasami przybierało odcień bladej ochry, kiedy światło we mgle topniało, czasami zaś ołowianej minii, gdy słońce zachodziło pod wiatr. Każda pora roku ma swoje barwy morza, jesień — dla przykładu — tony kobaltu
i smalty. Białe Morze bywa też różowe, cynobrowe, złote, niekiedy całą gamą blasków gra, ale tylko ten, kto zobaczył jego biel za polarnym kołem, może pojąć tych, którzy nie chcą stamtąd wracać. Nieprzypadkowo w ich relacjach powtarza się motyw zaświatów, wystarczy wspomnieć zagadkowe słowa Melville'a z Moby Dicka, o pozagrobowym wpływie Białego Morza na duszę człowieka. Zagadkowe, bo nie ma świadectw, że Melville tu bywał za życia.
Ląd wyrósł przed nami nagle, jakby tylko co stworzony. Kaninski Kamień, skalne plateau z krystalicznych łupków,

opadające tarasami w morze. W żlebach, miejscami, leżał jeszcze śnieg, a na kamiennych progach lód opalizował w słońcu, ale po zboczach spływały już setki strumieni, którymi ciekła wiosenna tundra. Brzeg zdawał się niedostępny: ściana z granitu, żłobiona morzem w fantastyczne kształty. Chodziliśmy wzdłuż niej, tam i z powrotem, jak więzień na spacerniaku, nie mogąc trafić w załudie. Wtem, jak w bajkach czasem bywa, znaleźliśmy się po drugiej stronie...

Czyżby to czary samojedzkich szamanów, o których prawosławni szepczą, że potrafią wywrócić świat na nice?

Kanin Nos

Gorlec żyworodiaszczij, puszica gołubaja, osoka wodianaja, miatlik ługowoj... nie, nie miał racji Szałamow, pisząc, że kwiaty na Północy nie pachną. One pachną, oszałamiająco, wystarczy twarz zanurzyć w dywan tundry. Po słonej woni morza, wodorostów i wiatru delikatny zapach wiosennej tundry uderza do głowy, jak nastojka na złotym korzeniu, który też tu rośnie. Wszędzie go pełno: na brzegach ruczajów, na skarpach nadmorskich, na sopkach. Rodiola rozowaja — święta roślina samojedzkich szamanów. Jej korzeń pachnie różami. Zalany wódką i postawiony w ciemnym kącie na kwadrę księżyca, był od wieków miksturą Pomorców. Przedawkowany, bywał okrutny, jak bezsenność. Tam, na ziemi, jak mówią Samojedy, mając na myśli świat do kręgu polarnego, trudno znaleźć złoty korzeń — poszukiwacze eliksirów życia do szczętu go wyrwali. A tutaj rośnie tak gęsto, że przejść nie sposób, by nie chrzęstnął pod nogą. Tu nawet dziki szczypior kwitnie tajemniczo maleńkimi fioletowymi baziami.

Dwadzieścia godzin szliśmy przez tundrę, w poprzek Kanin Nosa, do Lodowatego Oceanu. Najpierw się wspinaliśmy po skalnych półkach na plateau Kamienia, jak na Kominy Tylkowe w Tatrach. Potem brodziliśmy olenimi tropami, w chlipkich błotach, omijając martwe jeziora ze słojem wiecznego lodu na dnie. Nad jednym z nich znaleźliśmy ślady po czumach, objedzone kości, rogi oleni. Dalej

sopki, sopki, znowu błota, jeziora, błota, sopki. Słońce się skryło za chmurami, trudno pojąć, która godzina, gdzie północ? Gdzie my? Grunt pod nogami miękki, poddaje się, zapada, trzęsawisko, kluczymy, z kępy na kępę, do ostatniego potu. Mięśnie odmawiają posłuszeństwa, w ustach wyschło, śliny brak, wody też. W powietrzu błotne gazy, mało tlenu, omamy: to drzewa się jawią, to wieże miasta, to baraki. Podchodzimy bliżej, baraki nie znikają. Są! Realne, jak Wasia, jak Losza, jak tundra wokoło. Zbutwiałe, z oblazłym tynkiem, zarośnięte jagodami. Piece rozwalone, wszędzie kupy cegieł, połamane żelastwo, tu i ówdzie drut kolczasty się wala. Czyżby zona? Odpoczywamy. Na narach. Półdrzemiąc w półjawie. Stopy pieką, w uszach szumi. Szumi ocean. Ocean...?
Tak, to był Lodowaty. Z okien rozwalonego baraku widzieliśmy bezkres ołowianej barwy, bez horyzontu i bez sklepienia. A na pierwszym planie, na skraju ziemi, wielkie czerwone znamię. Z sierpem i młotem w lewym górnym rogu...

III

Z każdym człowiekiem, który do nas przyjdzie, należy się dobrze obchodzić, nakarmić do syta, odziać i na brzeg wysadzić, aby on, czy ona, mógł innych zachęcić do zbliżenia się z nami i do pokazania tajemnic

swojego kraju. Jeśli który z przybyszy upije się, piwem lub winem, należy to wykorzystać i poznać tajemnice jego serca.
Z Instrukcji wyprawy Hugh Willoughby'ego i Richarda Chancellora, 1553
Kanin Nos
Półwysep Kanin wystaje prawie trzysta wiorst za krąg polarny i sięga 68° 40' szerokości geograficznej północnej, rozdzielając Miezeński Zalew Białego Morza i Czoską Zatokę Morza Barentsa. Półwysep kończy się długim cyplem, zwanym Nosem. Wedle starych mitów Kanin Nos leży na styku świata z zaświatami. Zapewne fizyczna geografia miała wpływ na wierzenia, albowiem dwa morza się tu zlewają i żywioł kipi: sztormy, antycyklony, burze magnetyczne. Na mapie półwysep Kanin przypomina głowę morskiego potwora z rysunków Olausa Magnusa, ilustrujących jego Historię narodów Północy. Późniejsze relacje potwierdzały istnienie potworów na polarnych krańcach ziemi. Być może były one efektem refrakcji, czyli iluzji optycznych, którym często ulegają żeglarze na Północy, gdzie byle drozda można wziąć za strusia, a może, w rzeczy samej, potwory tu mieszkały. Dzisiaj na Kanin Nosie żyje sowiecki duch... Na czubku cypla, w torfiastym błocie, stoi kilka drewnianych domów, przypominających saraje. Belki szare,

wytrawione wiatrem i solą. Między domami kładki, spróchniałe. Jakieś szopy, jakieś składy. Wokół bałagan, beczki po ropie, zardzewiały ciągnik bez gąsienic, ślady mazutu. A na pierwszym planie wielki czerwony plot z emblematami Sowieckiego Sojuza. To ten płot dojrzeliśmy z okien baraku godzinę temu. Na monotonnym tle tundry domów z dala nie widać i mogliśmy przejść mimo, i błądzić dalej. Zatem dzięki tej plamie, jaskrawej

jak jucha na trawie, trafiliśmy w końcu do ludzi. Bo na Kanin Nosie żyją też ludzie.
Na spotkanie wyskoczył śmieszny łaciaty piesek. Merdał ogonem, łasił się do nóg, rad gościom. W słońcu błysnęło szkło lornety, ktoś nas oglądał. Podeszliśmy bliżej. Z pierwszego domu wyszła baba o nalanej twarzy. W ręku trzymała strzelbę. Stanęliśmy jak wryci. Od baby jechało tranem. Jak od leciwej syreny... to była Flora Prokofiewna, feldszerka-bolszewiczka, tak sama się przedstawiła i powiedziała, żeby iść za nią. Powiodła nas w mroczną sień, gdzie wisiały oślizłe sieci, dalej korytarzem po omacku, potem drzwi, kotara ze skór, znów korytarz, jeszcze jedna kotara, kuchnia. W kuchni pieluchy nad piecem, woń sików, jacyś ludzie, rozgardiasz. Posadzili nas za stołem, samogonu nalali, postawili gar uchy z omuli, gorący chleb. Życzliwi, ciekawi przybyszów. Co chwila ktoś nowy zaglądał, niby przypadkiem, mimochodem. Wypiliśmy po stakanie, zapiliśmy uchą. Rozżarzyło nas. Rozkleiło. Wtedy Flora Prokofiewna zażądała paszportów, by dane spisać, toć znajdujemy się w zonie przygranicznej. Na widok mego cudzoziemskiego dokumentu osłupiała. Prokofiewna nigdy nie widziała żywego cudzoziemca...
— Kakoj że eto inostraniec — rzucił z kąta mużyk, którego wcześniej nie zauważyłem — on że swoj, sołowieckij, on na Sołowkach żiwiot.
* * *
Czasami się zdaje, że sam sobie zaprzeczam. Raz zalecam pozycję cudzoziemca w świecie, o którym piszesz, innym razem ją odrzucam, twierdząc, że nie

obserwatorem, nie gapiem powinieneś być, ale twórcą i uczestnikiem

życia, nie w „roli pisarza", który zawsze jest nieco „poza", wszystko jedno, „nad" czy „z boku", lecz jako subiekt „prozy przeżytej jak dokument" (wedle określenia Szałamowa). Antynomia jest jednak pozorna, w istocie bowiem oba punkty widzenia się uzupełniają i piszący zawsze będzie cudzoziemcem, nawet w swojej ojczyźnie, a zarazem wszędzie znajduje się u siebie — na własnej tropie. Warto powtórzyć, że rzecz dotyczy „prozy, przeżytej jak dokument", a nie literatury dokumentarnej czy zgoła fiction.

Wedle paszportu pozostawałem dla nich cudzoziemcem, ale żyjąc między nimi kawał czasu, stawałem się swoim. Bo inaczej cię tu przyjmują, kiedy mieszkasz w hotelach, masz Udostowierienije inostrannogo korriespondienta, dużo baksów i immunitet, jaki ci daje akredytacja, a zupełnie inaczej, kiedy sam okopujesz kartoszkę, potrafisz zimą sieci pod lodem postawić i w tundrze samopas nie zginąć. Tutaj, na Północy, życie nie żart, warunki tu panują srogie, przyroda sama weryfikuje człowieka. Inni zaś mogą jedynie potwierdzić — jak Jura, ów mużyk siedzący w kącie kuchni — żeś swój...

Z Jurą wypiliśmy kiedyś kwaterkę szyła w drodze do Umby. To było moje pierwsze lato nad Białym Morzem. Po długiej zimie, spędzonej na Sołowkach, jak w celi, ledwie lody puściły, wybrałem się powałęsać po białomorskich brzegach. Jeszcze Wasi z Sum-Posada nie znałem, więc byłem zdany na okazję — łapałem statki jak ciężarówki na autostopie. Z Sołowek mnie podrzucili na Pomorski Brzeg, gdzie się tydzień w pojedynkę błąkałem po błotach, potem zobaczyłem Białomorkanał, kawałek Karelii i trafiłem do Kiemi, w sam raz, by zdążyć na pokład GS-a (gidrograficzeskoje sudno), który szedł na Kanin, a po drodze zawijał do

Umby. O tym, by wziąć mnie na Kanin, w ogóle słyszeć nie chcieli, bo zona, bo tam poligon, bo tajemnica państwowa, natomiast do Umby zabrali. Ledwie wyszliśmy z portu, na pokładzie Jura się pojawił, z szyłem i z wędzonym miętusem na zakąskę. Chciał obmyć swoje szczęście, ale nie miał z kim, bo załoga w morzu nie pije. Szczęście?

Tak, Jura był szczęśliwy, bo podpisał kontrakt na kaniński majak. Dotąd pracował w kopalniach Donbasu i życia zaczynał mieć dość. Praca w szybach, wciąż pod ziemią, jak krety. Wcześniej choć zarabiali przyzwoicie, a teraz bieda, strajki, głód. Przestało nawet cieszyć mieszkanie, w którym nie można było okien otwierać, bo pył węglowy osiadał na meblach. W tej sytuacji wyjazd na Kanin to perskie oko fortuny. Tam zarobić można i przyrody w bród. Porybaczyć, postrzelać, miszkę białego zobaczyć. I dla pacana zdrowiej, a to węglem dyszał i chorował bez przerwy. Jakby słysząc, że o nim mowa, na pokładzie pojawił się Piet'ka, synek Jury. A mama wciąż płacze, powiedział, i nie chce świata oglądać. Kat'ka, mistrzyni sportu w gimnastyce na przyrządach, na Dalekiej Północy nie widziała życia. Tam ani pałacu sportów, ani koleżanek, ani telewizora. Tam nawet sklepów nie ma! Ot, baby. Ale Jura był dobrej myśli. Przywyknie, powtarzał, przywyknie. Potem zamilkł. Może zwątpił, może myślami już po Kanin Nosie błądził, a może oniemiał od szyła. Od Kandałakszy szła lekka bryza. Wyspy Olenie wisiały w mirażu, w dali majaczył brzeg. Dopiero w Umbie, kiedy trap spuścili, Jura się raptem ocykał. Wypiliśmy na pososzok (dosłownie: na kostur, a po naszemu: strzemiennego), objęliśmy się po rusku, ucałowaliśmy... Objęliśmy się po rusku, ucałowaliśmy. No proszę, kto by pomyślał, że się

jeszcze spotkamy? I to gdzie? Na Kanin Nosie! Trzeba to obmyć. Jura poleciał Kat'kę budzić, w kuchni rwetes zapanował. Biegali, nosili, mówili jednocześnie, jeden przez drugiego, radowali się. Tylko Prokofiewna z tonu nie spuściła i dowiedziawszy się, że zbieram materiał do książki o Białym Morzu, inwigilowała: co piszę, z jakim nakłonem i czy przypadkiem nie przeciw Ruskim? Moje fabulacje widać ją ukontentowały, bo nieco już łagodniej wyjaśniła, że żyją tu w kolektywie, dziewięcioosobowym (nie licząc Piet'ki i małej Warwarki), razem obsługują majak i stację meteorologiczną, i razem klepią

biedę po upadku władzy sowieckiej. Wcześniej żyli dostatnio, prowiant i poczta docierały regularnie, sanitarny helikopter przylatywał na każde wezwanie, zarobki też były niczego sobie, a teraz... Tfu, lepiej nie mówić. Bez dziczyzny i ryby, które sami zdobywają, pewnie by przyszło zdychać z głodu. Ostatnio papierosów zabrakło i mużyki trawę kurzyli, półtora miesiąca. Dlatego wszyscy, jak jeden mąż, będą głosować na Ziuganowa, choć prawdę powiedziawszy, jemu też nie dowierzają, bo kto długo wyciera krzesła w Moskwie, temu mięknie zad. Tutaj, na rubieży byłego Sojuza, życie pośladków nie głaszcze. Stąd wyraźniej widać brednię reform, chaos pierestrojki i chytre mordy demokratów. Prokofiewny nie oszukasz, ona Stalina przeżyła i Jelcyna przetrzyma. Wczoraj skończyła sześćdziesiąt dwa lata, ale wieku swojego nie czuje i jeszcze pochuliganić lubi. To ona w czasie sierpniowego puczu namalowała na płocie sztandar Sojuza, by z morza, z daleka widzieli, że duch sowiecki nie zginął...
W trakcie inwigilacyjno-ideologicznej biesiady Prokofiewna nie przestawała dyrygować kolektywem. Stół zastawiono obficie. Czegoż tam

nie było? I sterlet w galarecie z żurawiny, i pierogi z nelmą, i pierogi z szochurem, i marynowane bekasy, i pasztet z pardwy, a na gorąco resztki wczorajszego głuszca i płuca olenie w domowym winie, wreszcie, na środku stołu, wiadro samogonu z moroszki. Prokofiewna z dumą i goryczą zarazem podkreśliła, że oprócz mąki na pierogi wszystko sami zdobyli, strzelbą i wędką. Zaczęły się toasty, zaniuchiwanie, zapijanie, zakąszanie. Nie wiem, czy mocny samogon to sprawił, czy wychodziło zmęczenie, ale miałem wrażenie, jakby wszyscy naraz opowiadali, każdy swoje życie. Polifonia losów, z której wyławiałem wątki, zaledwie strzępy wątków. Ot Flora, feldszerka, całe życie na Północy: w łagrach, w zonach specjalnych, na polarnych stacjach. Albo mechanik Dima, „afganiec", gadający w kółko o wojnie, do śmiechu, do łez, do czkawki. Lub wujek Kola, który odsiedział piętnaście lat za zabójstwo żony, potem wyszedł, ożenił się znowu i uciekł na Kanin, by drugiej nie ubić. Lub Kat'ka, medalistka w skokach przez konia, teraz roztyta, rozpita,

z białymi migrenami. I Pasza-bicz, czyli „były inteligentny człowiek", jak sam rozszyfrowuje abrewiaturę, kiedyś poeta, bard, dysydent, a dzisiaj wszystko mu jedno. Wątki się plotły, gmatwały, zlewały w jedną dolę, w jedną rzeźbę. Jakbym oglądał, wciąż ten sam, wolno obracający się kamień, wycyzelowany do bólu. Ile czasu mogło upłynąć? Nie wiem. Jeśli samogonem mierzyć, to sporo: pół wiadra. Raptem zgrzytnęło, kamień stanął, znieruchomiał... To gitara. Zrobiło się cicho. Zupełnie cicho. Gitara znowu zgrzytnęła. Nie od razu pojąłem, co Pasza śpiewa, rublem po strunie przeciągając, bo zaczął szeptem, jakby do siebie. Przez okno sączyła się sina poświata, powlekając zarówno potrawy, jak i twarze

biesiadników odcieniem wosku, który nadawał i jadłu, i ludziom charakter martwej natury. To był Tiutczew, Pasza śpiewał Silentium:
Kak serdcu wyskazat' siebia? Drugomu kak poniat' tiebia? Pojmiot li on, czem ty żiwiosz? Mysl izrieczonnaja jest' łoż', Wzrywaja, wozmutisz kluczi, — Pitajsia imi — i mołczi.
Tarchanow
Z Kanina wyruszyliśmy nazajutrz, we mgle. Tundra parowała mlecznymi dymami. Słońce, jak plasterek cytryny, przeświecało przez tuman. Jura z Kat'ką wyprowadzili nas na dawny samojedzki trakt koczowniczy, zwany letnikom, bo można po nim latem jeździć na nartach (rodzaj sań na Północy). Letnik biegnie środkiem tundry, wspina się na plateau Kamienia, przecina Wielką Bugrianicę, Szojnę, Kiję i dochodzi do Czyży. Jura nam objaśnił, by się go trzymać do pierwszych sopek, a potem wzdłuż strumienia zejść do morza i dalej, już brzegiem, do załudia, gdzie zostawiliśmy „Antura". Mgły rzedły, słońce paliło, dzień zapowiadał się znojny. Po paru wiorstach zwolniłem kroku, chciałem być sam. Umówiłem się z Wasią, że poczekają na mnie z Loszą

koło strumienia, przy którym mamy skręcić ku morzu, i odczekałem chwilę, aż znikną za horyzontem. Aż zmilkną ich głosy. Wokoło rozpościerał się pierwotny świat. Ani śladu cywilizacji, kultury, historii. Brak przeszłości. Żadnych ruin, żadnych zabytków. Zupełnie pusto, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. Stąd może to osobliwe poczucie, będące udziałem włóczęgów Dalekiej Północy, poczucie kresu: świata, życia. Rzeczywistości.
Dalej stary trakt Samojedów wiódł przez rdzawe błota, kluczył, wił się.

Czasami ginął zupełnie w grzęzawiskach, w trawie, innym razem smugą się kładł, jak cieniem, na krzewinkach moroszki. Raz nawet miałem wrażenie, że kreśli ósemkę, bo mijane kępy zdały mi się znajome, i wtedy wspominałem „przypowieść o tropie" Samojeda Wyłki. Tyko Wyłka (1882-1960), myśliwy, bajarz, wedle niektórych szaman, samorodny artysta malarz (za album z rysunkami otrzymał od cara Mikołaja II sztucer typu Winchester i tysiąc naboi!) i przewodnik wypraw polarnych, i sowiecki prezydent Nowej Ziemi, przyjmowany na Kremlu przez Kalinina, tenże Wyłka lubił powtarzać, że każdy ma w tundrze swoją tropę, tylko jemu przeznaczoną; tropę, na którą trafić niełatwo i można całe życie przechodzić mimo. Często się zdarza, że ją przecinasz parę razy dziennie, idąc po wodę czy po drwa, a bywa, że tropisz na niej olenia i zbaczasz jego śladem w iwy gąszcz. Lecz jeśli posłuchasz swojej tropy, uczył Tyko Wyłka, ona cię powiedzie jak pieśń i sama się obróci na drugą stronę, nawet nie zauważysz kiedy. I dalej pójdziesz, w głąb tej samej tundry, bo ani tropa, ani tundra się nie kończą tutaj...
Tutaj? Tam? Dla Wyłki to dwie strony jednej i tej samej drogi, którą próbował utrwalić na płótnie, w pieśniach. W jego obrazach widać skupienie, tak charakterystyczne dla północnej przyrody, skoncentrowanej na niewielu formach, w paru tonach, przede wszystkim w świetle. To dzięki światłu landszafty Wyłki są przezroczyste — prześwieca przez nie spokój wieczności. Nawet w banalnych, zdawałoby się, scenach rodzajowych z życia Samojedów — Na polowaniu czy Przy ognisku — widać rzeczywistość bytu codziennego zastygłą w świetle, jak w bursztynie, ale

prawdziwy kunszt Wyłki można ocenić dopiero w jego północnych pejzażach — w Nieznanej zatoce, w Lodach Karskiego Morza, w Niedźwiedzich sopkach — które nie tyle obrazują, co wyświetlają na płótnie tamten świat. Tamten? Ten? W sztuce (i w życiu) Wyłki to różne strony jednej i tej samej rzeczywistości, jak wstęga błysków na ciemnym niebie Zorzy polarnej jest zaledwie odbiciem (niczym negatyw) Tropy w tundrze, a ślady pędzla — tropem artysty...

Gdzieś daleko huknęła Wasina fuzja. Odpowiedziałem strzałem. Dopiero teraz do mnie dotarło, że słońce zatoczyło pół nieba, czyli pół doby upłynęło, od kiedy zostałem sam. Widać wyziewy mokradeł przytępiły poczucie czasu, bo szedłbym o zakład, że godzina minęła. Do „Antura" dobrnęliśmy w środku nocy. Tymczasem wiatr zakręcił przeciw słońcu, które zawisło nad Cyplem Tarchanowa jak bąbel krwi.

Wielka Bugrianica

Rano szałonnik uderzył, ledwie wyszliśmy z załudia. Niebo w okamgnieniu się skryło. Zewsząd woda. Morze stanęło dęba i pokryło się pianą. Jej żółtobiałe płaty padały na pokład. Powrót za grzędę był wykluczony. W tej sytuacji zaryzykowaliśmy wejście w Wielką Bugrianicę, dwadzieścia wiorst niżej, najdogodniejszą do ukrycia się — wedle Locji — rzekę w pobliżu Kanin Nosa. Z trudem wypatrzyliśmy ją w ścianie piany i wody. Brzeg zlewał się z morzem w lornecie w jednolitą ołowianą kipiel. Tylko w jednym miejscu woda burzyła się burobrudnymi wirami. To było ujście Bugrianicy, jej nurt na koszkach się kłębił. Koszki to podwodne łachy piachu, przy małej wodzie obsychające, a przy pełnej — złowieszcze. Zwłaszcza w czasie sztormu, kiedy nie masz ani czasu, ani możliwości dna kołami badać. Zatem, jak zwykle w takich momentach,

pozostaje Wasina intuicja i szczypta fartu: Locha do wajchy, ja na gaz, Wasia za ster. W Wielką Bugrianicę wśliznęliśmy się na ostrzu miecza.

Szałonnik się wzmaga. Już drugą dobę dmie. Stoimy w zakolu rzeki, osłonięci od morza jedynie szeregiem bakłyszy, czyli kamieni zalewanych przypływem. Marne to schronienie, ale wyżej nie puszczają skalne progi. Brzegi Bugrianicy są strome, strumieniami żłobione, porośnięte mokrym mchem. W 1877 roku myśliwy Foma Uwakin znalazł tu umierającego Nikołaja Zografa, kierownika jednej z pierwszych naukowych ekspedycji na Kanin. Samojedy towarzyszący Zografowi, zorientowawszy się, że uczony konserwuje okazy zbieranej fauny w spirytusie, ukradli i wypili kolekcję, a profesora porzucili w tundrze. W przybrzeżnej niasze (grząski, czarny ił) sterczy zbutwiała łódź na paru przeżartych rdzą kotwicach, nieco wyżej, w zaroślach olbrzymich liści, podobnych do łopuchów, stoi na wpół zgniła chata. To ostatki rybackiego stanowiszcza, do niedawna włości kołchozu z Szojny. Dzisiaj koło chaty resztki sieci się walają, wyszczerbiony topór, dziurawe wiadro, okopcony czajnik. W środku ślady zwierząt, puste butelki. Na jednej rodzima naklejka, jak echo z kraju ojczystego: „Wódka Wyborowa".
Szałonnik nie ustaje. Trzecią dobę wyje. Nieustanny wizg w wantach, w głowie, do mdłości. Fale przeskakują bakłysze i grzmocą z furią o burtę. Wiatr nas kładzie na bok. Walimy maszt, nie lada wyczyn w takiej kołysce. Wszystko lata. Kotwice brodzą w mulistym dnie, nie trzymają się. Na małej wodzie, co dwanaście godzin, przestawiamy je (cztery kotwice, po sto kilo każda), po pachwiny w szlamie. Woń gnicia zapiera dech. Siarkowodór, zapach czarta.

Szałonnik. Czwarta doba i końca nie widać. Ziąb przenikliwy. Godziny się wloką, jak lata „pod celą". Jemy, śpimy, na okrągło rżniemy w burę. Chwilami próbuję czytać, coś notować, ale myśli się rozbiegają. Zabijam więc czas błatnymi słówkami, które mi Wasia podpowiada. Ot, dla przykładu, ciekawe polonicum: poliak (takoż mar) to wor odinoczka na fieni, czyli złodziej działający w pojedynkę.
— Ty, Mar, kak nastojaszczij poliak, worujesz naszu russkuju diejstwitielnost' i prodajosz jejo w Pariże, kak swoju...

Morżowiec

Zły urok czy lekcja pokory? Zaczarowane koło polarne, którego nie sposób przekroczyć. Dwie doby odczekiwaliśmy jeszcze w Bugrianicy, aż się Białe uspokoi i kołysanie zacichnie. Zamierzaliśmy wziąć Woronkę jednym chodem: dwieście dwadzieścia wiorst odkrytej wody. Kiedy wreszcie wyszliśmy, morze było gładkie, dmuchała morianka, w żaglach pełno, a na trąbce Miles Davis. Nad Konuszynem obłoczek się pojawił. Potem drugi, trzeci. Morianka raptem zdechła, żagle opadły, Sketches of Spain się skończyły. A w zalewie Miezeni pogoda ostatecznie skurwiłas' — w Wasinym języku — i w chariu zaduło. Mimo to szliśmy, póki widoczność pozwalała. W połowie zalewu mgła wypełzła. Tuman z wiatrem w Białym Morzu to mogiła. Można zdrowaśki odmawiać. Tu nawet kompas nie pomoże, bo Woronka słynie z anomalii magnetycznych. Jednym Wasinym słowem: hana. Koniec. Wybawiła nas sowa polarna. Wielkie białe ptaszysko. Bezszelestnie wyłoniła się z tumanu, przecięła nasz kurs i zniknęła w tumanie. Jak przywidzenie. Skręciliśmy za nią. Po chwili zamajaczył przed nami ląd. To był Morżowiec. Gdyby nie sowa,

poleźlibyśmy w Gorło, na Kiedowskie Koszki...
Morżowiec leży u wylotu Gorła, na samej linii kręgu polarnego, dwadzieścia osiem wiorst od Zimowego Brzegu. Duża, płaska, granitowa wyspa, owalnego kształtu (około czterdziestu wiorst w obwodzie), pokryta plastrami lodu i ziemi. Podejść do niej trudno, bo corocznie brzegi zmienia, osuwając się stopniowo w morze i tworząc wokół siebie niebezpieczne mielizny, jak Ławica Rozbójników, na której nieomal utknęliśmy, kryjąc się przed radiolokatorem. Bo chodzenie po Białym Morzu to nie tylko walka z żywiołem, ale także sztuka unikania wojskowych lunet i radarów. Zwłaszcza gdy się chodzi bez pozwolenia. We mgle i schować się łatwiej, i zginąć prościej. Z racji swojego położenia Morżowiec jest doskonałym punktem obserwacyjnym, zarówno do śledzenia niepożądanych ludzi, jak i do polowań na wodnego zwierza. W nazwie wyspy zachował się nawet ślad konia morskiego (morża), doszczętnie

już wytrzebionego w Białym Morzu. Jeszcze do niedawna Morżowiec był jedną wielką rzeźnią — głównym miejscem uboju bielkow, czyli niemowląt tiuli.
Z początkiem zimy grenlandzkie tiulenie ogromnymi stadami zachodziły w Białe Morze i tutaj, na dryfujących lodach, samice się szczeniły. W lutym i marcu lody ze zwierzętami niosło na północ, wzdłuż Zimowego Brzegu do zalewu Miezeni, gdzie młode nabierały krzepy i uczyły się wody. Na początku maja stada odpływały w Ocean Lodowaty. I cały ten czas szło w Białym Morzu polowanie na kożu (skórę), jak nazywali tu tiulenie. Zwłaszcza na bielkow, których białe, puszyste futerka były w

najwyższej cenie. Polowano artelami, złożonymi z dziesięciu-piętnastu łodzi, po pięciu-siedmiu mużyków w każdej. Mużyki podchodzili na łodziach do tiulenich zaliożek, gdzie wylegiwało się do pięciu tysięcy „skór" na kilometr kwadratowy, wyskakiwali na lód i bili tiule pałkami po głowie. Ani bielki, ani ich matki nie uciekały, bielki bowiem nie umiały jeszcze się poruszać, no a matki zostawały przy swoich maluchach. Od razu też, na miejscu, ściągali z nich skóry, które razem z sadłem odprawiali na brzeg, a gołe tusze zostawiali na lodzie, pokrytym grubą warstwą zamarzniętej krwi. Rozkwit przemysłu zwierobojnego przypadł na początek XX wieku. Zimą 1901 roku na Morżowcu żyło czterystu czterdziestu mużyków w siedemdziesięciu pięciu chatach. Później artele mużyckie zastąpiono brygadami kołchoźników, do uboju zwierząt zaś zaczęto używać helikopterów. Tylko pałki zostały z dawnych czasów, i podobnie bili nimi tiule po głowach. Z rozwojem techniki gwałtownie zmalało pogłowie grenlandzkiego tiulenia, a z rozpadem Sojuza spadło zainteresowanie „skórami". Dzisiaj chłodnie zwierobojnych kołchozów są zawalone towarem, którego nikt nie odbiera.
Wreszcie wiatr rozwłóczył mgłę. Morżowiec wyłonił się przed nami w pełnej krasie. Gdzieniegdzie jeszcze strzępy tumanu się snuły, rosa na jagielu migotała w słońcu, a Zołotucha, jedna z dwóch rzeczek wyspy, parowała wszystkimi barwami tęczy. Morżowiec był pusty, bezleśny i bezludny, jeśli nie liczyć wojskowych. Chaty

myśliwskie dawno zbutwiały i rozsypały się w proch. Jakby czas zawrócił i pobiegł wstecz. W 1856 roku Maksimow zanotował w notatniku podróżnym, że na wyspie Morżowiec nie ma domów i że nikt tutaj nie

żyje, oprócz obserwatora i obsługi majaka.

Kiedy

Dalej poszliśmy pod wiatr na motorze. Na gołym Morżowcu byliśmy zbyt wystawieni: i sztorm nas mógł sponiewierać, i straż pograniczna. Lepiej licha nie kusić, zwłaszcza że Gorło niedaleko i brzegi tam otwarte dla żeglugi. Co nie oznacza, że odtąd będziemy iść legalnie, tu nawet otwarte jest nie dla każdego, zwłaszcza dla cudzoziemca. Tutaj należy zameldować, dokąd idziesz i po co, sporządzić zawczasu marszrutę wyprawy, by odpowiedni organ mógł ją zaaprobować, uzyskać zgodę na piśmie... Bez zgody na papierze, jak bez błogosławieństwa w monastyrze, wszelkie działanie poczytują tu za samowolę, za ignorowanie urzędów, władzy, autorytetu. Lecz, mimo wszystko, pewna różnica między otwartym brzegiem, ku któremu zmierzaliśmy, i zamkniętymi zonami, które tym samym opuszczaliśmy, dodawała otuchy, zdawało się bowiem, że największe kłopoty mamy już za plecami. Innymi słowy, wracaliśmy na ziemię, jak nazywają Samojedy tę stronę kręgu polarnego...

Parę wiorst za Cyplem Woronowa wpada w morze Wielka Kiedowka, którą znaliśmy z ubiegłego roku. Dno tu piaszczyste, można obeschnąć, odpocząć. Na prawym brzegu rzeki, nieco powyżej ujścia, stoją Kiedy, typowe stanowiszcze rybackie: dom, skład, parę szop, bania. Stanowiszcze to sezonowa osada, dokąd mużyki co roku wyjeżdżają na okres połowów, zostawiając we wsi kobiety i dzieci, często na wiele miesięcy. Białe Morze wiekami szlifowało pomorski byt, jak jego fale toczą brzeg, i nadało życiu Pomorców formy odpowiadające surowej przyrodzie. Fundamentem była męska wspólnota, której korzenie sięgają zamierzchłych czasów kolonizacji Północy, a kształt zasadniczy, w postaci

artelu rybackiego, wypracowano na murmańskich połowach dorsza. Wspólnota obejmowała wszystkie kategorie wiekowe, od podrostków do starców, miała swoją hierarchię, podział ról, obyczaje, język. Dla chłopców była zarówno szkołą rzemiosła, jak i życia, z całym arsenałem prób inicjacyjnych, poprzedzających kolejne szczeble wtajemniczeń. We wspólnocie obowiązywał srogi kodeks postępowania, określony bezlitosnym prawem morza, a karą najwyższą było wykluczenie z artelu, bo w pojedynkę człowiek nie miał szans przeżycia na Północy. Ów kolektywizm, narzucony przez przyrodę, zyskał religijne uzasadnienie w prawosławnych ideach sobornosti (wspólnoty) i posłuszanija (posłuszeństwa), szerzonych nie tylko w dobrach monastyrskich, których wszędzie tu było pełno, ale i w skitach staroobrzędowych, których było jeszcze więcej. Z drugiej strony należy pamiętać, że wśród przodków Pomorców dominowali ludzie niespokojni, często zbiegowie z pańszczyzny, raskolnicy, poszukiwacze przygód, zatem wspólnoty przez nich tworzone były swobodne i opierały się na szanowaniu autorytetów oraz praw wytoczonych morzem. Bolszewicka kolektywizacja, na pozór niewiele zmieniając w tradycyjnym bycie Pomorców (wspólnotę nazwano kołchozem, artele — brygadami), w rzeczy samej ukatrupiła ducha pomorskiego kolektywizmu, zastępując go szyłem i planem.

Dawniej Kiedy wraz z Morżowcem były ośrodkiem przemysłu zwierobojnego na Białym Morzu. Zjeżdżały tu na sezon artele z Miezeni, Kojdy, Siomży, z Zimowego Brzegu. Do pół tysiąca mużyków czasami bywało. Kopa chat. Ze spadkiem popytu na skóry tiuli Kiedy straciły na znaczeniu. Dzisiaj wystarcza sześcioosobowa brygada: naczelnik,

mechanik, dwóch czyścicieli ryb i dwóch traktorzystów. Obsługują tonie rybackie od Majdy do Kojdy, ponad pięćdziesiąt wiorst wybrzeża. Na każdej toni, co dziesięć-dwanaście wiorst, żyje dwóch, trzech, czasem czterech rybaków, którzy dwa razy na dobę, podczas odpływu, wybierają sieci. Do zadań brygady należy objechać wszystkie tonie, zebrać rybę, oczyścić, zasolić i odprawić do kołchozu w Majdzie. Gdy do nich zaszliśmy, całą brygadą oprawiali pinagora. Różowa ikra, jak krwawa piana, oblepiała im ręce. Z

pinagorów tylko ikrę solą, tuszami bydło skarmiają, a w ogóle nimi gardzą i czekają na pochód siomgi. Siomga razem z pinagorem nie chodzi. Naczelnik nas poznał, zaprosił do izby, obiecał banię. Zanim drew narąbaliśmy, brygada skończyła robotę. Umyli ręce i siedliśmy do stołu. Smażona flądra, ikra małosolna, czarny chleb i po stakanie spirtu. Spirt jest przydziałowy, od kołchozu, dwa stakany dziennie na łeb. Za stołem rozwiązali języki i pokryli barokowym matem cały świat — źródło swojej biedy — od Jelcyna do Koli. Kola to przewodniczący kołchozu. Kiedyś byli „bohaterami pracy" i zajmowali drugie miejsce w Sojuzie, a dzisiaj mają miliard długów i żadnych perspektyw na wyjście z jamy. Wyjechać stąd nie sposób, bo bilet na samolot kosztuje trzykroć więcej, niż wynosi pensja, której miesiącami nie dostają. Latem jeszcze można jakoś wyżyć, na rybie i jagodach, ale zima... O zimie lepiej nie myśleć. Reformy, prywatyzacja, kapitalizm — jeden blin. Niechaj Gajdary się weń zawiną! Na Terskim Brzegu rybne tonie już w arendę oddają. Komersanci płacą, wszelką swołocz na sezon najmują, a miejscowe mużyki własne łapy ssą. Ot tak, czego komuniści nie zdołali rozwalić, to demokraci wykańczają.

Tutaj, na Pomorzu, od wieków żyli razem: razem łowili na wspólnych toniach, w morzu pomagali jeden drugiemu, połów dzielili po równo, niezależnie od fartu, a jeśli mużyk w morzu ginął, brali jego rodzinę na utrzymanie. A teraz? Każdy wilkiem patrzy i dla siebie zgarnia. Wolny rynek, konkurencja, komercja? O jakiej konkurencji może być mowa, jeśli mafia z miasta dysponuje statkiem chłodnią, błatem i bankowym kredytem, a nasz brat dziurawą łajbą i starymi sieciami? Wolny rynek, sam pomyśl, jeden sklep w środku tundry, samolotem produkty dowożą i ile zechcą za transport narzucić, tyle z nas potem złupią. Dawni przybysze za „długim rublem" nachapali swoje i zwiali, a swojskim gdzie się podziać? Zdychać przyjdzie...
Twarze za stołem zatrzepotały jak ryby i znieruchomiały. Zamilkli. Dopiliśmy spirt. Czas łowuszki sprawdzać. Losza zostaje, by pilnować bani, a my z brygadą schodzimy na brzeg. Łowuszki to zmyślnie skonstruowane sieci, rodzaj ogromnego niewodu, naciągnięte na mocne żerdzie,

wbite w morskie dno. Całość tworzy zaporę, na cztery metry wysoką, ustawioną prostopadle do nadbrzeżnej skarpy i sięgającą pół kilometra w morze. W kilku miejscach sieci zszyto w matnie, wielkości parkietu dyskoteki w średnim barze. Przypływ zakrywa łowuszkę i ryba, idąc wzdłuż brzegu, utyka nosem w sieć, szuka przejścia i trafia w matnię. Potem woda opada, ludzie podjeżdżają na traktorze i zbierają ryby z piachu, jak kartofle z pola. Czasem tonę, czasem półtorej. Tym razem pinagora było niewiele, znak, że siomga wkrótce pójdzie. Podszedłem bliżej. Ryby, podobne do gumowych zabawek dla dzieci do kąpieli, leżały

na wpół zakopane w piasku, jakby się chciały same płetwami zagrzebać.

Zimowa Zołotica

O trzeciej nad ranem zażyliśmy bani. Wychlastaliśmy się, wyparzyliśmy się, wypociliśmy się. Ech, ruska bańka w środku tundry! Potem boso w moroszkę, goło w jezioro, mocny czaj i w drogę. Gorło robiliśmy powoli, niczym przechodnie niespieszni, wzdłuż Zimowego Brzegu, lustrując ląd przez lornetę. Wstawał dzień: na toniach ruch, traktor przejechał, dymy z chat się snuły, sieci rozwieszali, drwa z morza wyławiali, z łodzi wyczerpywali wodę, ryby przebierali i patrzyli na nas, osłaniając daszkiem z dłoni oczy przed słońcem. Majda, Megra, Ruczi. Barometr spadał. Cypel Incy, najwęższe miejsce w Gorle. Przylądek Niedźwiedzi, początek lasu, pierwsze drzewa. Na wysokości Małej Towy zakat się podniósł — zachodni wiatr. Przybój rósł. Dodaliśmy gazu. Tataricha. Towa. Morze pociemniało w oczach. Za Ostrym Cyplem rozpętało się piekło. Do zimowej Zołoticy zostało sześć wiorst. Zakat oszalał. Zerwaliśmy żagle. Wysoki Okat coraz bliżej... ujście rzeki... farwater... z lewej barka... boje tańczą z boku kosa... Wasia ryczy... bar... przeszliśmy!

Stajemy naprzeciw kołchoźnianych składów w Dolnej Zołoticy. To najstarsze osiedle na Zimowym Brzegu, jego początki sięgają końca XVI wieku. Widać tutaj

tradycyjny dla Pomorza „gniazdowy" układ wsi, powstałej w procesie łączenia się niewielkich siół w jeden organizm, oraz typową, przybrzeżno-rzędową zabudowę. Tu i ówdzie zachowały się jeszcze — na wpół zatarte ślady bogatej przeszłości — stare, przedrewolucyjne drewniane domy o suto rzeźbionych fasadach, z fantazyjnymi gankami, ogromne. Lecz

dominuje bylejakość, kołchoźniany sznyt: blacha falista, papa, szyfer, pustaki. I wszędzie gdzie okiem sięgnąć wala się żelastwo, odpady i śmieci. Przede wszystkim beczki, tysiące zardzewiałych beczek po ropie, benzynie i oleju, którymi dosłownie zarzucone są brzegi Białego Morza, zwłaszcza w pobliżu siedzib ludzkich. Wśród pustych i pełnych sporo, darmowego paliwa tu w bród. Ale co tam beczki, paliwo, tutaj traktory można znaleźć, całe ciągniki, porzucone po pijaku w błocie, w piachu. Leżą na plaży jak szczątki zwierząt przedpotopowych, zżerane korozją, solą morską. Na każdym postoju, ledwie kotwice zarzucimy, Wasia z Loszą skrupulatnie obchodzą miejscowe zwałowiska i często przynoszą łupy. Tylko drutu miedzianego już z pół wiorsty nabrali, a z detali, znalezionych po drodze, nowy silnik można by złożyć. Wyprawy swoje nazywają zachwatom, a zdobycz priwatizacijej, w czym widzę wpływy telewizji, epatującej ostatnio widzów grabieżami w Czeczenii i rosyjskimi reformami...

Lecz w Zimowej Zołoticy trafiliśmy na grabież o takim rozmachu, że chłopaki, zapomniawszy o zwałowisku, zagapili się. Na kosie u wejścia w rzekę sterczała barka, którą przybój wyrzucił z morza. Jak się potem wyjaśniło, kapitan był tak pijany, że się w farwater nie zmieścił. Na barce wieziono produkty dla kołchozu, częściowo już na przyszłą zimę: cukier, mąkę, olej, konserwy i wódkę! Informacja o wódce przebiegła po wsi jak iskra. Mużyki skoczyli do łodzi, nie zważając na sztorm. Rzecz jasna, nie do wspólnej akcji ratowniczej, a po szakalemu rwać zdobycz. Tymczasem barkę przechyliło i woda zaczęła zalewać luki. Czasu było mało, przybój narastał. Mużyki wtargnęli na pokład, żywo kułakami młócąc. W morze poleciały worki z cukrem, worki z mąką, jakieś kartony, pudła, byle do

wódki się dobrać. Ktoś wpadł do wody, kogoś przygniotło. Po brzegu biegała

tłusta kobieta, załamując ręce. To kierowniczka sklepu, zarządzająca składami kołchozu. Wreszcie znaleźli gorzałę. Wybuchła draka. Każdy chciał skrzynkę wytaszczyć, a luki małe, tylko po jednym wypuszczają. Parę skrzynek uronili w morze i kilka twarzy rozbili do krwi, zanim przyszli po rozum do głowy i w kolejce grabież dokończyli. Po czym się rozpłynęli na łódkach jak zwidy i gdyby nie resztki tektury, pływające wokół barki, to pomyśleć by można, że to był wątek fabularny, a nie kawałek życia.

Później pili, na umór, do prosiaczego wizgu. Zolotica zahukała. W nocy sztormić przestało, z morza wstała mgła, weszła w rzekę i po wsi się rozpełzła. Lepka, szara breja, pełna skowytów i kwików, które po wodzie się niosły. Nad ranem mgła osiadła i obnażyła rzeczywistość, skacowaną. Na rzece pływały puste butelki, szczątki skrzynek, nadpalony materac, kawałki styropianu, drewniana łódź do góry dnem, zupełnie nowe sieci, rozmokła paczka białomorów, okulary przeciwsłoneczne z plastiku, rozpruty waciak, czerwona boja, tytułowa strona „Prawdy Siewiera", zewłok psa, plamy ropy... Podnieśliśmy kotwice.

Anzer

Wzięliśmy kurs na południowy zachód, zamierzając przeciąć zalew Dwiny i wyjść na Żyżgin, skąd do Sołowek ręką podać. Na wysokości Cypla Wieprewskiego oderwaliśmy się od Zimowego Brzegu. Gorlo mieliśmy za sobą. Szliśmy na żaglach, dosypiając na zmianę. W czasie mojej wachty do „Antura" podeszło stado biełuch. Parę wiorst płynęły za nami, podobne

do śnieżnobiałych poszew, nadymających się przy płukaniu. Z naprzeciwka dryfowały belki z rozbitych tratw, którymi Dwiną spławiają las. Na jednej siedziało pięć mew, jak w tramwaju. Od czasu do czasu wyłaniała się z wody kształtna główka ciekawskiej nerpy albo tępy łeb morskiego zająca w pogoni za ławicą śledzi. Niekiedy, nad samą wodą, przelatywały dzikie kaczki, lub wysoko, ledwie widoczne pod słońce, klucze żurawi. Za to ludzi ani śladu, aż po widnokrąg. Nie dochodząc

do Żyżgina, skręciliśmy na zachód. Tam, na horyzoncie, w rozjarzonym mirażu, drżał Anzer...
Zatem Sołowki! Anzer to druga pod względem wielkości wyspa Sołowieckiego Archipelagu, leżąca na jego północno-wschodnim krańcu. Z daleka widać Golgotę, zwielokrotnioną przez refrakcję: białe piętno cerkwi na górze zbiera światło słoneczne, promienie załamują się w wilgotnym powietrzu, grają tęczą... Wtem, co to? Podchodzimy, oczom nie wierząc: Anzer stoi do góry nogami, Golgotą w dół, i wygląda jak atomowy grzyb. To złudzenie optyczne, rzecz jasna, ale tak wyraźne, że nieswojo się robi. Z bliska wszystko wraca do normy. Potem cypel Kałgujew zasłania Golgotę, idziemy wzdłuż brzegu do Troickiej Zatoki, na pełnej wodzie przeskakujemy kamienne progi i rzucamy kotwice koło pustelni świętego Eleazara. Wokół szumi las, iwan-czajem pachnie, pusto, ni żywego ducha, tylko gdzieś daleko, w głębi wyspy, dzięcioł stuka. Decydujemy, by tu przenocować, choć do domu zostało pół wody zaledwie. Chcemy z drogą się pożegnać, obmyć kurz...
Wasia na tę okazję trzymał specjały: szyło na złotym korzeniu i słój tuszonki z łosia. Losza nazbierał dzikiego szczypioru i parę tłustych

kumży złowił, wprost na patelnię. Kumże, podduszone we własnym sosie, tajały w ustach. Wypiliśmy za drogę. Szyło żgnęło jak nożem i rozlało się blaskiem w głowie. Słońce tymczasem siadało za Golgotą. Chram pod światło wyglądał jak dziura w niebie. W 1710 roku starzec Jezus zobaczył tam Matkę Boską, która mu powiedziała, że cerkiew kamienna na tym miejscu stanie — cerkiew Ukrzyżowania Pańskiego — i że owa góra będzie drugą Golgotą — krwią spłynie. Losza mnie spytał, czy to ten sam Jezus, o którym prawosławni mówią, że to ich Bóg? Nie, Losza, odpowiedziałem, to był monach Hiob, spowiednik Piotra Wielkiego, i widać zbyt wiele wiedział o carze, bo trafił w końcu na Sołowki, pod ścisły nadzór. Tutaj żył długo, milcząc i poszcząc w odosobnieniu, aż dostąpił schimy, czyli godności wielkiego pokutnika, i przyjął imię Jezusa. W miejscu, gdzie zobaczył Matkę Boską, zbudował pustelnię i postawił drewniany chram. W XIX wieku zbudowano tam kamienną cerkiew. Za czasów SŁON-a

to była żeńska zona, trzymano w niej narkomanki, prostytutki i błatniaczki chore na syfilis, a wedle niektórych relacji — także część duchowieństwa katolickiego. Dzisiaj tam ruiny sterczą, pokryte wulgarnymi graffiti i zawalone kupą gruzu. Wśród prawosławnych krąży podanie, że Rosja dopóty się nie odrodzi, dopóki chramu na Golgocie Anzerskiej nie odbuduje...3

Pssst! Wasia dał znak, by zamilknąć. Nad brzeg zatoki wyszedł z lasu biały oleń. Byk-samotnik. Stanął nad wodą, chwilę wietrzył morze, potem głowę skłonił, jakby w lustro patrzył. Był od nas na strzał.

Sołowki, polowa marca, za oknem zamieć, świata nie widać. Dopisuję

Kanin Nos, czekając na samolot, którym chcę wysłać tekst do „Kultury". Dzisiaj z nieba śniegiem wali, moriana dmie, aż dolne wieńce domu trzeszczą, i trudno uwierzyć, że akapit temu siedzieliśmy na Anzerze, pojadając kumże i tuszonkę z łosia. Nazajutrz było słońce, pomyślna bryza, dzień jak kryształ i ostatnie wiorsty robiliśmy spacerowym krokiem. Do Zatoki Pomyślności, teraz skutej lodem, weszliśmy na żaglach, z muzyką. Tusz, powitania, radość, smak wygranej, a za plecami półtora tysiąca wiorst. Potem minęło parę tygodni, trochę gości, trochę książek i zatęskniłem za morzem, za tundrą. Za tamtą stroną kręgu polarnego. Czasami wracały obrazy, twarze. Szarapow, Tańka, Flora Prokofiewna. Czasami jeszcze się budziłem na Kaninskiej Tropie, ale powoli tamten świat zacierał się, przestawał istnieć. Bo świat, w rzeczy samej, nie został nam dany — raz, kiedyś — ale wciąż, nieprzerwanie, staje się, w naszej obecności. Przeszłość, z biegiem czasu, obumiera, jak nasza pamięć, albo jeszcze wcześniej, a miejsce, w którym byliśmy przedwczoraj, przestaje istnieć tak samo, jak

3 Rok później jakaś firma z Archangielska wydzieliła spore fundusze na odbudowę chramu Zmartwychwstania Pańskiego u podnóży Golgoty. Na Sołowkach jęły krążyć ploty: jedni przebąkują, że to początek odrodzenia Rosji, a drudzy szepcą, że to obmywanie „brudnych" pieniędzy...

nie istnieją dla nas miejsca, w których nigdy nie będziemy. Ot, wrona przeleciała w kadrze mojego okna, tylko co śledziłem trajektorię jej lotu, ale wrona znikła, śnieg pada, a trajektoria... gdzież ona? Podobnie z tropą w tundrze lub bruzdą miecza w morzu — one są, realne, tylko tu i teraz, kiedy właśnie idziemy. Dlatego postanowiłem powtórzyć drogę na Kanin

Nos i z powrotem — tym razem na papierze. W trakcie pisania zauważyłem, że świat Dalekiej Północy jest pałubiczny, bezładny, a tutejsza rzeczywistość — pozbawiona kształtów, które w średnich szerokościach są wytworem kultury. Szczątkowe formy cywilizacji, jakie tu powstały, zniszczył sowietyzm, a w przyrodzie dominuje woda, lód i błoto, zatem elementy bezforemne. W tej sytuacji powtarzanie drogi straciło sens, jak szukanie śladów w grzęzawisku, a samo pisanie pobiegło własną tropą, odnajdując w języku podłoże twardsze niż poszycie tundry. Chcę powiedzieć, że tekst jest bardziej realny niż świat, który jest dla tekstu — pre-tekstem...

Glosariusz

Alkasz — alkoholik. Zdrobniale: alik. Może być „na torpedzie", czyli chwilowo zaszyty, lub „w zapoju", czyli w wielodniowym ciągu pijackim.

Bania — ruska łaźnia. Istotny element ruskiego bytu, zwłaszcza w -> głubinkie (głębi kraju), dokąd cywilizacja, w postaci bieżącej ciepłej wody, nie doszła. Bani bywają dwóch typów: „na czarno", gdy brak komina i dym wali do środka, osmala wnętrze i trzeba je wietrzyć przed myciem się, a i tak wyjada oczy i można się pobrudzić podczas... mycia, oraz „na biało" — z kominem, podobna do fińskiej sauny. Sama konstrukcja bani ma w sobie coś z „ruskiej idei" — najważniejsze są w niej górne belki i szczelność między nimi, by nie przepuszczały pary, dolne bierwiona mogą być przegniłe, byleby górne się na nich trzymały. O ruskiej banie pisał niejeden -> inostraniec bywający w Rosji i można by ułożyć ciekawą antologię tekstów, pod tytułem Ruska bania oczami cudzoziemców. Szerzej o bani na stronach 61-64.

Bicz (skrót: bywszij intelligientnyj czełowiek) — były inteligentny

człowiek. Na przykład doktor nauk pracujący w kotłowni, poeta zesłany do kołchozu etc. Zaraz po rewolucji bywszimi nazywano duchowieństwo, arystokratów, oficerów, bogatych kupców etc. W listach ojca Florenskiego z Sołowek znalazłem taki ustęp: „Owych ludzi należałoby raczej nazwać bywszije intieriesnyje, bo poszarzali tu i znijaczeli, aż trudno uwierzyć, że to są ci sami ludzie, którzy kiedyś byli tacy ważni". Dzisiaj biczami zwą tu wszelkie tałatajstwo — rozmaitych poetów, malarzy, filozofów i innych frantów, pracujących w charakterze sezonowych dobywaczy morskiej trawy, stróżów -> skitow itp. Patrz też -> bomż.

Biezmołwije — milczenie, odosobnienie, cisza. Na temat sołowieckiego biezmołwija ojciec Paweł Florenski pisał do żony: „Jeden z moich znajomych się pyta, dlaczego mówiąc o Sołowkach, nie wspominam o dźwiękach, tylko o barwach i formach? Dlatego że tutaj jest bezgłośnie, jak we śnie. Królestwo biezmołwija. Rzecz jasna, nie dosłownie, bo i tu zgiełk dokucza i chciałoby się gdzieś skryć w głębokiej ciszy. Lecz tutaj nie słychać ani wewnętrznych głosów przyrody, ani wewnętrznego słowa ludzkiego. Wszystko tu się ślizga, jak w teatrze cieni, a dźwięki tylko z zewnątrz dolatują. Trudno objaśnić, czemu nie ma tu muzyki rzeczy, i życia, i ja sam nie mogę tego pojąć. Jeno przybój morski i wycie wiatru, oto cisza Sołowek". Patrz też -> isichazm.
Bliad' — w dzisiejszej ruszczyźnie pełni rolę naszej... kurwy. Formy oboczne: pieszczotliwa blia lub bliacha, młodzieżowy blin. W języku starosłowiańskim, skąd do ruskiego przyszła, bliad' miała dwa znaczenia, uzupełniające się wzajem: złudzenie i nierządnica. „Ditia, ali nie razumiejesz — uczył w XVII wieku protopop Awwakum — jako wsia sija

wnieszniaja bliad' niczto że sut', no tokmo prielest' i tlia, i poguba?" Dla protopopa rzeczywistość była jednocześnie i dziewką sprzedajną, i kłamstwem, w istocie rzeczy bowiem, twierdził, świat zewnętrzny to oczarowanie (i oszukaństwo zarazem), marność i zguba. Czasami, patrząc na łodzie odbite w wodzie lub na kamienne ścieżki donikąd, myślę, że może Awwakum miał rację i że mój trud opisania sołowieckiej rzeczywistości to jeszcze jeden labirynt (w słowach) albo zwierciadło puste. Mówiąc inaczej, miewam wrażenie, że zwodzę czytelnika na manowce, a ciekawemu tego świata podsuwam... bliad'.
Błatnaja muzyka (inaczej fienia) — grypsera, żargon złodziejski. Jednym z badaczy błatnoj muzyki był Lichaczow, ostatni Mohikanin Sołowieckiego Towarzystwa Krajoznawczego, dziś wybitny znawca staroruskiej literatury. Lichaczow trafił do SŁON-a za żartobliwy referat pod tytułem Medytacje o starej, tradycyjnej, uświęconej,

historycznej ruskiej ortografii, pogwałconej i wypaczonej przez wroga cerkwi Chrystusowej i narodu rosyjskiego. W SŁON-ie Dimitrij Siergiejewicz spoważniał i rozpoczął filologiczne dociekania na serio, a jego Karciane gry przestępców, opublikowane w 1930 roku w „Sołowieckich ostrowach", przyjęto uważać za naukowy debiut przyszłego akademika. W -> zonach Sołowek i Białomorkanału Lichaczow zebrał kapitalny materiał do pracy, dziś już klasycznej, na temat błatnego żargonu: Cechy pierwotnego prymitywizmu złodziejskiego języka, w którym próbował — jako filolog — odnaleźć rysy błatnego świata. „Słowa złodziejskiego języka — pisał — charakteryzują się niezwykłą ekspansją i wychodzą daleko poza przestępczą rzeczywistość. A wraz z nimi

rozpowszechnia się trucizna złodziejskiej ideologii". W Sołowieckich zapiskach, opublikowanych pól wieku później, Lichaczow wspomina o dwóch słówkach, kluczowych tak dla sowieckiego, jak i postsowieckiego świata, słówkach usłyszanych pierwszy raz w SŁON-ie od worów: błat i tufta. Błat wszedł do ruskiej grypsery z jidysz odeskich złodziei, gdzie odpowiadał „dłoni", czyli naszym „układom", natomiast tufta, polska „lipa", oznaczała pracę na pokaz. Pierwsze lekcje tufty Dimitrij Siergiejewicz pobierał przy budowie sołowieckiej wąskotorówki, tam należało łomami rozbijać zamarzniętą ziemię, a -> zeka na łomach tych opierali się, udając, że kruszą lód, i odpoczywali. W latach trzydziestych oba słówka, wraz z sołowieckimi zeka, przenikają na Białomorkanał i dalej, do wszystkich łagrów Sowieckiego Sojuza, by w końcu się znaleźć w powszechnym użyciu na wolności.
Bomż (skrót: biez opriedielonnogo miesta żitielstwa) — człowiek bez określonego miejsca zamieszkania, człowiek drogi, dawniej zwany strannikom. Ruski bomż to reliktowy człek wolny — w pojęciu woli wolnoj, to jest „...swobody połączonej z przestrzenią — według Lichaczowa — niczym nieograniczoną. Zarówno dawniej, jak i dziś człowiek drogi tracił wszelki status i nie przynależał do ludzkiej wspólnoty, lecz do „innego świata".

Dien'gi — pieniądze. Słowo dien'gi przyszło do języka ruskiego z tatarszczyzny, wraz z innymi pojęciami finansowymi, i jest śladem mongolskiego systemu podatkowego, któremu równego, twierdzi Heller, nie znała feudalna Europa. Dziś dien'gi przypominają ikony nowej wiary: kapitalizmu a la Russe. Tak, tak, albowiem jak z niewiary można było w

Rosji religię uczynić, a wodza ateizmu zabalsamować i jego szczątki, niczym moszczi (relikwie), bałwochwalić, tak po utracie wiary w socjalizm, naturalną koleją rzeczy, postsowieckie chłysty pokłoniły się antychrystowi — kapitalizmowi — jęły dien'gi bałwochwalić. Przy tym zauważmy, że dien'gi są do cudów podobne: wszyscy o nich mówią, a mało kto je widzi... Nie przypadkiem Brat czyta ostatnio Dziennik pisarza Dostojewskiego, który gromił nową wiarę: „W narodzie zaczęło się jakieś niebywałe wynaturzenie idei i powszechny kult materializmu. Materializmem nazywam tu bicie czołem przed rublem, przed władzą złotego mieszka. Jakby raptem w naród myśl się przedarła, że mieszek to wszystko, że w nim cała siła, a wszystko to, o czym mówili mu i czego uczyli go dotąd ojcowie — bzdura". I nieco dalej: „...nastąpiło ubóstwienie darmowego zysku, rozkoszy bez trudu; wszelkie oszustwo, każdą zbrodnię popełnia się z zimną krwią; zabijają, aby wyjąć choć rubel z kieszeni". Dier'mokratija — zamiast diemokratija, czyli: demokracja. Od słowa dier'mo — gówno. Ot, jak ruski język przystosowuje pojęcia zachodniego świata do rosyjskiej rzeczywistości. Patrz też -> prichwatizacija. Głubinka — odległe rejony. Tam kolej nie dochodzi, samoloty nie dolatują, korespondenci, zarówno rosyjscy, jak i inostrancy, nie docierają. Biorąc pod uwagę ogrom obszaru Rosji, można powiedzieć, że jej głubinka to osiemdziesiąt pięć procent kraju. Brak rozeznania w tym, co się tam dzieje, był przyczyną niejednej błędnej prognozy politycznej uczonych rusologów z Harvardu czy z Warszawy, nieźle — zdawałoby się — znających Rosję. Ba, sami

Rosjanie, żyjący w Moskwie, pojęcia nie mają, jak żyją ich pobratymcy w

Szojnie, Majdzie lub Tajwendze.
Guliaf — hulać. Guliat' po rusku to i obijać się, i bawić się, i pić, i po wsi grasować, i z dziewkami się gzić, i w mordę bić. Już w XII wieku biskup Biełgorodskij gromił lud prawosławny z ambony: „...i tylko wtedy przyznają święto za udane, kiedy leżą jak martwi, kompletnie pijani, istne bałwany: gęby mają rozdziawione, acz nieme, oczy otwarte, acz niewidzące, nogi zaś całkiem bezwładne". N. Witsen, towarzyszący posłowi Niderlandów w podróży do Rosji (1664-1665), pisał, że długo ich nie wpuszczano do Moskwy, albowiem „Ruscy od Bożego Narodzenia do Trzech Króli piją tęgo i nie chcą, aby im w tym przeszkadzano".
Inok — mnich; od starosłowiańskiego ino — jeden, „...bo rozmawia z Bogiem w odosobnieniu dzień i noc", jak określa pojęcie inoka Nikon Czarnogoriec. Natomiast protojeriej Diaczenko w Pełnym cerkiewnosłowiańskim słowniku wywodzi słowo inok od wyrazu inoj — inny, „...bo inaczej powinien wieść życie swoje niż ludzie świata tego".
Inostraniec — cudzoziemiec. W Rosji, jak chyba nigdzie, inostrancy czują się postronni. W ich wspomnieniach, zapiskach, dziennikach podróży powtarza się, niczym refren, motyw ruskiej podejrzliwości, szpiegomanii i ledwie tajonej agresji wobec przybyszów z obcych krajów. Sam to odczułem nieraz, zwłaszcza w tak zwanej ruskiej -> głubinkie, tam wystarczy inny styl bycia lub akcent, żeby wzbudzić nieufność. Zapewne duch kolektywizmu nie może ścierpieć niczego, co kupy się nie trzyma. Warto zauważyć, że nie tyle narodowość, wiara czy język określają twoją przynależność do kolektywu, ile wspólna dola (cela, -> zona) i ten sam pan (państwo). Rosja jest krajem wielu narodów i kultur, różnojęzycznym, a niewiary w niej więcej niż kultów i sekt, zatem to nie twoja narodowość

wzbudza tutaj niechęć, lecz to, że możesz w każdej chwili stąd wyjechać, i nie twoje przekonania czy wiara są przedmiotem sądów, lecz to, że żyjesz wedle swojego widzimisię

i z boku się przypatrujesz tutejszemu życiu. Należy sięgnąć do etymologii słowa inostraniec, aby w pełni rzecz pojąć. Albowiem strana w języku starosłowiańskim, skąd do ruskiego przyszła, oznaczała stronę, a dopiero później w kraj się zamieniła, wyraz zaś inoj, czyli inny, powstał z prasłowiańskiego ino, czyli jeden lub sam (stąd -> inok). Zatem inostraniec to nie tylko cudzoziemiec, ale ktoś z innej strony — nie trzyma naszej! — pojedynczy, nie taki jak wszyscy. Postronny.
Isichazm — typ mistycznego światopoglądu chrześcijańskiego, łączący elementy religijno-filozoficzne z praktyką duchową i ascezą. Obecnie dużo się tu o nim mówi i pisze, zwłaszcza w kręgach prawosławnych. Oto przykład, zapis rozmowy z Bratem.
19 sierpnia
Przemienienie Pańskie — jedno z głównych świąt prawosławnych, na Wyspach obchodzone ze szczególną pieczą, wszak monastyr Spaso-Prieobrażenskij. Od rana biją w dzwony, dzwon niesie się, po wodzie, daleko. Po południu przyszedł Brat, przyniósł butlę kagora z Mołdawii i pęk suszonych leszczy. Rozmawialiśmy o isichazmie — mistycznej doktrynie prawosławia, powstałej na greckiej górze Athos w XIV wieku, choć jej korzenie sięgają egipskiej pustyni IV stulecia naszej ery. Grigorij Pałama, Grigorij Synaita, Nił Kabasilas... wszyscy oni uczyli, że nie materia, lecz energia jest osnową świata. Chrystus na górze Tabor — wedle isichastow — pokazał nam drogę: jak soczewka skupił Światło w

sobie. Dzięki praktyce -» biezmołwija i określonym technikom modlitewno-medytacyjnym isichasty osiągali oświecenie, którego fascynującym zapisem są Zapiski kielejnyje — rodzaj dziennika duchowego, prowadzonego w celi przez prekursora ruchu, Simeona Nowego Teologa. Później prawosławie nieraz się odżegnywało od isichazma, jako jednej z herezji, dostrzegając w nim zaledwie „kontemplację własnego pępka i sztukę zatrzymywania oddechu". Jeszcze niedawno ojciec Bułgakow pisał, iż „bzdurne rojenia

isichastow o możliwości osiągnięcia niestworzonego światła rychło ulegną zapomnieniu". Tymczasem isichazma nie tylko nie zapomniano, ale zaczyna on budzić coraz większe zainteresowanie w kręgach odradzającego się w Rosji prawosławia, o czym świadczą ostatnie publikacje, jemu poświęcone. Tu Brat wylicza tytuły...
— ...a nie uważasz, że to moda — przerwałem Bratu — jak postmodernizm w innych kręgach intelektualnych. Bawiąc w Moskwie, odwiedziłem Siergieja Chorużego, filozofa, matematyka i tłumacza Joyce'a. Powodem mojej wizyty był Diptich biezmołwija, jego książka, poświęcona isichazmu. Siergiej Siergiejewicz właśnie wrócił z Petersburga, gdzie się odbyła sesja naukowa o biezmołwii. Trzy dni bili pianę o milczeniu! I sam Diptich... też brednia. Z jednej strony Chorużyj pisze o konieczności powrotu do źródeł ruskiego myślenia, czyli do pism Świętych Ojców, twierdząc, że filozofia rosyjska XIX i XX wieku została zdominowana przez niemiecki idealizm, obcy duchowi prawosławia, a z drugiej strony używa terminologii Martina Heideggera do interpretacji tez Pałamy. Ten zaś ostrzegał: „Kto rozprawia o biezmołwii bez

doświadczenia świętego milczenia — popada w szaleństwo".
— Problem w tym — rzeki Brat — że dawni starcy, na przykład Nił Sorski, jeden z wielkich ruskich isichastow, nigdy nie dociekali biezmołwija słowem, jeno praktyką, czyli milczeniem i modlitwą. Ich skąpe wypowiedzi, przypominające aforyzmy, to wskazówki, nie więcej. Wskazówki dla praktyki. Inaczej mówiąc, obrysowywali słowami kontur tego, o czym powiedzieć nie sposób, jak w niektórych testach psychologicznych, gdzie profil jednej figury, wycieniowanej, wyznacza kształt drugiej — pustej. Natomiast filozofowie dzisiejsi układają postmodernistyczne rebusy, pustosłowiem grzesząc, bądź próbują rzec coś o... niewypowiedzialnym. I póty się nowinkami z Zachodu bawią, w swoim sosie kisną, lecz kiedy o biezmołwii zaczynają pleść, żałośni się robią i pocieszni zarazem. Już w XIV stuleciu pewien mnich z Kalabrii, niejaki Warłaam, drogą spekulatywnych roztrząsań chciał ośmieszyć praktyki isichastow. Na Zachodzie kalabryjskiego mnicha uznali

za ojca Renesansu, a na Wschodzie — za heretyka i hochsztaplera. Od Warłaama spekulatywna myśl europejska doszła do Kanta i zaczęła przenikać do Rosji. Filozofowie tak zwanego srebrnego wieku, Mierieżkowski, Iwanow, Bierdiajew, próbowali ująć prawosławne doświadczenie w aparat pojęciowy, zapożyczony od Niemców, Chorużyj zaś, niby odrzucający ich dokonania, w gruncie rzeczy poszedł tąż samą drogą. I w efekcie rozmył istotę biezmołwija w pustej gadaninie.
— Myślę — wtrąciłem — że znacznie bliższy isichastom byłby Wittgenstein, choć to człowiek Zachodu, w każdym calu. Posłuchaj, co pisał do swojego wydawcy, von Fickera, w 1914 roku: „...moje dzieło

składa się z dwóch części: z jednej zamieszczonej tutaj i z tego wszystkiego, czego nie napisałem. I to właśnie ta druga część jest ważna". Czyli to, co napisane, winno wyznaczyć granice temu, co przemilczane — co naprawdę ważne. Główna teza Wittgensteina brzmi: „Przedstawiając jasno to, co wypowiadalne, można wskazać to, co niewypowiadalne". Czyż to nie bliskie biezmołwijui

Zapadło milczenie. Drobimy winco małymi łykami. Za oknem czajka się drze i morze grzmi, a Brat leszcza szczypie i myśl żuje, że ktoś na Zachodzie, w dodatku filozof logik, mógłby się przybliżyć do prawd prawosławnych. Wreszcie przemówił.

— Widzisz, Mar, filo-sofia z greckiego to miłowanie mądrości. Czyli rozumu, rzecz jasna, człeczego. Rzeczy z gruntu omylnej, nietrwałej i pustej. Natomiast prawosławna ascetyka, której isichazm jest najdojrzalszym płodem, to filo-kalos, na Rusi przełożona na dobroto-lubie, czyli miłość do piękna. (Dobrota, Piękno, to jedno z imion Pana w starosłowiańskim języku). Może dlatego w Rosji nie filozofowie, lecz artyści częściej dotykali sedna bytu, począwszy od Andrieja Rublowa i Fieofana Greka, wybitnych ruskich biezmołwnikow XIV wieku, do Puszkina, Tiutczewa, Tołstoja... Innymi słowy, milczenie jest wyższą formą sztuki, rodzajem twórczości — dla niej materiałem jest sam człowiek. Milczenie to praktyka, którą prawosławny Wschód przeciwstawił zachodniemu teoretyzowaniu. Nie cogito, ergo sum,

lecz najpierw sum, a dopiero potem, i to niekoniecznie, cogito. Obszar cogito jest zaledwie fragmentem rzeczywistości, choć często pretenduje do całości. Biezmołwije likwiduje skorupy dyskursywnego myślenia i

pozwala przejść granicę, oddzielającą ów racjonalny fragment naszego bycia od Realności. Wittgenstein słowami próbował tę granicę wyznaczyć, a mnich prawosławny ją w milczeniu przekracza, zostawiając rozgadany świat za plecami.

— Cóż, jako filolog nie mogę się pogodzić z tak radykalnym odrzuceniem daru języka. Rzecz w tym, jak się nim posługiwać. Jedni gwarzą, drudzy mamrocą, inni chlapią ozorem, a świat puchnie od plot: plotą w telewizji, plotą w gazetach i w internetach... Zalew słów, błoto, grzęźniemy! I tu się z tobą zgadzam — lepiej milczeć w odosobnieniu. Wittgenstein się zaszył w Skolden, wiosce rybackiej na północy Norwegii. Bo język wymaga milczenia. To nie paradoks, to... doświadczenie. Czasami myślę, iż język jest najlepszym dowodem na istnienie Twórcy, bo wszystko w nim istnieje: źdźbło trawy, odcień nieba i szum lasu, przecinek, który życie może dać, i kropka zamykająca oczy na zawsze...

W monastyrze zadzwonili na wieczorną mszę. Dopiliśmy wino.

Kabak — knajpa. Słowo przeszło do języka ruskiego z tatarszczyzny w XVI wieku (w tym samym czasie na Rusi pojawiła się wódka). Iwan Pryżow, autor Historii kabaków w Rosji, pisze, że „...wystarczy prześledzić, dzień po dniu, powstawanie i rozwój narodowych instytucji, jak my próbujemy to zrobić z kabakom, aby odkryć, że tatarszczyzna odcisnęła się na nas nie tylko w zapożyczeniu niektórych tatarskich słów, ale i w przejęciu samego ducha tatarszczyzny, i że te słowa wyrażają zwierzęce cechy dzikiej hordy, które wyparły nasze narodowe obyczaje". Według Pryżowa kabak, gdzie się pija wódkę, zastąpił słowiańską korczmu (polską „karczmę"), gdzie pito miód, wino i piwo. Stąd nieporozumieniem jest tłumaczenie Moskwy kabackoj Jesienina na

Moskwę karczemną...

Kartoszka — kartofle. Na przykładzie kartoszki najlepiej widać, po co wprowadzam ruskie słowa w polski tekst. Cudzoziemiec piszący o Rosji... tłumaczy rosyjską rzeczywistość na swój język (słowa „tłumaczyć" używam w znaczeniu łacińskiego interpretor — wyjaśniam, rozumiem, rozstrzygam). Ale przecież ta rzeczywistość istnieje w ruskim języku — w nim się kształtowała, wiekami. Dawniej słowo jazyk oznaczało i Język", i „naród", bo w języku, jak nigdzie, widać naród — jego ducha, byt, życie. Całe dwa lata musiałem pożyć w Rosji, aby do mnie dotarło, że cudzoziemiec nie może pojąć tego kraju, myśląc
o nim i rozsądzając we własnym języku. Aż zrozumiałem, że rosyjską rzeczywistość należy poznawać poprzez ruski język, a tylko potem, pożywszy tu czas jakiś, by doświadczyć słów na sobie, można popróbować to doświadczenie przetłumaczyć na polski. Już w trakcie pisania zauważyłem, że niektóre ruskie słowa, choć mają polski odpowiednik, mówią o innym doświadczeniu, o innym świecie. Im dłużej tu żyję, tym bardziej czuję słowa klucze, słowa znaki, słowa mity, które znaczą znacznie więcej, niżby to z wyrazu wyzierało. Ot, kartoszka... U nas to kartofel (coraz bardziej potato), jeden z dodatków do mięs, i mówi się, że tuczy, i je się go coraz mniej. Natomiast tutaj kartoszka to główne jadło, rytuał i sposób życia. Wiosną się kartoszku sadzi, latem okopuje, jesienią zbiera, a zimą się na kartoszkie... przezimowuje. Spolszczyć kartoszku na kartofle lub ziemniaki to odebrać jej ów magiczny i życiodajny zarazem sens, ba, to samą rzeczywistość przekładać (w znaczeniu łacińskiego transfero), czyli... gubić ją w procesie przekładu.

Kielia — język rosyjski rozróżnia kieliu w klasztorze
i kamieru w więzieniu. Polski rzecz ujmuje jednym słowem: cela. Na Sołowkach oba ruskie znaczenia zlały się w symbolu Wyspy, która do niedawna — do wynalezienia aeroplanu — była odcięta od świata przez osiem miesięcy w roku. Dzieje Sołowek to historia ruskiej celi w obu jej znaczeniach — one się plotą tu w jeden wątek tej wielowymiarowej fabuły. Rzecz jasna, opowieść o Wyspach

wychodzi poza ruską celę, tak jak historia Rosji jest zaledwie epizodem w dziejach Sołowek, choć niewątpliwie epizodem najlepiej napisanym. Bo i historia Rosji, i dzieje Sołowek powstawały w celach skrybów...
Kormuszka — od przyjazdu do Rosji wciąż słyszę to słówko, w przeróżnych supozycjach i przypadkach. Trudno się rozeznać. W słowniku kormuszka to żłób dla bydła lub karmnik dla ptaków. W potocznym języku, podobnie jak w polskim, bywa używane też jako „koryto", czyli źródło znacznych dochodów, zwykle z funduszów publicznych. Natomiast w ruskiej historii ma przebogatą tradycję, ba, w cały system obrosło: system kormlenija. Kluczewski pisze: „Kormlenijami nazywano na Rusi sądowo-administracyjne stanowiska, dające urzędnikom dochód, zbierany wprost z poddanych. Dochód ten nazywano korma, co odpowiada obecnym poborom, stąd stanowisko nosiło miano kormlenija". Już w końcu XVI wieku cudzoziemcy piszący o Rusi, na przykład Fletcher, zauważali: „...że naród ruski nienawidził rządców na prowincji, ich interesy bowiem były mu z gruntu obce. Owi rządcy, rokrocznie nowi, przybywali na prowincję świeży i głodni i obierali naród bez skrupułów, by jak najwięcej nachapać dla siebie i na dań dla zwierzchników, którzy

patrzyli na ich poczynania przez palce. Ruski naród dawno pojął, iż rządcy przybywają na prowincję nie dla pilnowania porządku, ale dla zdejmowania zeń sierści, i to bynajmniej nie raz do roku, jak właściciele ze swoich owiec, lecz by go strzyc na okrągło, przez cały rok".
Ładan — kadzidło cerkiewne. W dwunastowiecznym Chożdienii igumiena Daniła, najstarszym ruskim dzienniku podróży do Ziemi Świętej, można znaleźć opis produkcji ładana na wyspie Rodos w Grecji: „Z drzewa o nazwie grab, które wygląda jak olcha, wycieka żywica, ją ostrym żelazem zdejmują. W innym drzewie, podobnym do osiny, żyje robak pod korą, wielki jak gąsienica. Robak toczy drzewo i próchno się sypie, niby otręby pszeniczne, i pada na ziemię, jak wiśniowy klej. Ludzie to próchno zbierają,

mieszają z żywicą z pierwszego drzewa i warzą w kotłach, po czym w worki pakują i sprzedają kupcom jako gotowe kadzidło".
Mat, matierszczina — wulgaryzmy, przekleństwa. Ruski mat, dobitny i przebogaty, to swego rodzaju język w języku, gdzie jednym słowem można wyrazić... wszystko. Nigdy nie zapomnę przepięknego świtu w Troickiej Zatoce na Anzerze, dokąd przyszliśmy na jachcie nocą — było cicho, aż niemo, i pachniało jedliną, morze w słońcu się srebrzyło, nad Golgotą krążył orzeł... raptem Losza wychynął z luku, przeciągnął się, oczy zmrużył i wyrzekł z zachwytem w głosie:
— Jebat' moi uszi!
Mużik — chłop. Częściej, zwłaszcza na prowincji, w znaczeniu — swój, w odróżnieniu od obcych, to jest czynowników wszelkiej maści, przyjezdnych inteligentów, turystów, Moskali etc. Zastępuje także nasze

„proszę pana" w zwrotach typu: te, mużik, która godzina? W Historii rosyjskiego imperium Hellera czytamy: „O ile obszczina, zarówno dla słowianofilów, jak i dla zapadników, była skarbnicą specyficznych cech ruskiego narodu, o tyle w mużikie widzieli wcielenie narodu-Bogonosiciela". Jurij Czirkow, były -> zeka, autor książki o SŁON-ie, pod tytułem A wszystko było tak, wspomina rozmowy z Siwowem, wiejskim popem, który lubił dyskutować na temat zniesienia pańszczyzny: „Swoboda dla mużikow — rzecz różna, każdy ją po swojemu rozumie. Dla jednego swoboda to na piecu spać dzień w dzień, dla drugiego gospodarstwem się zająć, a dla trzeciego — kraść i pić. Kiedy więc mużikow oswobodzili od pańszczyzny, to się pijaństwo zaczęło straszne, rozboje i bałagan: chcesz — pracuj, chcesz — nie pracuj. Zmusić nie ma komu — swobodę dali. Jeno pić i -> guliat'".
Obszczeżitije — dosłownie: wspólne życie, współżycie; internat. Paweł Florenski wywodził przykazanie obszczeżitija z prawosławnej idei Trójcy Świętej, sformułowanej przez Siergieja Radonieżskiego i Andrieja Rublowa

w XIV wieku. „Obszczeżitielstwo — pisał w 1918 roku — zawsze znamionowało duchowe ożywienie: jak w początkach chrześcijaństwa. I początki Rusi Kijowskiej, zaraz po przyjęciu chrześcijaństwa, stały pod znakiem obszczeżitija, którego ośrodkiem była Kijewo-Pieczerskaja Ławra, i początek moskiewskiej Rusi, z jej powrotem do duchowej kontemplacji, odznaczył się wprowadzeniem obszczeżitija pośrodku kraju, za radą i z błogosławieństwem umierającego Bizancjum. Idea obszczeżitija, jako współżycia w pełnej miłości, jednomyślności i

ekonomicznej wspólnocie, czy się nazywa po grecku koinonia, czy po łacinie communio (w oryginale: kommunizmom), zawsze była bliska ruskiej duszy..."

Obszczina — wspólnota, gmina. Kolektywna forma życia ruskiego na wsi: ziemia należała do obszczziny, a nie do indywidualnego rolnika, i była uprawiana na zmianę, tak by każdemu sprawiedliwie wypadały raz gorsze, a raz lepsze kawałki. Przestrzeganie idealnej równości, według Hellera, było głównym zadaniem obszczziny. Słowianofile widzieli w obszczinie specyficzność Rosji, wyraz jej kolektywistycznego ducha i umiłowanie równości.

Osołowiełyj — to osowiały, zmarkotniały bądź... nieswój. Tu, na Wyspach, słówko nabrało nowego znaczenia (od nazwy Wysp) i oznacza człowieka, który bez Sołowek żyć nie potrafi. Osołowiełyj — po tutejszemu — to pomieszany na punkcie Sołowek, innymi słowy: solowiecki wariat. Nie wszyscy, rzecz jasna, osuwają się z uma, wielu tu przyjeżdża (na przykład turyści), by się poszwendać, popstrykać, pokręcić na tle landszaftu i zniknąć bez śladu. Tacy niewiele stąd wywożą: parę rolek filmów, kasetę wideo, czasem trypra. Ale są i owacy, którzy raz tutaj przyjechawszy, wracają potem, znowu i znowu, i śnią o Sołowkach, i Sołowkami bredzą, i wreszcie zostają na Sołowkach na stałe. O tych się mówi, że osołowieli z kretesem i jeśli nawet wyrwą się z Wysp na chwilę, to Białe Morze mają w oczach. I gdzie by trafili, wszędzie będą... osowiali. Nieswoi.

Po błatu — „na lewo", po znajomości. Patrz -» błatnaja muzyka.

Prichwatizacija — zamiast: prywatyzacja, od słowa prichwatit' —

zagarnąć, ukraść, wziąć, co leży bezpańsko. Prichwatizacija jest przykładem, jak język rosyjski, gibki i plastyczny, jedną, dwiema głoskami zmienia pojęcia zachodniego świata i nadaje im swoje, ruskie znaczenie. Patrz też -> dier'mokratija.

Podriasnik — monastyrska szata, zazwyczaj czarna, dawana kandydatom na mnichów — do postrzyżyn. Wielu niewtajemniczonych przyjmuje ją za riasu — strój zakonników — od której się odróżnia wąskimi rękawami.

Poslusznik — nowicjusz w klasztorze. Od postuszanija, czyli posłuszeństwa — pierwszej cechy, którą się winien wykazać kandydat na mnicha. W żywotach świętych często się spotyka opisy bezmyślnych zadań dawanych posłusznikam przez starców, na przykład przenoszenie wody ze stawu do rzeki i z powrotem lub sadzenie roślin korzeniami do góry. Wszystko to po to, by złamać ducha pychy (i wiary we własny rozsądek!) — grzech Lucyfera. Jurij Czirkow wspomina podobne prace za czasów SŁON-a, na przykład jednemu -> zeka kazali kopać jamę, innemu zakopywać, „...aby szybciej zrozumieli, że nie przyjechali tu do cioci na bliny". Lub zmuszali do przelewania wody z przeręblа do przeręblа, po czym mierzyli jej poziom i obcinali rację żywnościową za niewypełnienie normy. Dzisiaj na Wyspach jest w modzie posłuszanije osób świeckich, żyjących poza monastyrem, lecz pozostających w ścisłym kontakcie ze swoim ojcem duchowym. Często takie posłuszanije przynosi konkretną materialną korzyść, na przykład można poprosić ojczulka o „błogosławieństwo" na podróż w postaci... pieniędzy na bilet.

Pomojka — śmietnik, dół z pomyjami. Tutaj, na Północy, trudno określić granicę pomiędzy pomojkoj i nie-pomojkoj. Dotyczy to nie tylko zwykłych śmieci — butelek,

puszek, resztek żarcia i wszelkiego chłamu, który zalega wszędzie, gdzie może dotrzeć człowiek, ale także odpadów przemysłowych — zużytego oleju silnikowego, który wylewają z łódek wprost na piach plaży, wraków statków porzuconych w morzu, członów rakiet, które po odpaleniu spadają i walają się w tundrze, zardzewiałych ciągników, niedokończonych budów etc. Przyroda Północy jest za słaba, by własnymi siłami to wszystko neutralizować. Ba, są i tacy, którzy twierdzą, że same Wyspy Sołowieckie to trop Wielkiego Śmietnika. Paweł Florenski w listach z Sołowek nieraz powtarzał, że wszystko tutaj jest przypadkowe: i ludzie rzuceni wiatrem historii, i kamienie naniesione przez lodowiec, i rośliny przesadzone z innego klimatu...

Pustyn' — pustelnia. Miejsce odosobnionej modlitwy, często w lesie, na mokradłach, z dala od ludzkich siedzib. Swoisty typ ruskiego anachoretyzmu, powstały niejako w opozycji do bogatych monastyrów, uwikłanych zwykle w świeckie intrygi i polityczne machinacje. Często wokół szczególnie świątobliwego pustynnika gromadzili się bracia, przyciągnięci jego sławą, i z biegiem czasu cicha pustyn' zamieniała się w rojne monastyrskie -> obszczeżitije. Przykładem takiej metamorfozy są dzieje sołowieckiego klasztoru, który powstał na miejscu modlitwy pustynnika Sawwatija. Malarz Niestierow, będąc na Wyspach w 1901 roku, pisał do kolegi: „Ślę do Ciebie tych parę zdań z sołowieckiego monastyru. Znalazłem tu rzeczy ciekawe i osobliwe i mam wrażenie, jakbym to widział już kiedyś we śnie i przekazał w swoich pierwszych obrazach, w niektórych szkicach. Typ monacha co prawda tu nowy, lecz pejzaż przeczułem w Pustelniku".

Rekiet — nowe ruskie słowo, utworzone od angielskiego rake: „grabie" lub „grabić", dla oznaczenia starego ruskiego zwyczaju... grabieży. Siewiernoje sijanije — zorza polarna. Niezwykłe zjawisko świetlne na nieboskłonie Północy, z reguły na jesieni lub w zimie. Z opisów, jakie czytałem, najlepsze są

ojca Florenskiego, w jego listach z Sołowek. 7 stycznia 1937 roku, w przeddzień swoich pięćdziesiątych piątych (i ostatnich) urodzin, Paweł Aleksandrowicz pisał do syna Wasi: „Dzisiejszy dzień był szczególny — niebo się rozjaśniło, mroźno. Pod wieczór zagrało siewiernoje sijanije. Około dziewiętnastej w północnej części nieba pojawił się niebieskawy świetlny segment, przypominający blask wschodzącego księżyca, tylko jaśniejszy i wyraźniej obrysowany. Segment ten unosił się nad horyzontem, coraz jaskrawszy w północno-wschodniej stronie nieboskłonu. Raptem zaczęły od niego odpadać koncentryczne luki, takiej samej niebieskawej barwy, na całą szerokość nieba. A dokładniej, sam segment był jakby złożony z łuków i teraz, na moich oczach, się rozpadał. Potem pociemniał, stał się czarniejszy niż reszta nieba, i okrążyła go jaskrawa obwódka światła. Od strony segmentu obwódka była wyraźna, z zewnątrz stopniowo zlewała się z niebem. Nawiasem mówiąc, w czasie siewiernogo sijanija niebo nie jest czarne, tylko się świeci, jak rozlana Mleczna Droga. Po upływie pewnego czasu owe łuki, pulsujące na niebie, jęły się łamać w zenicie, tworząc rodzaj świetlnego namiotu, i widać było, poglądowo i przekonywająco, że jego słupy to nic innego, jak wyrywające się w atmosferę potoki energii — strugi korpuskuł, wywołujące świecenie rozrzedzonego gazu. Słupy mieniły się natężeniem światła i zamieniały

miejscami na niebie. Później na północnym wschodzie obok niebieskawych pasm pojawiło się obszerne i intensywne światło o malinowym odcieniu, niby lekka i przezroczysta chmura. Blaski zaczęły jeszcze szybciej się mienić i zmieniać miejscami, podobne błyskawicom, aż się porozpadały na płaskie, postawione na krawędziach, świetliste obłoki, które się wyciągnęły do ziemi, niczym zasłony ze światła, i udrapowały w malownicze fałdy, falując kapryśnie. Swoją rurową strukturą przypominały plisowaną materię, jej zielona poświata ku górze stopniowo nikła, a u dołu gęstniała, urywając się raptem. Zasłony unosiły się i opadały, jakby wiatrem kołysane, fałdy po nich przebiegały raz po raz i cały obraz bez przerwy się zmieniał. Wtem u samej krawędzi zielonego świecenia

pojawiło się oblamowanie z oranżu — krasny oranż jak łuna pożaru. Falowanie stało się jeszcze szybsze. Niektóre fałdy puchły, inne sczezły... i górna część zasłony zniknęła, a dolna się wiła, jak świetlista żmija. Cały ten spektakl rozgrywał się na północnej części nieboskłonu, do zenitu, a nawet dalej, i od zachodu do wschodu, przy tym na wschodzie silniej i jaskrawiej. Trwał około dwóch godzin. Później zaczęło przygasać. Zasłony rozleciały się w strzępy, światło pobladło. O wpół do drugiej wyszedłem ostatni raz spojrzeć na niebo. Na północy kłębiły się masy blasku, podobne do obłoków przy księżycu, lecz świeciły od wewnątrz. A że niebo już pociemniało, blaski te były szczególnie wyraziste".

Skit — rodzaj odosobnionej pustelni, w której żyje niewielu mnichów, w modlitwie i pracy. Forma pośrednia między anachoretyzmem a klasztorem. Ojcem ruskiego skitu był Nił Sorski (1433-1508), postrzyżeniec Kiriłło-

Biełozierskiego monastyru, jeden ze słynniejszych skrybów swoich czasów, autor Reguły skitu. Przez szereg lat żył na Athos, skąd przyniósł na Ruś -> isichazm. Główny ideolog tak zwanych starców zawołoskich, występujących przeciwko bogaceniu się monastyrów. W swym Testamencie prosił, by jego ciało zostawiono dzikim zwierzętom do zjedzenia. Patrz też -> pustyn'.
Stakan — szklanka; miara wódki pitej duszkiem.
Stopka — szklaneczka; miara wódki pitej haustem.
Szyło (dosłownie: szydło) — spirytus przemysłowy, używany do mycia silników, szyn etc. Pity duszkiem, żga mózg jak szydło — stąd nazwa. Potem się rozlewa białym światłem po żyłach i poraża na jakiś czas, trzymając pijącego w niemym zachwycie, jak po kokainie.
Tropa — ścieżka. Ruska tropa łączy w sobie wilcze ślady z metaforą — trop z tropem. Lub, inaczej, osobliwości drogi życiowej ze stylem pisania. Najlepiej uchwycił to

Warłam Szałamow w opowiadaniu pod tytułem Tropa, które przytaczam tu w całości, we własnym przekładzie.
Warłam Szałamow TROPA
W tajdze miałem swoją własną cudowną tropę. Sam ją wydeptałem latem, kiedy zbierałem opał na zimę. Posuszu wokół chaty było sporo — stożkowate modrzewie, szare jak z papier mâché, tkwiły, niby pale, w błocie. Chata stała na wzgórzu, otoczona krzakami cedrowego słańca — kiśćmi zielonych igieł. Jesienią szyszki pęczniały orzechami i nakłaniały gałęzie do ziemi. Przez te zarośla biegła moja tropa ku błotom. Kiedyś, zanim błota stały się błotami, rósł tam las, potem korzenie zgniły od wody

i drzewa umarły — dawno, dawno temu. Droga, którą jeździły auta i ludzie, legła z drugiej strony góry, wzdłuż zbocza.
W pierwsze dni żal było deptać mięsiste czerwone konwalie, irysy, podobne do wielkich liliowych motyli i płatkami, i deseniem, a ogromne przebiśniegi nieprzyjemnie chrzęściły pod nogami. Kwiaty na Dalekiej Północy nie pachną. Dawniej łapałem się na automatycznym ruchu — zrywasz bukiet i podnosisz go do nosa. Potem odwykłem. Każdego ranka oglądałem, co zaszło w nocy na tropie. Ot, wstała konwalia, wczoraj zgnieciona moim butem, co prawda krzywo, ale ożyła. Druga zaś leży zmiażdżona na zawsze, niczym zwalony słup telegraficzny z porcelanowymi izolatorami, a splątane włókna wiszą jak zerwane przewody
Potem tropa się udeptała i przestałem zwracać uwagę na gałązki cedracza, rosnące w poprzek drogi; te, co chlastały mnie po twarzy, obłamałem. Po obu stronach stały młode modrzewie, co najwyżej po sto lat. Zieleniły się przy mnie i przy mnie osypywały igły. Tropa z każdym dniem ciemniała, aż stała się zwykłą ścieżką górską. Nikt, oprócz mnie, nią nie chodził. Skakały tam tylko popielate wiewiórki, czasami znajdowałem egipskie pismo klinowe kuropatw albo trójkątny ślad zająca. Ale przecież ptaki i zwierzęta się nie liczą.
Chodziłem po tej tropie trzy lata. Dobrze się na niej wiersze pisały. Bywało, wrócisz z podróży, wyjdziesz na

tropę i niezawodnie strofę wychodzisz. Przywykłem do mojej tropy, jak do leśnej pracowni-gabinetu. Zwykle przed zimą mróz chwytał błoto i ono jakby się scukrzało, niczym konfitury. Dwie jesienie przychodziłem przed

śniegiem, by zostawić głęboki ślad, który na moich oczach twardniał na całą zimę. A wiosną, kiedy śnieg tajał, odnajdywałem ubiegłoroczne odciski, stąpałem w stare ślady i wiersze znowu pisały się lekko. Zimą, rzecz jasna, mój gabinet był pusty: mróz nie pozwala myśleć, pisać można tylko w cieple. Za to latem wszystko robiło się pstre, każdy szczegół czarodziejskiej tropy znałem na pamięć — cedrowy słaniec, modrzewie, krzewy dzikiej róży przypominały czyjeś wiersze, a jeśli cudzych nie starczało, to swoje wymamrotywałem. Potem, wróciwszy do chaty, zapisywałem je.

Trzeciego roku po mojej tropie przeszedł człowiek. Nie było mnie wtedy w domu, więc nie wiem: może wędrujący geolog, może pieszy listonosz, może myśliwy. Człowiek zostawił ślady ciężkich buciorów. Od tego czasu wiersze przestały się pisać na tropie. Cudzy ślad pojawił się wiosną, a przez całe lato nie napisałem tam ani linijki. Zimą mnie przenieśli na inne miejsce i nie żałowałem, bo tropa była i tak bezpowrotnie stracona.

Wiele razy próbowałem napisać wiersz o tej tropie, ale mi nigdy nie wyszło.

Wor w zakonie (dosłownie: złodziej w prawie) — w slangu złodziejskim: grypsujący.

Zeka (skrót: zakluczonnyj, z/k) — więzień. W literaturze często się spotka formy: zek, zeki..., które Szałamow w liście do Sołżenicyna (listopad 1962 roku) uważa za nieprawidłowe.

Zona — teren wydzielony; zagrodzenie. W Słowniku Dąla: „pas ziemi, strefa kuli ziemskiej wzdłuż równika". Złowieszczy charakter słowu zona nadały łagry. Rossi rozróżnia kilka typów zon, w zależności od przeznaczenia (na przykład żeńska, robocza...), rodzaju ogrodzenia etc. Z

czasem pojęcie zony przeszło ze świata łagru do

powszechnego użytku i dziś porządkuje tu przestrzeń życiową posłusznych obywateli. A dokładniej: dzieli tę przestrzeń na zony różnego rodzaju i typu: opasnuju zonu, pogranzonu, zakrytuju zonu, zonu osobogo naznaczienija, zonu osobogo reżima etc. Filozoficzną wykładnię zony dał Tarkowski w filmie Stalker.

Poetyka znaczeń

Mariusza Wilka nie trzeba chyba przedstawiać polskiemu czytelnikowi. Wilczy notes, którym zapoczątkował artystyczny podbój rosyjskiej Północy, doczekał właśnie trzeciego wydania. Po przeszło dziesięcioletnim pobycie na Wyspach Sołowieckich pisarz przeniósł się na wieś karelską, a potem na Półwysep Kolski, co zaowocowało dwoma tomami — Wołoką (nominowaną do Nagrody Nike) i Domem nad Oniego. Nie przesłaniają one Wilczego notesu, przeciwnie, każą wciąż wracać do tego tekstu oraz pytań, jakie autor w nim zadaje. Szukając odpowiedzi, pisarz podejmuje wątki, jak się okazuje, kluczowe dla zrozumienia jego prozy.

Przede wszystkim dlaczego akurat Sołowki — osławiony kryptonim — stały się dla pisarza ową „wieżą obserwacyjną", z której „patrzy na Rosję, na świat"? Teza „Na Sołowkach widać Rosję, jak w kropli wody — morze" nie jest tu jedynym wyjaśnieniem. Chodzi również o zajęcie pozycji z dala od zgiełku świata, skąd można się lepiej przyglądać rzeczywistości i sobie samemu: „wyobcować się — to znaleźć się w sobie". A także o wszechogarniającą biel („biały to najintensywniejsza z barw, a zarazem brak barwy") i o różnorodność form („łamańce światła, refleksy wody, metamorfozy lodu, wiatru hieroglify"), wobec których

człowiek czuje się szczególnie samotny i otwarty na prawdę. Wreszcie w Domu nad Oniego Wilk znajduje zaskakującą formułę, która wyraża, jak się wydaje, istotę jego pisarstwa i życia: „Północ — to moje koczowisko, obszar penetracji. Północ — to moja fabuła!"
Kim w takim razie jest autor w stosunku do tej przestrzeni, którą opisuje i której doświadcza, a która początkowo jest mu obca pod każdym względem?

Nazwisko Wilk, poprzez włączenie go do tytułu, nabiera tu dodatkowego znaczenia. Wilk to zwierzę bardzo często występujące w mitologii, naznaczone w swej symbolice piętnem wyobcowania i samotności. Wilczy notes zaś to zapiski z podróży polskiego pisarza po obcym kraju, który z jego ojczyzną łączą stosunki nader skomplikowane. To także zapiski człowieka, dla którego obcość stanowi problem egzystencjalny. Najpewniej pozostanie on niezrozumiany albo niedostatecznie zrozumiany, a więc samotny — zarówno wśród obcych, jak i wśród swoich, dlatego że „piszący zawsze będzie cudzoziemcem, nawet w swojej ojczyźnie, a zarazem wszędzie znajduje się u siebie — na własnej tropie".
Wilk dawno przekroczył granicę, o której mówił Józef Czapski (można pisać o kraju, w którym się mieszkało mniej niż sześć tygodni albo więcej niż dziesięć lat), i ma wszelkie podstawy uważać się za „rosyjskiego pisarza piszącego po polsku". Nieprzypadkowo jednak określenie to zostało przekręcone w opublikowanym wywiadzie prasowym: „polski pisarz piszący po rusku". Punkt obserwacyjny, jaki Wilk wybrał, pozwala mu odrzucić wiele stereotypów związanych z postrzeganiem Rosji z zewnątrz i nie popaść równocześnie w najróżniejsze rosyjskie

autostereotypy. Pełne zrozumienia i swobodne spojrzenie, ton pozbawiony zarówno cynizmu, jak i patosu — wszystko to docenia szczególnie rosyjski czytelnik Wilczego notesu. Być może pisarz nawet się nie spodziewał, że nadając silniejszy rezonans tęsknocie za utraconą albo nieodnalezioną prawdą o życiu, znacznie rozszerzy teren eksploracji samego siebie. Biel, na której tle wszystko jest inne — bardziej bezlitosne i bardziej bezbronne — oraz szczególne, niegasnące światło północnej przestrzeni same w sobie stały się teraz fabułą.

Jaki język odpowiada temu z góry założonemu dystansowi?

Wybór języka, a właściwie jego spreparowanie, wiąże się z bolesnym dla Wilka problemem niewystarczającej przekładalności wyrazów i pojęć. Dla niego istotna jest właśnie ta nieprzetłumaczalna reszta. Pisarz świadomie —

w przeciwstawieniu do przepełniających język współczesny anglicyzmów — wprowadza do swojego tekstu rosyjskie określenia, a także archaizmy świadczące o historycznych związkach między językiem polskim i rosyjskim; twierdzi ponadto, że ograniczanie się do powszechnie używanego słownictwa przypomina kastrację. Realizuje niejako ideę Miłosza o możliwości ratowania słów, które są już przestarzałe, ale jeszcze zrozumiałe, poprzez używanie ich nie gwoli upiększenia tekstu, lecz większego przybliżenia jego znaczeń.

Wplecione w tkaninę opowieści rosyjskie słowa i archaizmy rytmizują prozę Wilka, która miejscami zbliża się do tego, co mogłoby się stać prozą poetycką. Są też zadziwiającym przykładem, jak dalece jeden język może być otwarty na drugi. „Pozostawiając niektóre rzeczy (pojęcia) w ich

ruskiej wersji, niejako okna otwieram w tekście — okna do innej [...] rzeczywistości" — pisze autor Wołoki.
Glosariusz w Wilczym notesie i obszerne przypisy w dwóch następnych książkach to nie tylko aparat naukowy, lecz także integralna część tekstu. Nie bez powodu w Wołoce autor snuje rozważania o gatunku „dziennika z glossami", zbliżonego do słownika-dziennika [Richarda] Jamesa, w którym „cień rzeczywistości pada od słów".
Zawartość Wilczego notesu, z pozoru niekompletnego, obejmującego notatki robione na gorąco, dygresje historyczne i kulturoznawcze, uogólniające komentarze, elementy reportażu, wywiadu i felietonu, listy i eseje — choć luźno powiązane, tworzą jeden nurt poznającego uczucia i odczuwającej myśli.
Może dlatego nabierają szczególnego znaczenia długie wyliczanki, które dosłownie tkają tekst, przypominając pierwotne znaczenie tego wyrazu. Są jak nici osnowy autorskiego doświadczenia przeplatane historią stopniowo poznawanego obszaru. Sens nadaje im rytm pochodzący z realnego życia — rytm ruchu i powtarzalności. Przemienności dnia i nocy, pór roku, zajęć, z których składa się życie, wreszcie morza, bo w jego obecności życie przemija. Nawarstwia się czas, który człowiek przeżył i który mu darowały jesienie, zimy, wiosny... O rytmie tym Wilk napisze

w Domu nad Oniego, że Jakby dobiega gdzieś z głębi studni [...] co roku o jeden pierścień betonu niżej".
Opisując Sołowki, pisarz przesuwa się w górę i w dół po skali czasu: pejzaż sołowiecki jawi się jako nawarstwienie kształtujących go kultur. Wszystko waha się między „kiedyś" a „teraz", ślady przeszłości przenikają

przez niejasną i niestałą, rozkołysaną jak odbicie teraźniejszość. Geografia nigdzie nie może się obyć bez projekcji historii.

Odczuwa się niemal zmysłowo ruch i bezruch, zamknięcie i otwarcie przestrzeni, światła, koloru, światłocienia, dźwięku — i rodzące się w związku z tym odpowiednie słowa-znaczenia. To jedno z najsilniejszych wrażeń, jakie pozostawia lektura książki — nakreślone obrazy dosłownie odbijają się na siatkówce oka. Ciekawe, że w późniejszych książkach, Wołoce i Domu nad Oniego, tego rodzaju opisy-pejzaże sprowadzają się najczęściej do trafnej, lakonicznej metafory, jakby byty pełne skupienia i milczenia, narzuconego przez ów krajobraz północny, który „ma w sobie coś z ducha starych ikon". W ten sposób przedstawienie przechodzi w brzmienie — efekt, który w odwrotnej kolejności starają się osiągnąć muzycy wirtuozi.

Wilk nazywa Północ swoją fabułą, a podróż jachtem od Morza Białego do jeziora Ładoga — czytaniem kraju „niczym książki". Można więc zapewne określić gatunek, jaki uprawia, kluczowym dla jego prozy rosyjskim słowem „Tropa" (ścieżka), któremu w Wołoce poświęcił opis niemal poetycki:

Moja tropa kapryśnie się pisze:
To zygzakiem kluczy, jakby od kuli bieżała,
to krąży-kołuje wytrwale z nosem przy ziemi,
To w esach-floresach się gmatwa
(jak w czasie zaprzeszłym),
to blaknie i zanika w jakimś trzęsawisku,
by po chwili się wynurzyć z drugiej strony,
to zastyga w błocie twardniejącym od mrozu,

aby wiosną rozpłynąć się w roztopie,
to w słowach się odciska,
to w odciskach palców,

na papierze lub na piachu.

Ponadto ścieżka (tropa) jest dla autora metaforą niepowtarzalności, a więc jednostkowości doświadczenia życiowego i doświadczenia artystycznego — autentycznych i wzajemnie sobie odpowiadających.

Wilk zagospodarowuje przestrzeń za pomocą słowa. Swymi żywymi, głębokimi i osobistymi odczuciami obsadza tradycyjne stereotypy na temat Rosji. W proces ten naturalnie włącza się wiedza zdobyta wcześniej, z cudzych książek, cudzych słów. Ale za każdym razem przechodzi ona próbę osobistego odbioru. Albo — poddaje ten odbiór korekcie. Tylko w ten sposób może się zrosnąć z własnym doświadczeniem i własnym językiem.

Wydaje się, że Wilk uporał się z jednym z psychologicznych problemów XX wieku: jak, przynajmniej częściowo, pokonać barierę obcości kultur, mentalności, stylów życia, języków. Z jednej strony dzięki przyrodzie i właściwej człowiekowi zdolności wnikliwego jej kontemplowania. Z drugiej — poprzez poddanie się codziennemu nurtowi życia w tej przyrodzie. Może umiejąc dostrzec poprzez „kisiel grochowy w głowach" piękna i więzi wszystkich ze wszystkimi, Wilk niezauważalnie wyzbywa się lęku przed odrzuceniem. W końcu obcym, samotnym wilkiem można czuć się niekoniecznie będąc cudzoziemcem. Tymczasem to, co się przeżyło razem, toruje drogę do wzajemnego zrozumienia między żyjącymi w tym samym czasie i w tej samej przestrzeni, do zrozumienia

obcego, który w rzeczywistości jest tylko inny.

Irina Adelgejm

Spis treści

Zapiski sotowieckie (1996-1998) 9

Kanin Nos (1995) 143

Glosariusz 191

Irina Adelgejm — Posłowie 213